

• NAJSZTUB PYTA
KANDYDATA PLATFORMY:
GDZIE LEŻY TUSK?

S. 12

• JEDYNY, KTÓRY UMIE
WALCZYĆ Z TERROREM

S. 40

• SKAZANI
NA OTYŁOŚĆ

S. 58

PRZE KROJ

Muchomor i inne narkotyki...

UWAGA! MASZ WYBÓR:
MOŻESZ KUPIĆ
„PRZEKROJ”
BEZ KOMIKSU
ZA 4,50 ZŁ

Nr 30 / 3135 • 21 lipca 2005 • cena 9,90 zł
z komiksem /w tym 7% VAT/

zatrute

S. 48

skarby lasu

ISSN 0033-2488

30

9 770033 248519

Indeks 371424

FAKTY | LUDZIE | OPINIE



bliżej

tp

60 minut za darmo – możesz załatwić tyle spraw!

telefon domowy

plan tp 60 minut za darmo

Jest wiele spraw, które chciałbyś załatwić przez telefon? Skorzystaj z darmowych połączeń! Teraz w ramach abonamentu masz aż 60 darmowych minut na połączenia lokalne i międzymiastowe oraz z internetem przez modem. Do wykorzystania o dowolnej porze!

Darmowe rozmowy objęte abonamentem dotyczą połączeń realizowanych poprzez sieć tp. Ceny oraz szczegóły oferty dostępne są w cenniku i regulaminie tp.

znajdź rozwiązanie dla siebie:

telepunkt

9393

www.tp.pl

PRZE
KROJ

Bi-biblioteka
Kraków

RACZKOWSKI na Czwartek



Wymyślił i narysował MAREK RACZKOWSKI

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY:

...o **Krzysztofie Cugowskim**, który zdecydował się kandydować do Senatu z listy PiS w Lublinie. Bo powtórzył to, co mówił w wywiadzie, który publikowaliśmy w poprzednim numerze: „W popkulturze jestem od ponad 30 lat i trochę o tym wiem. Znam się też na sporcie. Sądzę, że te dziedziny są istotne w życiu obywateli, choć mogą wydawać się błahe. Ludzie obok pracy i jedzenia zawsze będą potrzebowali jakiejś rozrywki”. Czyli mimo wysiłków Najsztaba nie zrozumiał, że nie każdy może być senatorem. Wyborcy, ratujcie człowieka! Nie głosując na niego.

...o **Henryce Bochniarz**, która na spotkaniu z dziennikarzami w Białymstoku zapowiedziała, że zaraz rozpocznie swoją kampanię

prezydencką. Bo spotkanie odbyło się przy fontannie i lejąca się woda zagłuszyła resztę zapowiedzi, być może równie ciekawych.

...o **tym, że lider SdPI Marek Borowski** zrezygnował z kandydowania na prezydenta. Bo jeszcze w poniedziałek, przynajmniej do 23.25, nie zrezygnował i wciąż twierdził, że honor jest bezcenny. Widocznie były szef jego sztabu wyborczego Tomasz Nałęcz zapomniał mu podać aktualne ceny przed swoim odejściem.

...o **samooczyszczeniu**, jakie gotowe jest przeprowadzić SLD. Zarząd partii nie chce, żeby tacy prominentni, choć skompromitowani członkowie Sojuszu, jak Leszek Miller, Józef Oleksy, Jerzy Jaskiernia, Marek Dyduch czy Jerzy

Dziewulski, kandydowali do Sejmu. Bo to tylko samooczyszczenie w SLD-owskim stylu: panowie mają startować do Senatu.

...o **przestrogach**, jakie wygłaszał Andrzej Lepper na zamkniętym spotkaniu z kandydatami Samoobrony do parlamentu. Na przykład: nie przytulajcie się do „podstawionych panienek” („To miłe, ale od razu będzie w gazetach, że to molestowanie”); pijcie napoje tylko z oryginalnie zamkniętych butelek („Widzieliście chyba ostatnio program o narkotykach na Podkarpaciu. Dwie kropelki wystarczą i człowiek odlatuje”). Bo trzeba by go, niestety, pochwalić. To nie świadczy o nim źle – już dawno zrozumiał, że jego kandydaci to ludzie specjalnej troski.

CYTAT tygodnia

Nie syciągać, bo tym, co to będą robić, będą musiała postawić piaską

– RENATA BEGER do kandydatów Samoobrony do Sejmu zdających w łodzi wewnętrzny egzamin partyjny



Fot. BOGDAN KRZEL



22

Kto zostanie premierem?
Kto wejdzie do rządu?

POWIĘKSZENIE

6 RUMUNIA ODPIĘWA OD UNII

NAJSZTUB PYTA

12 GDZIE LEŻY TUSK?
Brakuje mi majestatu – mówi kandydujący na prezydenta lider PO

A WŁAŚCIWIE TO...

18 KOMENTARZE
WOJCIECHA
MAZOWIECKIEGO
I WAWRZYŃCA
SMOCZYŃSKIEGO

KRAJ

20 PRZEKRÓJ TYGODNIA

22 CIENIE GABINETU
Jak będzie wyglądać
drużyna przyszłego
premiera?26 NOWI KOLEDZY SMOKA
Anglicy testują Kraków

KRÓTKA ROZMOWA

28 PRYZYWCZAJENI
DO ZDRADY
Nasi politycy są jak muchy.
Czasem lepiej, by byli
nażarci – twierdzi
prof. Jacek Hołówka

ALE O CO CHODZI...

30 TERRORYSTOM
STANOWCZE NIE
Jasne. Ale co się stanie,
gdy uderzą w Polsce

ZAGRANICA

32 PRZEKRÓJ TYGODNIA

34 GANG Z VOLSWAGENA
Afera, która wstrząsnęła
Niemcami38 PATENT KU CHWALE
OJCZYZNY
Wynalazcom ku przestrodze

LUDZIE

40 PIES NA TERRORYSTÓW
Francuski sędzia tępi
terrorystów. Psioczą na
niego obrońcy praw
człowieka, a on ma wyniki44 W KOSZULCE DO BOJU
Radek Sawicki stoczył bitwę
o prawa polskich
robotników w Irlandii

SPOŁECZEŃSTWO

BIZNESMAGAZYN MOSZA

46 ZA LICHWĄ,
A NAWET PRZECIWI
Nie warto krzyczeć.
Lepiej liczyć

OBYCZAJE

48 HUMOR PO MUCHOMORZE
Czy mamy przekląć
kocimiętkę?

NAUKA

54 ZWŁOKI NA WAGĘ ŻYCIA
Twoje ciało może pomóc
bliźnim. Nie tylko jako
źródło organów58 MAKRO W SKALI MIKRO
Nowa nadzieja
dla grubasów?TYDZIEŃ – KULTURALNIE
POLECAMY

62 FILM „Miasto gniewu”

64 MUZYKA Bright Eyes

66 KSIĄŻKI Nowy „Harry Potter”

68 TEATR Niedonosek

70 KOMIKS Kanon komiksu III

ZAWSZE CZYTAJ

3 NA CZWARTEK RACZKOWSKI,
W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY16 TECZKI OSOBOWE I ZALEWAJKA
KAZIMIERZA KUTZA

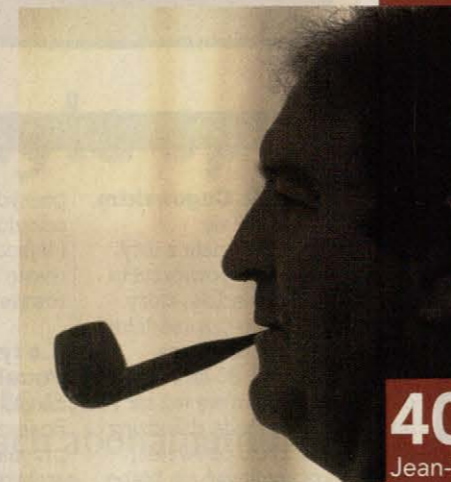
52, 60 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ

72 EKSTRA

73 LISTY, KRZYŻÓWKA

74 RACZEJ RACZKOWSKI

76 ROZMAITOŚCI



40

Jean-Louis
Bruguière.
Pierwszy
szeryf Francji

sluchaj audycji PRZEKROJOWA SPRAWA

ANTY RADIO

94 FM Warszawa, 106.4 FM Katowice

W czwartek 21 lipca o godzinie 21.00
Tomek Kin zaprasza na program pod tytułem
„HUMOR PO MUCHOMORZE”VICHY
LABORATOIRESZgrubienia, pęknięcia:
skórze stóp brakuje lipidów.

PODEXINE

Specjalistyczna pielęgnacja stóp

Odżywczy krem regenerujący
do suchej skóry stópGłęboko odżywia skórę
przez 24 godziny.
Nie pozostawia tłustej warstwy.

NOWOŚĆ

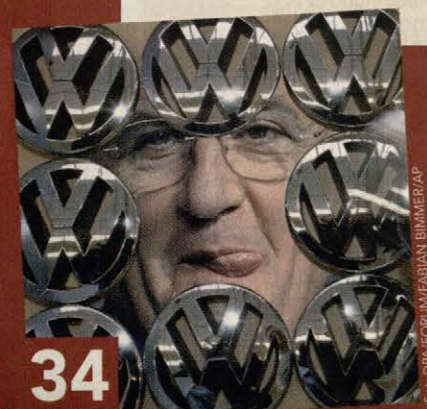
TESTOWANY PRZEZ SPECJALISTÓW
W DZIEDZINIE PIELĘGNACJI STÓP.

Cena ok. 39 zł

VICHY. ZDROWIE TO PODSTAWA. ZACZNIJ OD SKÓRY.

Porady dermatologa: 0 801 140 140 (pon.-pt. 13.00-17.00)

www.vichy.pl



34

Volkswagen
i wstyd

powiększenie

BYŁO JAK W POLSCE, TYLKO ZE GORZEJ. WODA ZALAŁA 580 MIEJSCOWOŚCI, ZABIŁA CO NAJMNIEJ 21 OSÓB, A TYSIĄCE POZOSTAWIŁA BEZ DACHU NAD GŁOWĄ

67-letnia Rumunka
stoi w swojej
zrujnowanej
kuchni we wsi
pod Timiszoarą

RUMUNIA ODŁYWA OD UNII

PIOTR BUKOLIŃSKI

W ciągu kilku
dni znaczna
część Rumunii
padła ofiarą
najstraszliwszej
od 50 lat powodzi.
Katakizm
może opóźnić
wejście kraju
do Unii

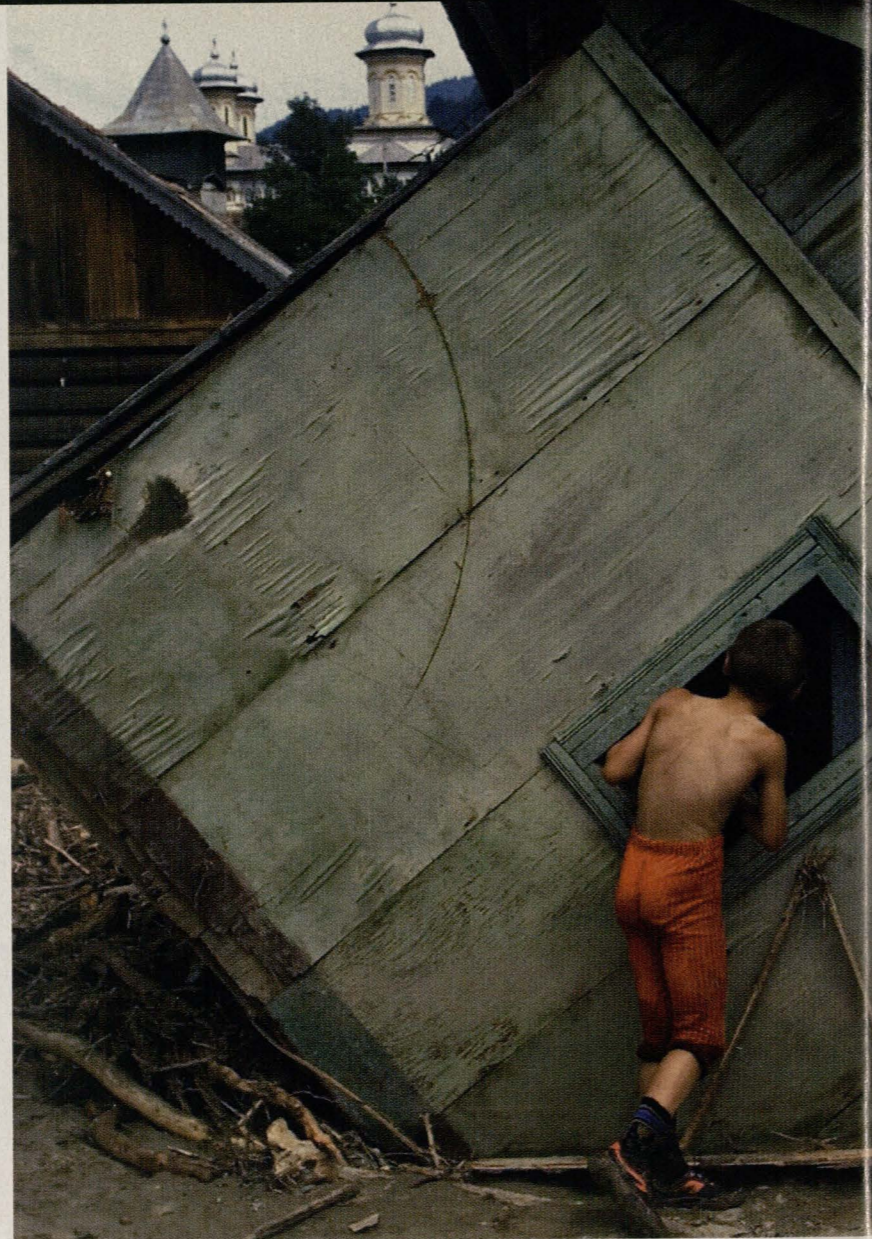


W miejscowości Vadu Rosca
wojsko musiało siłą ewakuować
ludzi, bo nie chcieli opuszczać
domów. Ci, którzy pochowali się
w mieszkaniach, utonęli



Rolnik z miasteczka
lonel zdołał
uratować część
swojego dobytku

Liczba ofiar byłaby niższa, gdyby nie korupcja przy budowie systemów przeciwpowodziowych. Część z zaplanowanych wałów w ogóle nie powstała, inne uległy pod naporem wody



Ocaleni cieszą się, że wyszli z koszmaru żywi. Elena Mi-hai, 57-letnia mieszkanka wsi Cosmesti, ostatkiem sił zdołała wspiąć się na słup, zanim fala powodziowa zaczęła porywać wszystko wokół. Chwilę później wieś przykryła trzymetrowa mieszanina wody i błota. – Ściągnięto mnie ze słupa, gdy miałam już wodę po szyję – opowiadała później jednej z rumuńskich gazet.

Kilkadziesiąt osób nie miało tyle szczęścia. Co najmniej 21 nie żyje, ale ten bilans nie jest ostateczny. – Liczba ofiar może wzrosnąć, bo są jeszcze inni starsi ludzie, którzy odmówili opuszczenia domów – mówił premier Rumunii Calin Popescu-Tariceanu. Wiadomo, że w ten sposób zginęło kilku mieszkańców wsi Vadu Rosca. Starzy ludzie nie chcieli opuszczać domów. Gdy wojsko ewakuowało ludność siłą, część z nich pochowała się w swoich mieszkaniach. Nikt nie ocalał.

– Rzucamy wszystkie siły, żeby ratować ludzi – ogłosił prezydent Rumunii Traian Basescu, w czasie gdy jego kraj doświadczał najgorszej klęski żywiołowej od pół wieku.

KRAJ PRZECIĘTY NA PÓŁ

Dolina Sighetu, 470-kilometrowej rzeki wypływającej ze źródła w Karpatach i wpadającej do Dunaju w okolicach Gałacza, została w większości zdewastowana. Woda przelewała się przez zaporę i topiła leżące poniżej wieś.

Powódź – efekt ulewnych deszczów – poszła też w kilku innych kierunkach, nawiedzając 31 spośród 42 rumuńskich dystryktów. Zalała 580 wsi, zniszczyła drogi i mosty, odcięła od reszty kraju całą rumuńską część historycznej

Mołdawii. – Ustanowiliśmy most powietrzny między Bukaresztem i regionem Mołdawii, którym transportujemy ludzi, wodę i pomoc – zapewniał minister obrony Teodor Atanasiu.

We wschodniorumuńskiej miejscowości Ivesti ludzi ściągano łodziami z dachów domostw, w czasie gdy trwała walka o uratowanie położonego poniżej 300-tysięcznego Gałacza, portu morskiego w delcie Dunaju. – W ciągu chwili straciłem dorobek całego życia – opowiadał dziennikarzom 57-letni mieszkaniec Ion Dobre, którego dom zakryła rzeka.

W górę Sighetu mieszkańcy wsi Tudor Vladimirescu toczyli morderczą walkę z rzeką, pospiesznie wznosząc wały i patrząc, jak Siget błyskawicznie występuje z brzegów. – Mam nadzieję, że skierujemy rzekę na pola, żeby ura-

tować wieś – mówił Agencji Reutersa wiceszef miejscowej administracji. Udało się tylko częściowo. Woda pochłonęła ponad 300 spośród 1000 domów.

KLĘSKA BEZ PRECEDENSU

Wielu uratowanych wciąż nie wierzy, że wszystko, czego się dorobili w życiu, jest stracone. – Nic nie zostało – mówi jeden z nich rumuńskiemu radiu. – Zobaczyłem, że woda podchodzi pod próg mojego domu i wlewa się do środka. Na podwórzu wody było już po pas. Zabrałem swoje córki i opuściłem dom, zostawiając w nim wszystko, co miałem: pieniądze, dokumenty, wszystko. Gdybyśmy jeszcze chwilę poczekali, byłoby po nas. Wszyscy byśmy zginęli.



Dom wywrócony przez powódź we wsi Agas, 330 kilometrów na północ od Bukaresztu

A później telewizja pokazywała makabryczne obrazki – martwe świny i krowy niesione przez zamuloną wodę, ludzi wyciągających z zalanych domów resztki dobytku. Ofiarą powodzi, choć w mniejszym stopniu, padła także sąsiednia Bułgaria, gdzie woda pozbawiła życia pięć osób. Najbardziej dotknięte zostały regiony Wielkiego Tyrnowa, Tyrgowiszta, Starej Zagory i Szumenu.

Rumuńska powódź przerosła wszelkie wyobrażenia. „Rumunia we łzach” – pisał dziennik „Evenimentul Zilei”, „Rumunia zamieniona w ocean” – wtórowała mu gazeta „Libertatea”. Co gorsza, bilans powodzi do dziś nie jest pełny. Ewakuowano blisko 13 tysięcy osób, uszkodzonych jest 1200 kilometrów dróg i ponad 400 mostów.

SKAZANI NA POMOC

Bez pomocy z zewnątrz Rumunia prawdopodobnie nie da sobie rady z likwidacją skutków klęski. Prezydent Basescu poprosił o wsparcie Komisję Europejską i Bank Światowy. Według wstępnych danych Unia ma przeznaczyć na pomoc ofiarom powodzi 70 milionów euro z funduszy przyznanych Rumunii w związku ze zbliżającym się członkostwem w Unii.

Prasa rumuńska rozpisuje się o korupcji, która miała znacznie zwiększyć liczbę ofiar tragedii. Dziennik „Romania Libera” oskarżył rządzących do niedawna postkomunistycznych socjaldemokratów o rozkradzenie funduszy na budowę nowych wałów przeciwpowodziowych. Pieniądze miały pójść na luksusowe wille dla partyjnej

wierchuszki. Co gorsza, pisała inna z gazet, postkomuniści będą teraz wykorzystywać powódź w nadchodzącej kampanii wyborczej.

Część pieniędzy dla powodziaków ma zebrać akcja charytatywna w całej Rumunii. Codziennie do pomocy ofiarom klęski wzywa telewizja, w akcji uczestniczą media i Cerkiew prawosławna. Dawna rumuńska drużyna piłkarska, która grała w 1994 roku w ćwierćfinale mistrzostw świata, przeznaczyła na pomoc pół miliona euro – dochód z towarzyskiego meczu z oldbojami Brazylii. Pomoc napływa także z zagranicy, w tym z Polski.

Uspokajające są prognozy pogody, które mówią, że najgorsze Rumuni mają już za sobą. Według meteorologów powódź minęła i nie zanośsi się na kolejną falę. Pozostaje usunąć to, co przyniosła ze sobą dotychczasowa klęska. Straty są olbrzymie. Wojsko usuwa z ulic błoto, uszkodzonym rozdaje namioty, koce i prowiant. Jednak skutki powodzi mogą być jeszcze długo odczuwalne. Służby muszą też jak najszybciej usunąć zwłoki ponad 90 tysięcy sztuk bydła, które rozkładają się, co grozi wybuchem epidemii.

ZATOPIONY BUDŻET

Rumunia ma też inny poważny problem. Likwidacja strat powodziowych, wycenianych na ponad miliard euro, może rozchwiać tegoroczny budżet. Dzieje się to w chwili, gdy Bukareszt rozpaczliwie walczy o to, by 1 stycznia 2007 roku zgodnie z planem wejść do Unii Europejskiej. W tym roku rumuński rząd zakładał sześcioprocentowy wzrost gospodarczy. Powódź najprawdopodobniej go zdławi, grozi wzrost deficytu budżetowego.

Już przed powodzią pojawiły się pierwsze sygnały, że termin rozszerzenia może zostać przesunięty, jeżeli Rumunia i Bułgaria nie spełnią kilku wymogów dotyczących gospodarki, sądownictwa i ustawodawstwa antykorupcyjnego. Po upadku eurokonstytucji w Unii znacznie spadło poparcie dla planów przyjmowania nowych członków do wspólnoty, a unijny komisarz do spraw rozszerzenia Olli Rehn ostrzegł ostatnio Rumunię i Bułgarię, że przy obecnym tempie reform mogą mieć problem ze spełnieniem warunków podpisanego już traktatu członkowskiego przed ustalonym terminem.

Na domiar złego oba dotknięte powodzią kraje znajdują się w stanie politycznej hibernacji. W Bułgarii po zwycięstwie wyborczym postkomunistów trwa tworzenie nowego gabinetu, zaś w Rumunii tuż przed powodzią zapadła decyzja o przedterminowych wyborach. Ich rezultat na pewno w dużej mierze będzie zależał od tego, jak rząd Tariceanu poradzi sobie z likwidacją szkód po klęsce.

PIOTR BUKOLIŃSKI

GDZIE LEŻY TUSK?

DONALD TUSK coraz bardziej wierzy, że wygra w wyborach prezydenckich, i coraz bardziej tego chce. Jest jedno „ale” – wierzy w cud. A może ma rację?



Wie pan, gdzie leży Pułtusk?

– W województwie mazowieckim.

A gdzie leży Tusk, czyli co jest pańską największą słabością w kampanii prezydenckiej?

– Brak majestatu.

W czym to się wyraża?

– Mój sposób bycia, osławiany i ośmieszany dystans do polityki i do samego siebie, wizerunek człowieka młodszego o 15 lat niż w rzeczywistości mogą się okazać poważną zawadą w tych wyborach prezydenckich. Spora część wyborców ukończyła model władcy trochę wschodniego, panującego, a nie normalnego człowieka.

A może Tuskwowi najbardziej brakuje przekonania, że tylko on może być dobrym i skutecznym prezydentem?

– Kiedy Włodzimierzem Cimoszewiczem zamknęła się pula poważnych kandydatów, to stwierdziłem, że mój sztab musi jeszcze popracować nad takim trochę cynicznym marketingiem. Bo najszybciej po Lechu Kaczyńskim zdecydowałem się na oficjalny start w wyborach, Cimoszewicz odstawił komedię wycofania, odmawiania, a mimo wszystko to o nim się mówi, że jest zdecydowany, a wokół mnie wytwarza się atmosferę człowieka, który się bardzo długo wahał.

Raczej człowieka, który kandyduje, choć nie jest przekonany, że będzie realnie walczyć o ten urząd i że być może go w przyszłości zajmie.

– Już mi pan mówił parę miesięcy temu, w programie telewizyjnym, że przede wszystkim muszę sam bardzo chcieć, żeby na serio powalczyć. Mnie woli walki w życiu nie brakowało i sądzę,

że każdy, kto zna w szczegółach moją biografię, może powiedzieć, że nie wymiękam, lubię walkę.

Nie pamiętam, żeby pan kiedykolwiek walczył o jakieś stanowisko, a taka walka się istotnie różni od walki o jakąś sprawę.

– Do końca życia nie uwierzę w to, że to jest defekt.

Przypominam jednak, że tu walczy pan o stanowisko, to jest inny rodzaj walki niż o zasady, może pan tego nie potrafi?

– Nie wykluczam, że to jest mój problem, ponieważ to są pierwsze wybory w moim życiu, gdzie walka dotyczy mnie i tylko mnie, jest z natury rzeczy egocentryczna i egotyczna. Nie wykluczam, że w tej walce przewagę, przynajmniej na starcie, mają ci, którym „zależy” dużo ponad przeciętną.

Nie będę takim opiniom zaprzeczać, natomiast starał się być przekonany, że największe szkody w polityce robią ci politycy, którym to bardzo zależy, którzy mają taką bardzo egotyczną determinację, że za wszelką cenę muszą wygrać, zdobyć, osiągnąć władzę, stanowisko. Oni być może w kampanii robią lepsze wrażenie, ale później są nieszczęściami.

Czyli będzie pan robił to co do tej pory, na przykład swoją wydaną ostatnio książką „Solidarność i duma”. To nie jest książka kandydata na prezydenta, tylko nauczyciela. Pan chce swoją kampanią edukować wyborców, a nie namówić ich, żeby powierzyli swoje życie w pańskie ręce.

– Nie chciałbym rozstrzygać o życiu ludzi, niezależnie od tego, w jakim miejscu będę.

Prezydent w Polsce i tak nie rozstrzyga. Mnie chodzi o to, że pan opowiada o tym, jak powinno być albo nie powinno być,

a nie mówi: ja wiem, jak powinno być, i tylko ja to zrobię. A ludzie potrzebują przywódcy.

– Jeśli zwycięży potrzeba posiadania wodza, który poprowadzi tłumy tam, gdzie on sobie życzy, charyzmatyka, który niczym ten prestidigitator w „Mario i czarodzieju” Tomasza Manna zawładnie wyobraźnią ludzi i zrobi z nimi wszystko, co tylko zechce, to ja nie wygram tych wyborów.

Po co zaraz takie wielkie słowa? A może wystarczyłyby jakieś średnio bogate pokłady egotyizmu?

– Każdy z nas jest trochę egotykiem. Polakom dzisiaj potrzebne jest przywództwo i są dwa modele tego przywództwa. Przywództwo, które większy nacisk kładzie na zdolność pracy z ludźmi i brania na siebie odpowiedzialności i jeśli ten model zacznie brać górę, to to będzie dobry czas dla mojego kandydowania i dla Platformy Obywatelskiej. Jeśli zwycięży potrzeba wodza, trochę atawistyczna, wynikająca z rozgoryczenia, poczucia bezsilności, to temperament Leppera, Lecha Kaczyńskiego już w dużo mniejszym stopniu, bo kreowanie Lecha Kaczyńskiego na wodza...

On sam siebie na takiego kreuje.

– Też, ale to nie jest łatwe zadanie, bo on w głębi duszy jest bardzo przywoitym i w najlepszym tego słowa znaczeniu prostoliniowym człowiekiem, bez żadnych wodzowskich ambicji. Tylko Andrzej Lepper jest klasycznym modelem polityka, dla którego przywództwo to jest zero rozmowy, zero partnerstwa w relacjach politycznych.

Chyba jednak się zmienił. Pamiętam go z debaty w Polsce, kiedy przekonywał Giertycha, że trzeba rozmawiać, trzeba zawierać kompromisy, bo na tym polega polityka.

– Przebrał się na czas kandydowania. W tej kampanii niektórzy w większym, inni w mniejszym stopniu będą się przebieierać. Religa i Cimoszewicz przebieierają się za bezpartyjnych, co szczególnie w przypadku Cimoszewicza budziłoby śmiech, gdyby nie to, że jednak łatwo czasami ludzi nabrać. Andrzej Lepper będzie się przebieierał za cywilizowanego, europejskiego polityka, on od dłuższego czasu nie tylko opalenizną, garniturami, ale także takim salonowym zachowaniem chce pokazać, że się nadaje do rządzenia, a nie tylko do blokowania. Czy w związku z tym ja ubiorę bryczesy, mundur i zacznę mówić podniesionym głosem i wykrzykiwać na wiecach? Nie.

Ale pan być może sam odbiera sobie szansę, kiedy na przykład w programie „Forum” mówi: Najważniejsze dla Polaków jest to, żeby nie mieli tylko alternatywy Giertych albo Lepper. To mówi kandydat na prezydenta, więc ja czekam na następne zdanie: Ja będę odtrutką na nich. Ale takie zdanie z pańskich ust nie pada.

– Mało ma pan w polskiej polityce, nawet w Platformie, ludzi, którzy muszą zacząć zdanie od „ja” i skończyć na „ja”? Robię wszystko, żeby w Polsce zaczął zwyciężać model władzy, która nie wymaga pałacu, wielkiego brzucha, głębokiego, basowego głosu, limuzyny i ochroniarzy.

Moja sytuacja w tych wyborach jest skomplikowana, występuję w podwójnej roli: jako szef partii, która wzięła na siebie – nie zawsze skutecznie – ale naprawdę z niezłym rezultatem, wysiłek obrony „wyższej” polityki i wyższej kultury przed chamstwem, i kandydata na prezydenta. Dlaczego w kampanii prezydenckiej miałbym mówić innym językiem?

A może się pan myli? Może Polacy postawili i stawiają na partię, która miała w komisji śledczej Jana Rokitę, a nie partię, która broni wyższej polityki?

– To też. Na tym polega pozytywny fenomen Platformy, że można było scalić różne temperamenty, różne punkty widzenia, nie przekraczając pewnych granic i dodając, a nie odejmując. Dodając wątki zdroworozsądkowe, liberalne w sensie gospodarczym, pewnego umiaru w polityce do opozycyjne-

DONALD TUSK JEST KASZUBEM. URODZIŁ SIĘ 48 LAT TEMU. STUDIOWAŁ HISTORIĘ NA UNIWEITYCIE GDAŃSKIM. W 1980 ROKU ZAKŁADAŁ NIEZALEŻNE ZRZESZENIE STUDENTÓW, W TYM SAMYM ROKU SKOŃCZYŁ STUDIA. POTEM PRACOWAŁ JAKO REDAKTOR I PUBLICYSTA (RÓWNIEŻ W PRASIE PODZIEMNEJ), A NA ŻYCIE ZARABIAŁ JAKO „ALPINISTA PRZEMYSŁOWY”. JEST AUTOREM KILKuset PUBLIKACJI, WIELU KSIĄZEK HISTORYCZNYCH, A TAKŻE SŁOWNIKA POLSKO-KASZUBSKIEGO DLA DZIECI. DZIAŁAŁ W SOLIDARNOSCI, PRZEWODNICZYŁ KONGRESOWI LIBERALNO-DEMOKRATYCZNEMU, A PO UTWORZENIU W 1995 ROKU UNII WOLNOŚCI (Z KLD I UNII DEMOKRATYCZNEJ) ZOSTAŁ JEJ WSPÓŁPRZEWODNICZĄCYM. W 2001 ROKU WRAZ Z MACIEJEM PŁAŻYŃSKIM I ANDRZEJEM OLECHOWSKIM ZAŁOŻYŁ PLATFORMĘ OBYWATELSKĄ. JAKO WICEMARSZAŁEK SENATU ZAPROPONOWAŁ JEGO LIKWIDACJĘ I NAZWAŁ POLITYKÓW „KLASĄ PRÓŻNIACZĄ”. KANDYDUJE W WYBORACH PARLAMENTARNYCH Z GDAŃSKA, GDZIE PRZED CZTEREMA LATY ZDOBYŁ 240 TYSIĘCY GŁOSÓW DO SENATU. STARTUJE TEŻ W WYBORACH PREZYDENCKICH. ZAPEWNIŁ, ŻE JEGO OSTATNIA KSIĄŻKA „SOLIDARNOSĆ I DUMA” NIE JEST ELEMENTEM KAMPANII WYBORCZEJ.

go radykalizmu wobec władzy, który symbolizuje Rokita. Bo ci, którzy cały czas wierzą tylko w swoją mądrość, dzisiaj zostali na dwóch procentach.

Kogo ma pan na myśli?

– Partię Demokratyczną, czyli Unię Wolności.

Skoro już jesteśmy przy Partii Demokratycznej, to ubawilo mnie w pańskiej książce to, że nie występuje w niej ta partia, jej rola – pod różnymi nazwami – w przemianach i reformach ostatniego 15-lecia. W końcu był pan jej wiceprzewodniczącym. Dlaczego pan to pominął? Doświadczenie niewarte zmian?

– Moje doświadczenie w Unii Wolności jest doświadczeniem outsidera, który zaczął odgrywać jakąś poważną rolę publiczną w momencie, kiedy z niej wychodził.

To prawda, że byłem założycielem Unii Wolności, ale moim prawdziwym dzieckiem był Kongres Liberalno-Demokratyczny, w książce wymieniony raz. To nie jest więc moja pełna autobiografia, tylko selektywne pisanie o przeszłości poprzedzone bardzo wyraźnym stwierdzeniem, że za wszystko, co się działo w Polsce po '89, czuję się absolutnie współodpowiedzialny. I kiedy piszę o katastrofalnych błędach politycznych na początku lat 90., to piszę także o moich i liberałów błędach.

Liberałowie w pańskiej książce są rycerzami wolności.

– Bo byli.

W pańskiej książce nie popełnili żadnych błędów, może po grzechem naiwności. Dostało się natomiast premierowi Mazowieckiemu. Zarzucił mu pan, że był katastrofalnie zachowawczy.

– Bo był. Zresztą zależy, o jakich sprawach mówimy. Jeśli mówimy o sprawach gospodarczych, to pamiętam jedno z pierwszych wystąpień publicznych ówczesnych szefów Kongresu Janusza Lewandowskiego, Krzysztofa Bieleckiego i mnie, kiedy zareagowaliśmy z niezwykłą ostrością na zapowiedź Tadeusza Mazowieckiego, Waldemara Kuczyńskiego i bodajże Krzysztofa Lisa wówczas odpowiedzialnego za prywatyzację, że w ich projekcie w jakiejś perspektywie wieloletniej miano sprywatyzować pięć przedsiębiorstw. I ta zachowawczość, jeśli chodzi o zdolność przeprowadzania zmian gospodarczych, ale także niektórych zmian ustrojowych, była już wówczas bardzo irytująca.

Mam takie podejrzenie, że jeśli PO wygra wybory parlamentarne, to pan się wycofa z prezydenckiego wyścigu i powie: Głosujcie na Kaczyńskiego.

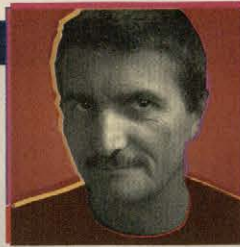
– Mało prawdopodobny scenariusz.

Przecież Platformie chodzi o realną władzę, a ta jest w rządzie.

– Prezydent rzeczywiście, jeżeli chodzi o tę kreatywną funkcję władzy, ma w Polsce niewiele do powiedzenia. Mówiąc krótko, jeśli chce przeszkadzać i blokować – ma pole do popisu. Jeśli chce sam wziąć władzę w swoje ręce, to nie ma takiej możliwości.

Jak z tej perspektywy wyobraża pan sobie ewentualne rządy PO i PIS przy prezydencie Cimoszewiczu?

– Nie chcę sobie wyobrażać prezydenta Cimoszewicza nie tylko dlatego, że uważałbym to za upokarzające dla całej generacji pierwszej Solidarności. Uważam, że Włodzimierz Cimoszewicz w każdym fragmencie swojej politycznej biografii potwierdza, że jest kwintesencją tego, co nazywało się kiedyś PZPR, a dzisiaj SLD. To Józef Oleksy o Cimoszewiczu mówi, że nikt z nas nie był tak czerwony. Nie będę, ponieważ on jest moim konkurentem, znęcał się nad szczegółami jego biografii, ale ideologiczna zacieklność Cimoszewicza w latach 70. i 80. była i jest przysłowiowa w jego środowisku. Ale nie jest to głównym powodem, dla którego ewentualne zwycięstwo Cimoszewicza będzie czymś bardzo złym. Uważam, że Włodzimierz Cimoszewicz ze względu na przeszłość, na poglądy, ale także i temperament byłby prezydentem, który zrobi wszystko, żeby



Znikająca prawda

Gdzie jest prawda w naszych ostatnich gorących sporach? Jakoś umyka i schodzi na plan dalszy. Ale nie o nią przecież chodzi. Ojciec Hejmo podobno dostał już pokutę od władz zakonu dominikańskiego i ma być zesłany do jakiegoś klasztoru włoskiego. Podobno – bo jego polscy szefowie mówią o tym dziennikarzom nieoficjalnie. I trudno się im dziwić, skoro nadal nie bardzo wiadomo, za jakie winy miałyby być ta pokuta. Wszyscy już zdążyli zapomnieć, że poszukiwano kogoś, kto miał zdradzić Jana Pawła II i miał być w jego najbliższym otoczeniu. Publicystyczny raport IPN nie udowodnił tego ojcu Hejmi. A innych dowodów – choćby zapowiadanej przez IPN publikacji wszystkich dokumentów w postaci białej księgi – nadal brak. Na szczęście historia ta unaoczniała ofiarom peerelowskich służb, jak łatwo dziś kogoś skrzywdzić za pomocą politycznej lustracji. Do tego stopnia, że stowarzyszenie Ujawnić Prawdę nie chce już publikować nazwisk agentów bez stuprocentowej pewności. Szkoda, że podobnych głosów nie słyhać od nieprzyzwoicie manipulujących lustracją w przedwyborczej grze polityków z PO i PiS na czele. Z podobną starannością uciekło od prawdy Prezydium Sejmu, nie rozstrzygając istoty sporu Włodzimierza Cimoszewicza z komisją ds. Orłenu. Łatwo przyszło Prezydium skryć się za kruczkim prawnym, bo marszałek sam wcześniej kruczył. Ale kto ma odpowiedzieć na najważniejsze pytanie, czy komisja ma prawo rozciągać jak gumę swoje uprawnienia według własnego widzimisię? I czy jest to zgodne, czy też nie z wyznaczoną jej przez Sejm misją? Tego raczej się nie dowiemy. Podobnie jak nie otrzymamy wyjaśnienia „zdrady” ojca Hejmy czy – jeśli nie – przeprosin. Bo nie o prawdę w tych sprawach chodzi, ale o bijatykę przedwyborczą.

WOJCIECH MAZOWIECKI

MACIEJOWSKI



WYJAZD DO USA.
PRZYJMOWANIE PSEUDONIMÓW.

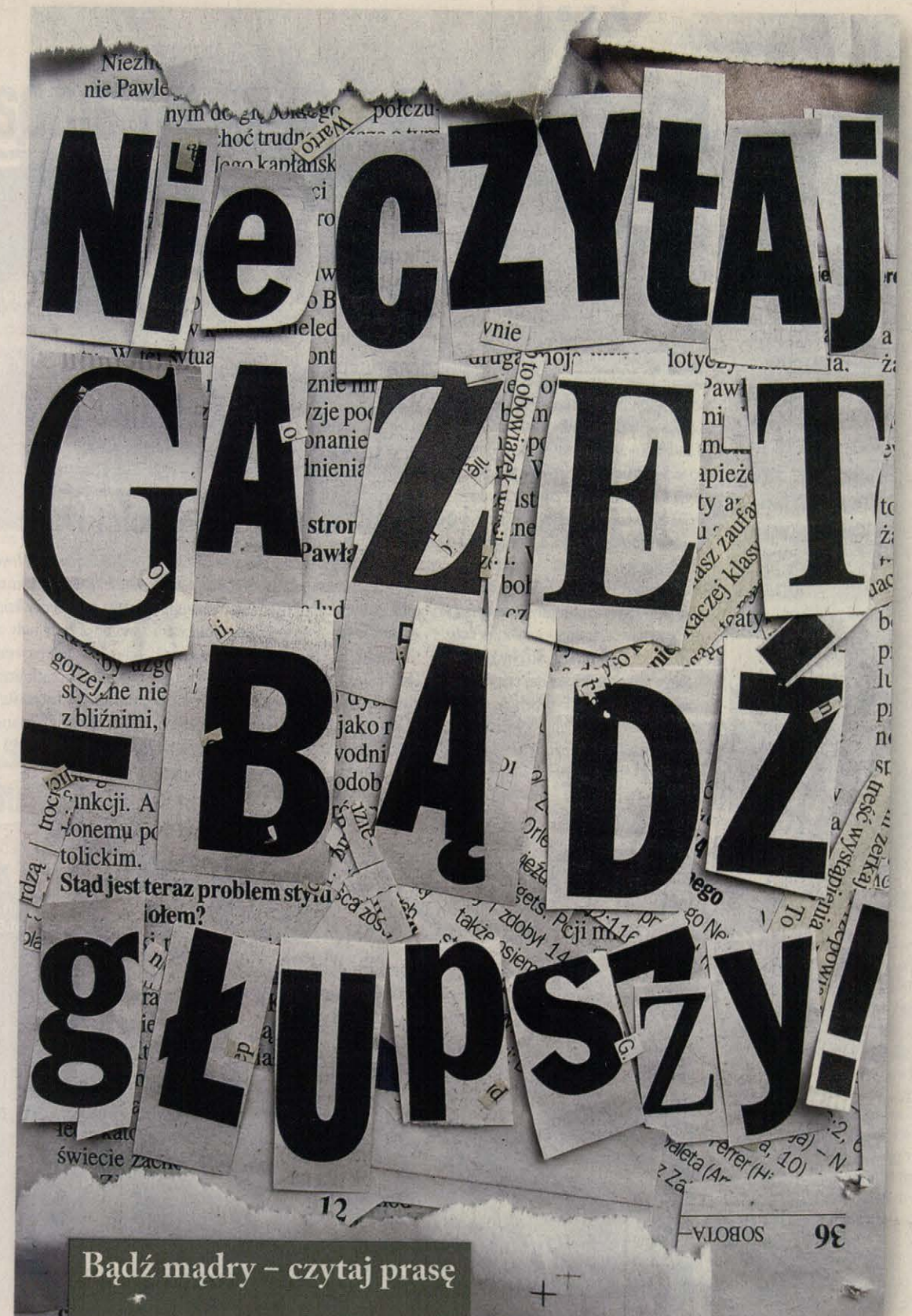
© MARCIN MACIEJOWSKI

Władzaaaa!

Dobór słów bywa zdradliwy. – Idźcie i zwyciężajcie. – Stańmy po jasnej stronie mocy. – Biorące jest także miejsce piąte, szóste, a może i nawet ostatnie – tak mówił do swoich delegatów Donald Tusk, ogłaszając w niedzielę listy wyborcze Platformy Obywatelskiej do Sejmu. Szefowi PO trzeba oddać sprawiedliwość, że wyciął z nich wiele wątpliwych kandydatur, a układając listy w tajemnicy, nie pozwolił, by wewnątrz partii powstały przed wyborami długi wdzięczności, lojalności i układy. Szkoda tylko, że przy tym wszystkim Tusk ulega dominującej retoryce politycznej. Zamiast narzucić kampanii nowy ton, nadać jej sens jako rywalizacji o demokratyczny mandat do zmieniania kraju na lepsze, mówi o „braniu” władzy, kładzie akcent na walkę, zwyciężanie i siłę. Nawet w najbardziej cywilizowanej z liczących się partii wychodzi na wierzch niepohamowana żądza władzy. Oczywiście na niej opiera się polityka, ale zadziwiające jest to, jak niewiele uczestnicy kampanii mają do zaoferowania ponad samą chęć rządzenia. A powinni mieć, zwłaszcza ci, którzy mają wygrać. Przez cztery lata rządów SLD wyborcy zdążyli zauważyć, co potrafi zrobić z państwem partia uzależniona od władzy, widzieli dość ludzi przyspawanych do stołków i premierów, którzy nie potrafili złożyć urzędu. Jeśli zwycięstwo ma się w zasadzie w kieszeni, trzeba dbać przede wszystkim o to, by perspektywa rządzenia nie uderzyła do głowy, a jeśli uderzy, by opinia publiczna się o tym przynajmniej nie dowiedziała. Platforma będzie mieć z tym wielki problem, zwłaszcza że jej kandydat na szefa rządu ma chorobliwy stosunek do władzy, a jako premier to on będzie rządził partią. Jeśli Tusk zostanie prezydentem, siłą rzeczy straci kontrolę nad Platformą. Jeżeli – co bardziej prawdopodobne – przegra, Jan Rokita bez trudu przejmie inicjatywę. Tak naprawdę dla dobra Platformy Tusk powinien zrezygnować z kandydowania na prezydenta i zająć się pilnowaniem Platformy przed Rokitą.

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI (2)



Bądź mądry – czytaj prasę

Projekt Jerzy Skakun

Nowak nie odszedł

Maciej Nowak na razie wciąż pełni obowiązki dyrektora Teatru Wybrzeże. Ma też duże szanse, by nim pozostać. Marszałek województwa pomorskiego Jan Kozłowski, który go zwolnił, ma nowy plan: chce, by teatr uzyskał status sceny narodowej. Kolejny ruch należy do ministra kultury. Waldemar Dąbrowski ma zdecydować o przyznaniu gdańskiemu teatrowi statusu narodowej instytucji. Oznaczałoby to dwa miliony złotych dofinansowania, które starczyłoby na pokrycie długu – oficjalnego powodu zwolnienia Nowaka. Marszałek Kozłowski chce także, by Nowak zrezygnował z równoczesnego szefowania warszawskiemu Instytutowi Teatralnemu. Nowak zapowiadał, że decyzję podejmie po rozmowie z ministrem. (SZY)

Mickiewiczem i Matolkiem...



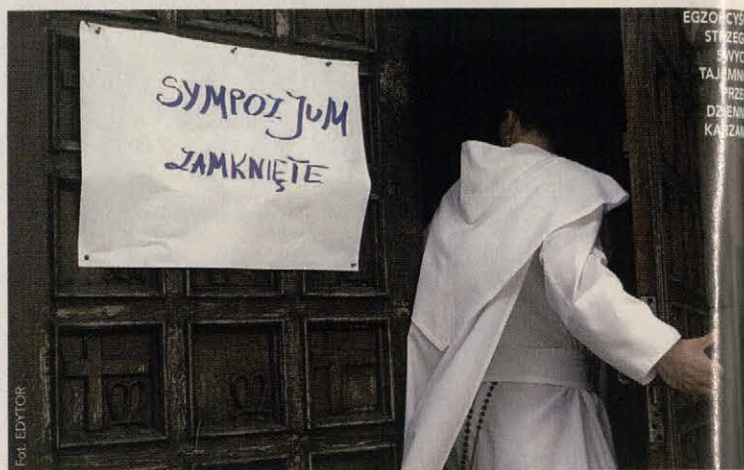
...stoi polska kultura. Tyle przynajmniej wynika ze „strategicznych celów i działań” Instytutu imienia Adama Mickiewicza promującego naszą kulturę w świecie. Najważniejsza jest, jak podkreśla nowy dyrektor Instytutu Maciej Domański, bezpośrednia współpraca między regionalnymi jednostkami kultury za granicą i w kraju. Wśród konkretnych projektów IAM jest budowa Europejskiego Centrum Bajki imienia Koziołka Matołka w Pacanowie. A promowanie polskiej literatury zaczyna się od przekonania obokrajowców, że Mickiewicz wielkim poetą był. Strategię promowania Instytutu poznaliśmy przy okazji prezentacji jego nowej siedziby – zabytkowego dworku w centrum Warszawy, którego remont (na zdjęciu) kosztował 980 tysięcy złotych. Tu od września mają się odbywać comiesięczne śniadania, w czasie których władze IAM otworzą się na pomysły młodych artystów. (KP)

EGZORCYŚCI PRZECIW ZŁU

SZATAN SIĘ CIESZY, GDY LUDZIE ZŁORZECZĄ, CIESZY, GDY ZAJMUJĄ SIĘ MAGIĄ. JAK POZBYĆ SIĘ SZATANA? O TYM NA JASNEJ GÓRZE DEBATOWALI EGZORCYŚCI

Zjazdy egzorcystów z całej Europy odbywają się co roku, na przemian w Niemczech i we Włoszech. W Polsce taki kongres odbył się po raz pierwszy. W dniach 11–15 lipca na Jasnej Górze wzięło w nim udział 130 księży i ponad 140 świeckich z 27 krajów.

– Księża egzorcysty potrzebują osoby, które doświadczają obecności złych mocy – lęków czy omamów. Często nie potrafi im pomóc psycholog lub psychiatra, gdyż przyczyny zła nie są naturalne – mówi ksiądz Benedykt Barkowski, werbista i egzorcysta w archidiecezji białostockiej. W Polsce każda diecezja ma jednego, czasem dwóch wyświęconych duchownych egzorcystów (w sumie 50–60 osób). To mało – na spotkanie z nimi opętany musi często czekać dwa tygodnie lub miesiąc.



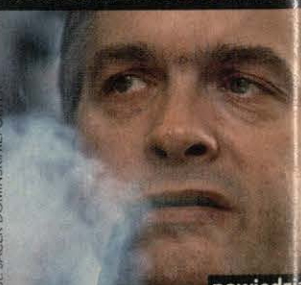
O czym mówiono na Jasnej Górze? „Najpierw skrót demonologii, czyli nauki o złym duchu (...). Potem sprawa otwierania się ludzi na działanie złego ducha przez rozmaite przekleństwa i złorzeczenia. Kiedy ludzie złorzeczą, zły duch uważa, że ma prawo ludziom szkodzić. Kolejny wykład był na temat magii w dzisiejszej Europie (...). Dalej (...) – jak uzdrowić przechodzące z pokolenia na pokolenie obciążenia (...). Kolejny

wykład dotyczył uwolnienia od złego ducha i uzdrowienia wewnętrznego” – oto fragmenty komunikatu końcowego (obrazy były utajnione). – W głównej mierze skupiliśmy się na zapoznaniu z teologią szatana, gdyż duch świata działa teraz pod jego dyktando – tłumaczy ksiądz Barkowski.

JUDYTA SIERAKOWSKA

kandydaci MYŚLĄ, że MÓWIĄ

W ostatnim tygodniu WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ



Rzetelnych, uczciwych i pracowitych posłów szanuję w co najmniej równym stopniu jak ulubione zwierzęta – zapytany, kogo bardziej szanuje: zwierzęta czy posłów

Spotkanie z wami uświadomiło mi konieczność stworzenia rady społecznej, która raz w miesiącu przekazywałaby prezydentowi, jakie są problemy ludzi – podczas spotkania z emerytami, rencistami i inwalidami

KUP SOBIE PAPIEŻA

ZA JEDYNE CZTERY TYSIĄCE MOŻNA MIEĆ WŁASNY POMNIK JANA PAWŁA II

Figura w kolorze brązu, mosiądzu, białym marmurze bądź alabastrze. Materiał bardzo trwały, gwarancja bezterminowa. Wysokość figury 2,30 m. Cena cztery tysiące złotych. Ogłoszenia takiej treści pojawiły się w ogólnopolskim wydaniu „Gazety Wyborczej”. Producentem figur jest Bogdan Zakrzewski z Nowej Soli. Pracuje w branży 32 lata i mówi o sobie, że jest ojcem biznesu figur w mieście. W Nowej Soli jest dziś kilkadziesiąt zakładów wytwarzających rzeźby cementane i ogrodowe.

Wykonany z żywicy papież waży około 80 kilogramów. – Gdyby zapakować figurę w ziemi, przeleżałaby



BOGDAN ZAKRZEWSKI I JEGO DZIEŁO

700 lat – zachwala Zakrzewski. Twierdzi, że nie chodzi mu o zarobek, ale o to, by każda gmina mogła sobie tanio postawić własnego papieża. Jednak jeden z konkurentów Zakrzewskiego jest innego zdania: – Figura tej wielkości kosztuje zazwyczaj 1000–1300 złotych. Ale pan Zakrzewski lubi robić wokół siebie dużo szumu.

Czy szum jest skuteczny, nie wiadomo – Zakrzewski nie zdradza lic-

by zamówień, ale twierdzi, że dzwonią do niego ludzie z całej Polski.

Apele polskich biskupów, by budować papieżowi raczej pomniki żywe, niosąc pomoc chorym i ubogim, wydają się bezskuteczne. – W Katowicach nie ma pomnika Jana Pawła II, istnieje za to hospicjum jego imienia – mówi ksiądz Arkadiusz Wuwer. Ale władze miasta już postanowiły, że wystawią papieżowi pomnik. (MAX)

„TRZYNASTKA” ZA BOMBIARZA

NAGRODA PREZYDENTA KACZYŃSKIEGO TRAFI DO POLICJANÓW

150 tysięcy złotych nagrody za złapanie sprawcy alarmu bombowego w Warszawie trafi w ręce 51 policjantów. Jak się dowiedzieliśmy w Komendzie Stołecznej Policji, lista nazwisk funkcjonariuszy najbardziej

zaangażowanych w akcję została już przekazana do warszawskiego ratusza. Nagrodę obiecał bowiem wypłacić prezydent Warszawy Lech Kaczyński. Gdy zamykaliśmy ten numer „Przekroju”, nie było jeszcze wiadomo, jak pieniądze zostaną podzielone – średnio wychodzi prawie trzy tysiące na głowę. Zaledwie dwa dni zabrakło stołecznej policji złapanie kretyna (nie jesteśmy oryginalni, używając tego naprawdę precyzyjnego określenia, pierwsza zastosowała je Justyna Pochanke z TVN), który fałszywą informacją o bombie sparaliżował pół stolicy. Okazało się, że sprawcą jest 40-letni Jacek K., rencista i były policjant. Z donosem o rzekomej bombie zadzwonił do pogotowia ratunkowego na kartę typu pre-paid. Kartę po użyciu zniszczył, ale i tak został namierzony przez policyjnych specjalistów. (MAX)



BOMBIARZ JACEK K. W PEŁNI ZASŁUŻYŁ NA MIANO KRETYNA

Studenci w kosmosie

Akademicka misja kosmiczna? Czemu nie – do startu szykuje się satelita przygotowany przez SSETI (Student Space Exploration and Technology Initiative) – stowarzyszenie zrzeszające 32 uczelnie z 12 krajów Europy. Jego celem jest przygotowanie minisatelitów, które będą wysyłane w kosmos we współpracy z Europejską Agencją Kosmiczną.

Program ma służyć testowaniu podzespołów, które będą wykorzystywane w typowych misjach. Pierwszy satelita – ESEO (European Student Earth Orbiter) – pomoże zbadać nowe napędy rakietowe, a na orbicie wykona zdjęcia Ziemi za pomocą miniaturowych satelitów. Polski zespół z politechnik Wrocławskiej oraz Warszawskiej przygotował dla ESEO trzy anteny zapewniające komunikację ze stacją naziemną. Satelita ma zostać za miesiąc wyniesiony na orbitę przez rosyjską raketę Kosmos 3M. (PSTAN)

semestr STUDENT na celowniku



100. wydanie już w październiku

MICHAŁ MATYS

**Kogo zobaczymy
za trzy miesiące
w nowym rządzie?
Prezentujemy
ministrów**

Jarosław Kaczyński chętnie rozmawia o kandydatach na przyszłych ministrów. – Interesują nas wszystkie resorty. Prawo i Sprawiedliwość ma wielu kompetentnych ludzi, dobrze przygotowanych do rządzenia – mówi. Kandydatów Platformy Obywatelskiej zna tylko Jan Rokita. – Mam rząd we własnej głowie.

Wiem, jak powinien wyglądać – zapewnia. Ale nie zdradzi tego nikomu, nawet współpracownikom.

– Nie przygotowaliśmy gabinetu cieni. Zostałyby to uznane za rozdawanie stołków – twierdzi Rokita. – W Wielkiej Brytanii to normalne, że istnieje opozycyjny gabinet, tak jak urzędujący rząd, na pensji Jej Królewskiej Mości. W Polsce to abstrakcja.

Nie przeszkadza to obu kandydatom na premierów w rozmowach o przyszłym rządzie. PiS i PO przewodzą w sondażach wyborczych. Jeśli jesienią zyskają najwięcej głosów, przejmą władzę w Polsce.

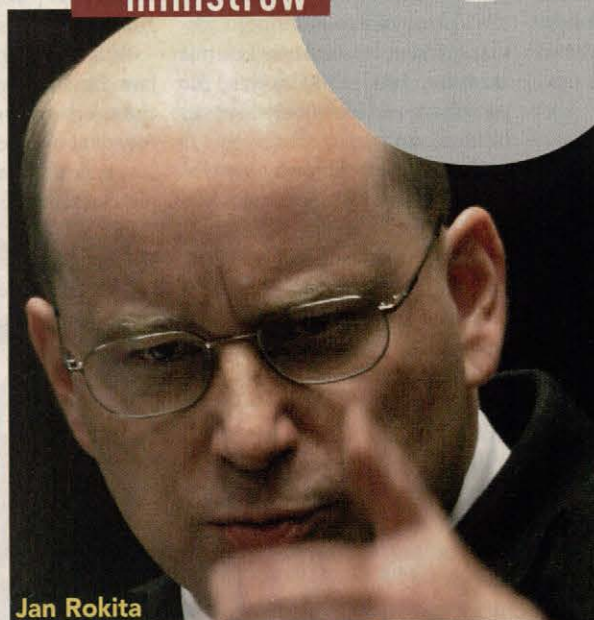
PODZIAŁ RÓL

PiS obejmie ministerstwa Sprawiedliwości, Spraw Wewnętrznych, Edukacji, Kultury oraz Rolnictwa i Ochrony Środowiska. PO będzie odpowiadać za finanse i gospodarkę, sprawy zagraniczne oraz prawdopodobnie obronę i zdrowie. Premierem zostanie ten, kogo partia wygra wybory. Taki podział ról można przewidzieć na podstawie tego, co mówią obaj kandydaci, jeśli ich partie dostaną zbliżoną liczbę głosów.

Jarosław Kaczyński stawia na sprawiedliwość i ideały. – Nie uzyskamy szybkiego rozwoju, jeśli nie zbudujemy sprawnego państwa. Kluczem jest reorganizacja resortów sprawiedliwości oraz spraw wewnętrznych i administracji. Dotąd działały jak wehikuł przenoszący patologie z PRL. Potrzebna jest naprawa – mówi.

W następnej kolejności wymienia: kulturę, oświatę oraz rolnictwo i ochronę środowiska. – Mamy większe poparcie na wsi niż Platforma – przekonuje.

Dla Jana Rokity najważniejsze są moralność i gospodarka. – Po pierwsze, rząd powinien przywrócić odpowiedzialność establishmentu za własne czyny. Symbolem zła jest Leszek Miller. To dno, od którego trzeba się odbić – twierdzi Rokita. – Po drugie, marzy mi się uczynienie polskiej gospodarki najbardziej konkurencyjną



Jan Rokita



Jarosław Kaczyński



Jacek Saryusz-Wolski



Stefan Kawalec



Zbigniew Ziobro



Ludwik Dorn



Zbigniew Wassermann



Jan Szyszko



Elżbieta Radziszewska



Krzysztof Jurgiel



Kazimierz Marcinkiewicz

Fot. AG (4), FLIP (2), WIKI/NEWSWEEK/REPORTER, EAST NEWS, FORUM (2), JACEK HEROK/NEWSWEEK/REPORTER (2), KAP/IE, PAP (3), REPORTER (4)

w Unii Europejskiej. Jeśli tego nie zrobimy, za parę lat będziemy wskazywać na ukraińskiego hydraulika, jak dziś Francuzi wskazują na polskiego, i obarczać go winą za kryzys.

Ale Rokita uparcie odmawia wymienienia ministrów, na których mu zależy. – Jeśli w PiS znajdę wybitniejszego kandydata niż w Platformie, zrobię wszystko, aby to on objął dane stanowisko – zapowiada.

PO: FINANSY I MSZ

Najpoważniejszym kandydatem na ministra finansów jest Stefan Kawalec, dawny opozycjonista, członek Komitetu Obrony Robotników. Słynie ze stoickiego spokoju, małomówności i kamiennej twarzy.

Jest uznanym w świecie ekonomistą. Na początku lat 90. był współpracownikiem wicepremiera Leszka Balcerowicza i wiceministrem fi-

nansów. Zwolnił go premier Waldemar Pawlak, któremu nie podobała się prywatyzacja Banku Śląskiego.

– Dwa lata temu Stefan Kawalec na moją prośbę stworzył zespół ekspertów, który przygotowuje analizy, opracowania i projekty dla przyszłego rządu. Poprzednie ekipy SLD przychodziły z „pustymi szufladami” i drapały się po głowie, co by tutaj w kraju zrobić. Chciałem tego uniknąć – mówi Rokita.

Z Kawalcem współpracują „młode wilki” Leszka Balcerowicza, czyli ekonomiści ze związanego z nim Centrum Analiz Społeczno-Ekonomicznych. Wspólnie opracowali program gospodarczy Platformy: wprowadzenie 15-procentowego liniowego podatku dochodowego dla wszystkich, uproszczenie PIT-ów i obniżenie składek społecznych.

„Przekrój” nieoficjalnie dowiedział się, że PiS byłby w stanie przełknąć Kawalca. Choć

GABINETU



Rafał Grupański



Józef Płoskonka



Jerzy Polaczek



Kazimierz Ujazdowski



Tadeusz Cymański



Radek Sikorski



Bronisław Komorowski

Co weekend w Krakowie ląduje
coraz więcej żądnych alkoholu,
seksu i zabawy młodych
Brytyjczyków

NOWI KOLEDZY I SMOKA

Piątkowy wieczór, krakowski Rynek. Kawiarniano-turystyczny tłum. Szkolne wycieczki, gołębie i dorożki. Niemieccy emeryci sączą kawę, ktoś gra na szklankach „Let It Be”, pomiędzy tym wszystkim hasa lajkonik. Ogródek u wylotu ulicy Siennej okupuje Johnny Pawian i banda jego kolegów. 29 chłopaków z Bristolu, Liverpoolu i Londynu zajmuje połowę lokalu. Typowo brytyjskie ilości piwa na stolikach i równie typowe, wykazykiwane na 30 gardeł, stadionowe zaśpiewy.

Za dwa tygodnie Johnny bierze ślub. Jego plan na nadchodzący weekend jest prosty. – Najpierw będziemy pić. Potem będziemy tańczyć. Może uda nam się poznać jakieś miejscowe dziewczyny. Jutro to samo, pojutrze do domu.

Podobnych grup jest w ten weekend w Krakowie i w Warszawie kilka. Brytyjska tradycja weekendowych imprez wyjazdowych właśnie dociera do Polski.

WEEKENDOWI WIKINGOWIE

Masowe weekendowe podróżowanie Anglików zaczęło się w połowie lat 90. wraz z pojawieniem się tanich linii lotniczych. Zagraniczne wycieczki z dnia na dzień stały się tak tanie, że mogli sobie na nie pozwolić niemal wszyscy. – Zamiast siedzieć w pubie na rogu lub po raz setny jechać do Blackpool czy New Brighton, za podobne pieniądze masę pracujących zaczęły latać tam, gdzie są palmy, złoty piasek i tani alkohol – tłumaczy Russel Smith z biura podróży Vamos Travel.

Na pierwszy ogień poszła hiszpańska Ibiza i grecki Mykonos. Na plaże i do klubów samoloty przywoziły co piątek tysiące żądnych dobrej zabawy młodych wyspiarzy. Zjawisko przybrało taką skalę, że niektóre kurorty zmieniły się w nieoficjalne angielskie kolonie. W niedługim czasie z powodu ułatwionego dostępu do narkotyków do Ibizy dołączył Amsterdam, parę lat później tanim piwem i seksem zaczęły przyciągać Praga i Budapeszt.

Oprócz sporej ilości pieniędzy młodzi Brytyjczycy wszędzie zostawiali po sobie złe wspomnienia: picie na umór, uliczne bójkki kibiców Chelsea i Tottenhamu, jeżdżenie wynajętymi samochodami pod prąd, zdemolowane hotele. Najgorszą sławę zyskały tak zwane stag groups (stag – rogiacz, stag party – wieczór kawalerski), czyli grupy młodych mężczyzn przyjeżdżających

na weekendy kawalerskie. Pijaństwo, które u nas trwa jeden wieczór, w Wielkiej Brytanii tradycyjnie ciągnie się od piątku do niedzieli. Na Ibizie w 1998 roku angielski konsul Michael Birkett nazwał swoich rodaków „weekendowymi degeneratami” i ze wstydu podał się do dymisji. W Pradze po początkowym zachwycie hotelarzy i właścicieli klubów zwiększonymi obrotami zaczęto wymagać od grup młodych Anglików wysokich kaucji, a niektóre lokale w obawie przed rozróbami przestały wpuszczać ich do środka. Czeska bulwarówka „Blesk” nazwała ich „nowymi wikingami”. Stali się zmorem, jak piłkarscy kibice w latach 80.

ZA BARDZO MIESZAMY

Sprawa stała się na tyle poważna, że zajęło się nią brytyjskie ministerstwo spraw zagranicznych. 26 czerwca „Sunday Times” opublikował wyniki sondażu przeprowadzonego wśród turystów w wieku od 16 do 30 lat. To, o czym wszyscy od dawna wiedzieli, zostało oficjalnie potwierdzone.

Zwiedzanie w ogóle nie interesuje młodych Brytyjczyków; 75 procent zamierza się upić, 28 procent planuje przypadkowy seks z przedstawicielami miejscowej ludności, niektórym (5 procent) nie przeszkadza nawet brak zabezpieczenia. – A czego się spodziewać po bandzie zdrowych facetów? – kwituje Rob z Manchesteru, zując kebab na ulicy Grodzkiej.

Zgodnie z planem Johnny’ego Pawiana i wynikami sondażu weekend zaczyna się od picia. Atuty Krakowa są oczywiste: – Piwo jest tu nawet tańsze niż w Pradze i, co mnie zaskoczyło, równie dobre. Chyba też trochę mocniejsze – śmieje się Johnny.

Jest godzina 20, większość grupy jest już pod wyraźnym wpływem. Dave dołączył nieco później i nie trzyma tempa. Ocenia sytuację trzeźwiejszym okiem: – Nie wiem, skąd u nas te tendencje. Uwierzyć mi, u siebie tak się nie zachowujemy. W klubach i na ulicach widzisz pijanych kolesi, ale nie tak bardzo jak na wyjazdach. Może o to chodzi, że czujemy się tu bogaci, próbujemy jakichś wymyślnych lokalnych drinków i za bardzo mieszamy?

Barmanka co kilka minut przynosi kolejne tace z kufkami i bliżej niezidentyfikowane kolorowe napoje. Stadionowe okrzyki robią się coraz głośniejsze. Dave dogonił towarzystwo. Około 23 najbardziej trzeźwy Rambo reguluje 600-złotowy

rachunek. Chłopaki wsiadają do taksówek i ruszają dalej.

NIEMOWNY KRAKÓW

Po wstępnej zaprawie w pubie tradycyjnie przychodzi czas na kluby. W 2001 roku w kultowym dla sceny klubowej magazynie „The Face” ukazał się krótki reportaż o clubbingu w Polsce. Można się z niego dowiedzieć, jak nieodborne być młodym Polakiem. „The Face” pisze: stopa bezrobocia wśród młodzieży wynosi 14 procent [tak w oryginale, choć błędnie – przyp. red.], ulubiona narodowa kapela to grający na bałajkach Kult, na koncert prehistorycznych niemieckich Scorpionsów przychodzi 80 tysięcy osób, a scena klubowa w zasadzie nie istnieje.

W 2005 roku na sprawę patrzy się inaczej. Matthew z Dublinu jest zachwycony nocnym życiem Krakowa: – Wasze kluby nie są jeszcze skomercjalizowane. Jest tu energia i prawda, jakiej u nas nie ma już od 10 lat. Didżeje nie są gwiazdami, grają, bo lubią, a nie dlatego, że chcą zarobić kasę. To się czuje, a my potrafimy to docenić. To dla nas jak powrót do korzeni. Tu w klubach po prostu się tańczy, to super. U nas wszyscy tylko patrzą po sobie i stoją w kolejce do baru po następne piwo.

Grupa Steva z Manchesteru zajęła stoliki w ogródku w rogu Rynku. To dobre miejsce – można popatrzeć na przechodzące dziewczyny. Jak one to robią, że są takie chude, zupełnie inna bajka niż u nas. Czy wszyscy tu uprawiają sport? – zastanawia się Rob, brat Steva. – Zakończuję się co pięć minut. Ale wszystkie są jakieś strasznie smutne i nieśmiałe. Boją się nas, nie chcą z nami rozmawiać.

Staggersi raczej słabo radzą sobie z przyjętym u nas kanonem podrywu – w ich wydaniu zagajanie najczęściej zaczyna się od klepania w tyłek lub okaleczonego brytyjskim akcentem okrzyku: „Jesteś piękna!”.

Opcją pozostają profesjonalistki. Tutaj Kraków stwarza problem, bo w okolicach centrum znajduje się raptem kilka niezbyt intensywnie się promujących agencji i jeden bar ze striptizem. Trumpet idzie na rekonesans. – Totalna kicha w stylu lat 80. Jakies podejrzane typki z wąsami, nikt nie mówi po angielsku, dzweczyny brzydkie. Nigdzie nie idziemy, zostajemy i pijemy.

Trumpet wie, o czym mówi, bo wizyta w go-go to na stągach żelazny punkt programu. – Ale mo-

żecie być pewni, że to tylko kwestia czasu, te kluby zaczną tu powstawać.

Mike, informatyk z Leeds, to inny typ stagera i inne podejście do sprawy: – Idziesz do klubu i spotykasz normalne dziewczyny, to jest super. W Pradze czy Budapeszcie masz wrażenie, że one wszystkie są tam tylko po to, żeby ci dogodzić, wciskają ci ulotki o burdelach i barach ze striptizem. Praga jest grzeszna, a Kraków na razie jest czysty, jakby nietknięty, i bardzo mi się to podoba.

Z GÓRY PRZEPRASZAMY

To właśnie ta krakowska „czystość” jest w tej chwili głównym magnesem przyciągającym Brytyjczyków. Nawet ci najbardziej żądni przygód, jak Steve i jego brygada, są w stanie wybaczyć Krakowowi brak porządnego baru ze striptizem. Rekompensatą jest poczucie wyjątkowości. – Ludzie patrzą na nas i nie wiedzą, o co chodzi. Nikt się nas nie boi, nikt nie zamyka przed nami drzwi. No i przede wszystkim nie spotykamy milionu grup takich jak nasza.

Simon Boice z londyńskiego biura podróży Brilliant Weekends mówi: – Praga i Budapeszt zdążyły już się przejechać. Każdy był tam po kilka razy i choć zawsze było pięknie, to ile można? Teraz przyszedł czas na nowe miejsca. Polska, Litwa, Estonia – tu się będzie latać przez najbliższe dwa-trzy lata. Do Warszawy na konferencje i spotkania biznesowe, do Krakowa na imprezy. Krakowska oferta naszej firmy wystartowała w połowie lipca. Z tego, co wiem, inni również nad tym pracują.

TO DOPIERO POCZĄTEK

4 rano, ulica Szewska. Tłok jak w dzień. Kolejka do McDonalda, kolejka po kebaba i po zapiekanki. Ludzie przelewają się z klubu do klubu. Zapach perfum, potu i alkoholu. Chłopak w koszulce Liverpoolu zasnął na chodniku, inny zaczepia ludzi i stara się ich przekonać, że jest bratem sławnego rapera 2Paca. Gestykuluje tak mocno, że pół kebaba spada mu na ziemię. Tiv, kolega Mika z Leeds: – To miasto jest, niestety, idealnym miejscem na stag weekend. To dopiero początek, za parę miesięcy możecie spodziewać się najgorszego – hord pijanych kolesi z West Midlands. Będą spać na chodnikach i sikać po ścianach, jak zwierzęta z filmu sir Davida Attenborough. Z góry za nich przepraszamy. Pamiętajcie, proszę, że nie wszyscy tacy jesteśmy. ■

PRZE
KRÓJ

Poproszę pana o definicję zdrady.
– Proszę bardzo: zdrada to jawny brak lojalności, stworzenie komuś pewnych nadziei, wykorzystanie jego naiwności i jego dobrej woli. Pewne rzeczy często nie są dopowiedziane do końca, ale ludzie mają do siebie zaufanie i liczą na wzajemną przyzwoitość. Zdrada to nagłe wycofanie tej niepisanej i niejawną umowę.

Ta definicja nie odnosi się wyłącznie do stosunków damsko-męskich.

– Oczywiście, że nie. To definicja opisująca zdradę w kategoriach relacji międzyludzkich. W przedsiębiorstwach, firmach, na wyższych uczelniach. U nas, proszę pani, jest taka niepisana umowa, że nie podkrada się sobie nawzajem tematów badawczych. Jeśli ktoś podkradnie temat i wystrychnie kolegę na dudka, publikując wyniki badań wcześniej niż autor projektu, to będziemy to traktować jako rodzaj nielojalności.

A mnie najbardziej interesuje zdrada w życiu publicznym.

– Mogłem się tego domyślić. To ta sama definicja, droga pani. Choć oczywiście mówimy tu o relacjach między kimś, kto bierze na siebie funkcję publiczną, a resztą społeczeństwa, więc jeśli chodzi o politykę, to zdrada może być tylko jednostronna.

Która strona jest zdradzana?

– Społeczeństwo oczywiście, jeśli polityk nie wywiąże się ze składanych obietnic wyborczych. Nie ma takiej możliwości, żeby to społeczeństwo zdradziło swojego reprezentanta. Bo i jak?

Nie głosząc na niego ponownie.

– Ale to nie zdrada. To tylko wycofanie poparcia. Każdy wytrawny polityk zdaje sobie sprawę z chimeryczności społeczeństwa. Dopóki jest mało znany, pozostaje atrakcyjny, bo fascynuje nas to, co wyobrażamy sobie na jego temat. Ale gdy już poznamy jego wady, to często nie mamy ochoty, żeby ta osoba dłużej nas reprezentowała. Rozczarowanie do polityków nakręca rotację polityków, co w sumie jest korzystne dla społeczeństwa.

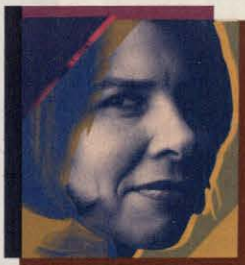
Przychodzą nowi i też nas rozczarowują.

– Wie pani, jest takie późnośredniowieczne dzieło „Gesta Romanorum” – „Czyni Rzymian”. To taki paszkwil raczej niż poważne dzieło naukowe, rodzaj bajek dla dorosłych. Wśród nich jest opowieść o dobrym samarytaninie, który zobaczył człowieka leżącego na skraju drogi, całego pokrytego strupami i ranami. Zobaczył, że gryzą go muchy, więc odgania je muchy i mówi: „Teraz odczujesz ulgę”. A ten biedny, chory człowiek odpowiada: „Na tym

PROFESOR JACEK HOŁÓWKA

PRYZWYCZAJENI DO ZDRADY

CO JEST, A CO NIE JEST ZDRADĄ W ŚWIECIE POLITYKI? – PROFESORA ETYKI JACKA HOŁÓWKĘ PYTA



KATARZYNA KOŁENDA-ZALESKA „FAKTY”, TVN

polega twoja naiwność. Teraz dopiero będę cierpiał, bo poprzednie muchy już były najedzone!”.

Ha, ha. Politycy jako najedzone muchy!?

– Niestety, ta opowieść doskonale się odnosi do naszych polityków i, prawdę powiedziawszy, rotacja wśród nich bardzo często prowadzi nas do paradoksu obzartych much. Silna pozycja tego czy innego polityka jest traktowana bardzo często jako możliwość załatwienia sobie dobrych wpływów i czerpania z tego zwykłych korzyści.

A mnie interesuje też zdrada między samymi politykami. Przyznam szczerze, że często patrzę na te pielgrzymki ludów z jednej partii do drugiej i do kolejnej i nie mogę zrozumieć, jak można być tak nielojalnym? Wobec kolegów, wobec samych siebie i ideałów, w które się wierzy. O ile się wierzy.

– Oczywiście ma pani rację. Dodam, że najbardziej jaskrawym przykładem zdrady polityków wobec społeczeństwa jest brak społecznego wglądu w mechanizmy ustalania pierwszego miejsca na listach wyborczych.

O! Teraz mamy tego przykłady wywołujące ogromne emocje w samych partiach.

– To zrozumiałe, ale mnie chodzi o to, że nawet w najlepiej zorganizowanej demokracji nie udaje się monitorować tego, co się dzieje w obrębie samych partii. Żadna partia nie przyjmuje zasad demokracji w odniesieniu do samej siebie. I jeśli ktoś ma silną pozycję wewnątrz, to siłą rzeczy uczy się bardzo niedemokratycznego sposobu myślenia, z którego później trudno jest się mu wyzwoić.

Ale jak to rzutuje na relacje ze społeczeństwem? Ze zdradą?

– Taki człowiek uczy się – wewnątrz własnej struktury – jak pewne rzeczy załatwiać po cichu. Na zasadzie nieformalnych obietnic w zamian za ewentualne korzyści, często nienazwane. Potem trudno wyzbyć się złych nawyków. Prezydent Harry Truman, gdy objął swój urząd, postawił na biurku tabliczkę: „The Buck stops here” [„Dolar zatrzymuje się tutaj”], co miało oznaczać, że w tym urzędzie niczego już nie będzie można załatwić. W Polsce nie myśli się w takich kategoriach. Nikt nie chce się przyznać, że to korzyści własnej formacji motywują większość polityków. Powiem pani, że jest to dość spiskowo myśląca klasa polityczna. I zdradą dla nich będzie wyzbycie się klikowych mechanizmów partyjnej lojalności.

Falszywej lojalności?

– Właśnie, takiej, która prowadzi do autentycznej zdrady. Zdrada może być nawet korzystna dla społeczeństwa, ale zdrada towarzyszy partyjnych, a nie ideałów. Oczywiście to, o czym rozmawiamy, nie jest karalne. W sensie prawnym naturalnie.

Ale mam wrażenie, że dość akceptowalne. Zwłaszcza przez polityków.

– Tak, to taka przywara zawodowa. **A czy odmowa lub wycofanie poparcia to także zdrada?**

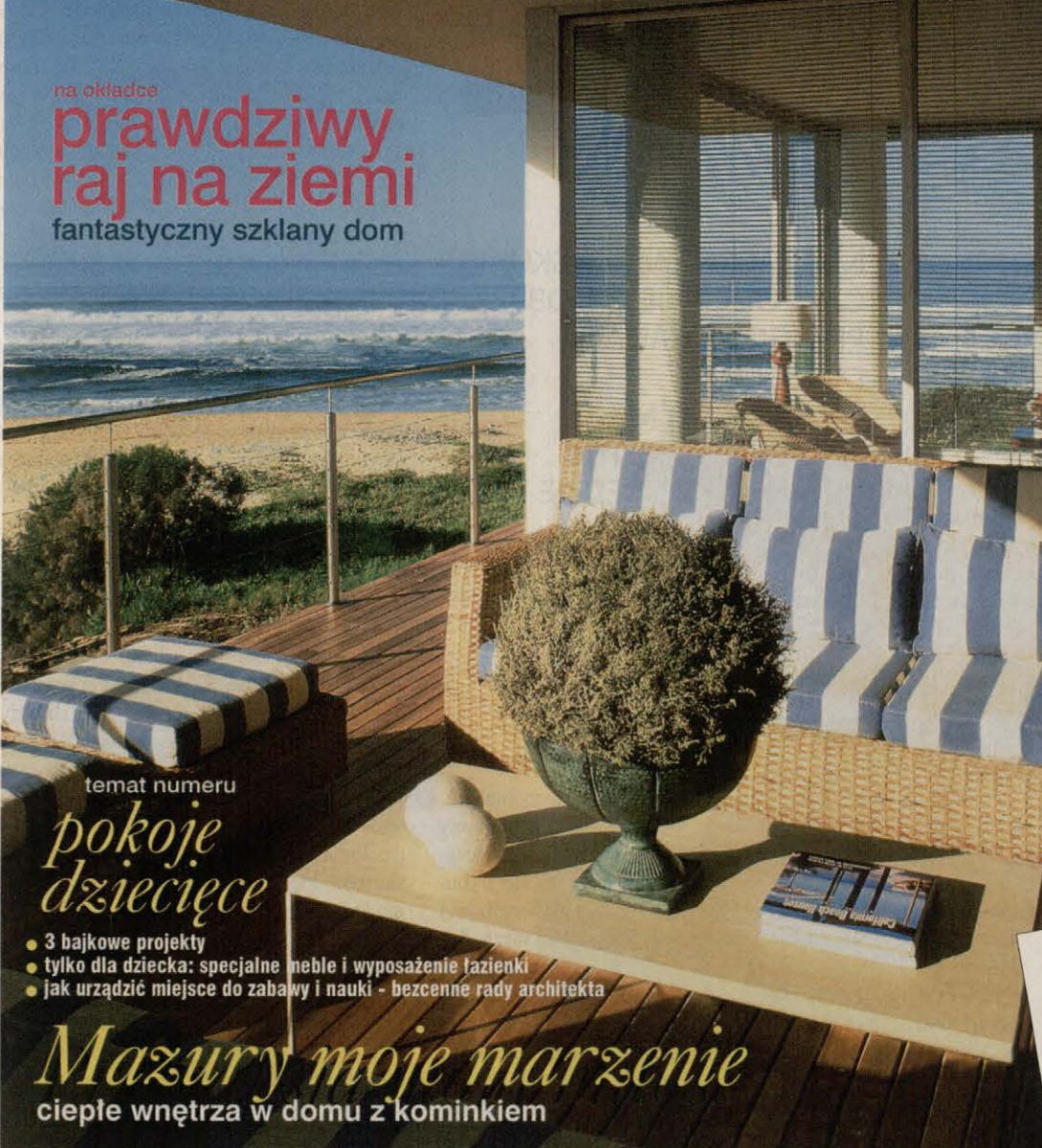
– Jakiś konkretny przykład? **Tomasz Nałęcz, który był szefem sztabu wyborczego Marka Borowskiego, mówi publicznie, że trzeba poprzeć Włodzimierza Cimoszewicza.**

– Tego bym zdradą nie nazwał. **A jak by pan to nazwał?**

– Zmianą sojuszu. Nie mam poczucia, że w tym układzie ktoś komuś służył, że Nałęcz służył Borowskiemu. Oni mają równorzędne pozycje w polityce i chyba się nie umówili, że jeśli trzeba będzie przejść przez wąskie drzwi, to jeden z nich wchodzi pierwszy. Jeśli nie było takiej umowy, to nie ma zdrady. Każdy idzie swoją drogą.

DOM & WNETRZE

NR 08 | 19/2005 SIERPIEŃ NR INDEKSU 35693X - CENA 9,90 zł (w tym 7% VAT)



na okładce
prawdziwy raj na ziemi
fantastyczny szklany dom

temat numeru
pokoje dziecięce

- 3 bajkowe projekty
- tylko dla dziecka: specjalne meble i wyposażenie łazienki
- jak urządzić miejsce do zabawy i nauki - bezcenne rady architekta

Mazury moje marzenie
cieple wnętrza w domu z kominkiem

foto: Ken Hayden/Redcover.com

PREZENT!

FILM na DVD

do wyboru:
Marta i wielbiciele
Pokój syna
Ludzie, których znam



już w sprzedaży

Foto: MAREK SZCZEPAŃSKI, PIOTR MAŁECKI/NEWSWEEK/FORMA

Terrorystom stanowcze **NIE**

Kto w Polsce odpowiada za przeciwdziałanie atakom terrorystycznym? Właściwie nikt. Nie ma nawet bezpośredniego ustawodawstwa związanego z obroną antyterrorystyczną.

Ustawa z 2002 roku O stanie klęski żywiołowej określa, że akcją ratowniczą – w tym wypadku po ataku terrorystów – kieruje w zależności od zagrożonego obszaru: wójt, burmistrz, prezydent miasta, wojewoda lub minister wyznaczony przez premiera. Natomiast planowaniem użycia sił i środków zajmują się odpowiednio wojewódzki zespół reagowania kryzysowego lub Rządowy Zespół Koordynacji Kryzysowej.

Kierowanie działaniami w sytuacji kryzysowej, także po ataku terrorystów, zostało więc powierzone organom administracji cywilnej, nie zawsze przygotowanym merytorycznie do kompleksowego kierowania obroną antyterrorystyczną. Dochodzi do tego nasz folklor polityczny – w niektórych regionach mogliby dziś nami dowodzić fachowcy z Samoobrony lub aresztowani prezydenci miast.

NIESKOORDYNOWANE SŁUŻBY

Planowanie antyterrorystyczne należy opierać na konkretnej ocenie zagrożeń, a także na ciągłym ich monitorowaniu. Tym z kolei zajmują się zupełnie inne organy państwa. Są to służby specjalne: Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego (zajmuje się rozpoznaniem zagrożeń wewnątrz kraju), Agencja Wywiadu (rozpoznanie zagrożeń za granicą) i Wojskowe Służby Informacyjne (dublowanie działań obu poprzednich agencji).

Samo istnienie kilku agencji wywiadu/kontrwywiadu nie jest niczym nagannym, a konkurencja między nimi podnosi jakość pracy. Jednak po ataku z 11 września 2001 roku Amerykanie zauważyli, że brak przepływu informacji pomiędzy własnymi agencjami był jedną z głównych przyczyn, które doprowadziły do tragedii.

W Polsce za taką koordynację odpowiadają rządowe Kolegium do spraw Służb Specjalnych i zespół do zwalczania przestępczości zorganizowanej

NIM ZACZNIEMY DYSKUSJĘ, CZY POLSKA JEST DOBRZE PRZYGOTOWANA DO OBRONY PRZED ATAKIEM TERRORYSTYCZNYM, USTALMY, KTO BĘDZIE NAMI DOWODZIŁ W TAKIM WYPADKU. Z OBECNYCH PRZEPISÓW WYNIKA, ŻE BYŁBY NIEZŁY BAŁAGAN

wanej i terroryzmu kryminalnego przy MSWiA. Teoretycznie istniał też mechanizm zwany wspólnotą informacyjną rządu, czyli tryb wymiany informacji pomiędzy ministrami. Ale Trybunał Konstytucyjny w 2004 roku zakwestionował przepisy regulujące wspólnotę jako niezgodne z konstytucją, więc mechanizm ten w ogóle nie funkcjonuje. Wszystko to oznacza rozproszenie odpowiedzialności za koordynację.

Co gorsza, istnieją dwa względnie niezależne ośrodki wymiany informacji pomiędzy organami bezpieczeństwa państwa. – Z jednej strony można mówić o podsystemie służb specjalnych, z drugiej zaś o podsystemie służb policyjnych i porządkowych – pisze Sławomir Zalewski z Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Ośrodkiem koordynacji drugiego podsystemu jest Krajowe Centrum Informacji Kryminalnych. Natomiast służby specjalne (ABW, AW i WSI) nie mogą korzystać z jego danych ani nie są zobowiązane do przekazywania mu swoich informacji.

GDZIE JEST DOWÓDCA?

Problem koordynacji istnieje nie tylko, jeśli chodzi o zbieranie danych i monitorowanie zagrożeń, ale także na szczeblu wykonawczym. W żadnej z ustaw (O stanie klęski żywiołowej czy O stanie wyjątkowym – obie uchwalone

w 2002 roku, czyli już po bałaganie powodzowym) nie zostało wyraźnie określone, kto odpowiada za rozwinięcie systemu dowodzenia, kierowania i łączności na potrzeby akcji ratowniczej, tak by zapewnić interoperacyjność i jedność wysiłków wszystkich elementów biorących w nich udział. W rezultacie poszczególne służby – policja, straż pożarna, pogotowie, straż miejska i inne – nie dysponują wspólnym systemem łączności i koordynacja ich działań jest poważnie utrudniona.

Na żadnym szczeblu krajowego systemu reagowania kryzysowego – od premiera do wójta – nie ma też bezpiecznego, utajnionego stanowiska dowodzenia, na którym mogłyby pracować osoby funkcyjne reprezentujące odpowiednie służby i agencje państwowe. Mówimy oczywiście o stanowisku kierowania w chwili samego ataku, odpowiedniego organu kompleksowo odpowiedzialnego za ocenę, monitorowanie zagrożenia oraz planowanie przeciwdziałania nie ma bowiem w Polsce w ogóle.

CYWIL WE MGLE

I wreszcie kwestia użycia sił zbrojnych. 20 lutego 2003 roku premier Miller wydał rozporządzenie w sprawie udziału sił zbrojnych w zapobieganiu klęskom żywiołowym i usuwaniu ich skutków, które obejmuje też usuwanie skutków ataku terrorystycznego. Stwierdza ono, że dowódcy jednostek wojskowych wydzielonych do zadań związanych z usuwaniem skutków klęski żywiołowej wykonują polecenia kierującego akcją.

A zgodnie z ustawą są to: wójt, burmistrz, prezydent miasta, wojewoda lub minister wyznaczony przez premiera. Wracamy więc do problemu folkloru politycznego i przygotowania cywili. Najprawdopodobniej większość z nich nawet nie zdaje sobie sprawy, za co odpowiadają po ataku terrorystów.

Bo czy wymienieni w ustawie przedstawiciele administracji cywilnej są przygotowani do kierowania działaniem jednostek wojskowych? Czy chociaż wiedzą, jakie jednostki stacjonują na ich terenie, jaki mają sprzęt, możliwości i jaki jest poziom ich przygotowania do tego rodzaju działań? Z prawdopodobieństwem granicznym z pewnością można stwierdzić, że nie.

To tylko jeden aspekt związany z obroną antyterrorystyczną kraju. A przecież istnieje jeszcze wiele innych problemów i niedociągnięć. Rozwińmy najpierw kwestię kierowania, koordynacji i odpowiedzialności. Dopiero wówczas obroną przed atakiem terrorystycznym można będzie zająć się poważnie.

MICHAŁ FISZER

Zagłosuj i wygraj!



*Wybierz samochód
Idealny
dla kobiety*

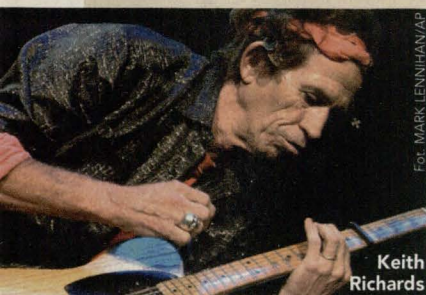
W dniach od 1 czerwca do 31 sierpnia odwiedź serwis polki.pl i oddaj głos na samochód IDEALNY DLA KOBIETY, idealny dla Ciebie. Do wygrania wiele atrakcyjnych nagród.

*Regulamin konkursu dostępny na stronie www.polki.pl

Williams kontra Williams

Słynne amerykańskie tenisistki Venus i Serena Williams czeka niecodzienny pojedynek – tym razem nie na korcie, lecz podczas castingu. Obie chcą zagrać w trzeciej części ekranizacji komiksu „X-Men”. Problem w tym, że rola jest tylko jedna, a siostry dwie. Która z nich zagra postać biseksualnej prostytutki i wystąpi u boku Patricka Stewarta (Professor X) i Iana McKellana (Magneto), na razie nie wiadomo. Nieoficjalnie mówi się jednak, że większe szanse na aktorską karierę ma młodsza siostra, 23-letnia Serena. (KDJ)

Dinozaury w nowych rolach



Keith Richards

Osobliwe projekty trzech legend muzyki. Ozzy Osbourne z Black Sabbath pisze musical o Grigoriju Rasputinie, tajemniczym mnichu brylującym na dworze cara Mikołaja II. Muzyk zainteresował się Rasputinem już przed 10 laty, kiedy to napisał utwór „Rasputin”, który miał pojawić się na płycie „Ozzmosis”. Ozzy tworzy swoje dzieło z pomocą tekściarza Marka Hudsona i już się mówi, że ich musical trafi na Broadway. Z kolei Roger Waters, były lider legendarnego Pink Floyd, kończy pracę nad operą o rewolucji francuskiej. Prawykonanie zaplanowano na koniec roku w Rzymie.

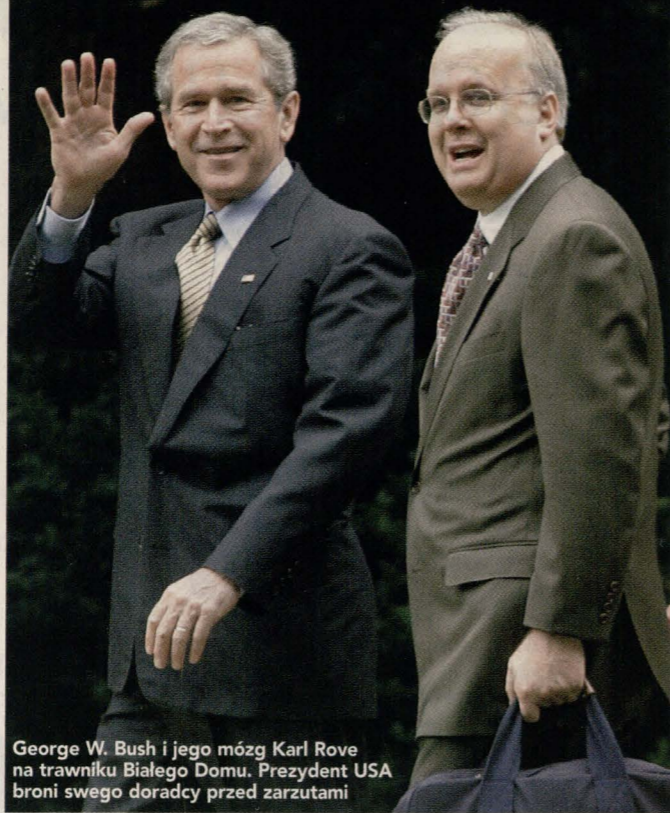
Keith Richards, gitarzysta i współzałożyciel Rolling Stones, postanowił natomiast zostać piratem. Wcieli się w postać ojca kapitana Jacka Sparrowa w kontynuacji kinowego hitu „Piraci z Karaibów”. Dwie kolejne części filmu powstają jednocześnie i możliwe, że rockman wystąpi w obu. Richards raczej nie napracuje się nad rolą – z jego aparacją w zupełności wystarczy mu tylko odrobina charakteryzacji. (KP)

STRATEG W TARAPATACH

BIAŁY DOM WALCZY Z NAJWIĘKSZYM OD LAT SKANDALEM POLITYCZNYM. CZY CZŁOWIEK, KTÓRY DWUKROTNIENIE UCZYNIŁ BUSHA PREZYDENTEM USA, ZDRADZIŁ AGENTKĘ CIA?

Karl Rove jest szarą eminencją Białego Domu. Według niektórych szef doradców politycznych George'a W. Busha jest nie tylko prawą ręką, ale wręcz mózgiem prezydenta USA. Demonizowany przez Demokratów spec od marketingu politycznego był w każdym razie głównym architektem dwóch zwycięskich kampanii wyborczych Busha. Dziś jest podejrzewany o to, że dla politycznych korzyści zdekonspirował agentkę CIA.

W styczniu 2003 roku Bush, przygotowując grunt pod inwazję na Irak, ogłosił w Kongresie, że Saddam próbował kupić uran w Nigerze. Kilka miesięcy później amerykański dyplomata Joseph Wilson ujawnił na łamach „New York Timesa”, że był w Nigerze pół roku przed przemówieniem Busha i na zlecenie CIA sprawdził, że ogłoszono transakcji z Saddamem były bzdurą. Zemsta Białego Domu nadeszła tydzień po artykule Wilsona. 14 lipca ubiegłego roku konserwatywny publicysta Robert Novak napisał, że żona Wilsona Valerie Plame pracuje w Langley i to



George W. Bush i jego mózg Karl Rove na trawniku Białego Domu. Prezydent USA broni swego doradcy przed zarzutami

ona wysłała męża do Nigru. Plame rzeczywiście jest tajnym agentem, a ponieważ za dekonspirację oficera CIA grozi w USA do 20 lat więzienia, prokuratura z miejsca zaczęła szukać źródła przecieku.

Dwuletnie śledztwo zmierza ku końcowi, a wszystkie nitki prowadzą do gabinetu doradcy Busha. Z billingów Białego Domu wynika, że Rove rozmawiał z Novakiem zaledwie dzień po tekście Wilsona, a publicysta potwierdził, że rozmowa dotyczyła Plame. Ale Rove plotkował o agentce nie tylko z Novakiem. Reporter „Time'a” ujawnił w tym tygodniu, że doradca Busha nie tylko zdradził mu miejsce pracy żony Wilsona, ale też dał do zro-

zumienia, że Plame „załatwiła” mężowi zlecenie z CIA. Nie wspominał tylko, że pani Wilson jest czołową specjalistką CIA od tropienia handlu materiałami rozszczepialnymi, a sprawdzenie pogłosek o irackich zakupach uranu należało do jej obowiązków.

Rok temu Bush zadeklarował, że zwolni każdego, kto okazałby się źródłem przecieku. Na razie stoi jednak murem za swoim głównym strategiem. Prócz Busha największe powody do zmartwień ma CIA, bo dekonspiracja amerykańskiego agenta to gratka dla kontrwywiadów obcych państw. Zagraniczni znajomi pani Plame mają już zapewne poważne kłopoty. (JK)

WYPĘDZENI DO BERLINA

MUROWANA KANDYDATKA NA KANCLERZA NIEMIEC POPIERA BUDOWĘ CENTRUM PRZECIW WYPĘDZENIOM W BERLINIE. NIEWYKLUCZONE, ŻE POPRZE TEŻ ROSZCZENIA

Bomba dla stosunków polsko-niemieckich kryje się na 37 stronie programu wyborczego koalicji CDU/CSU, która po jesiennych wyborach przejmie władzę w Niemczech. „Niemcy wypędzeni ze stron oczyszczonych mają także po rozszerzeniu UE do odegrania ważną rolę pomostową we współpracy z naszymi wschodnimi sąsiadami. Chcemy w duchu pojednania dać temu wyraz w Centrum przeciw Wypędzeniom w Berlinie”. Mówiąc wprost, kandydatka na kanclerza Angela Merkel popiera inicjatywę szefowej Związku Wypędzonych Eriki Steinbach, by Centrum powstało w Berlinie,

a nie we Wrocławiu. I najprawdopodobniej powstanie, bo Związek Wypędzonych zebrał już pieniądze i wkrótce kupi upatrzony budynek w Berlinie. Brakuje tylko zgody władz federalnych.

Budowa Centrum to nie wszystko. Poseł Erwin Marschewski, który w CDU/CSU odpowiada za sprawy wypędzonych, chce, by przyszły rząd unieważnił decyzję Gerharda Schrödera o zrzeczeniu się roszczeń odszkodowawczych wobec Polski. Sama Merkel jak na razie milczy w tej sprawie, ale przyjęła zaproszenie Steinbach na zjazd ziomkostw. Odbędzie się on 6 sierpnia. (CYW)

LONDYN ZA IRAK

ZAMACHOWCY Z LONDYNU RACZEJ NIE WIEDZIELI, ŻE SAMI ZGINĄ W ATAKACH. BRYTYJCZYCY TROPIĄ ICH MOCODAWCÓW W PAKISTANIE

Po pierwszych ustaleniach Scotland Yardu wokół zamachów w Londynie mnożą się niejasności. Wiadomo na pewno, że dokonali ich trzej Brytyjczycy pochodzenia pakistańskiego i jeden jamajskiego, w wieku od 18 do 30 lat. Przed zamachami rozdzielili się na stacji King's Cross i zginęli na miejscach eksplozji. Policja wycofała się jednak z twierdzenia, że byli samobójcami, bo wśród ich szczątków znaleziono bilety powrotne, nie mieli też ładunków wybuchowych przy ciele. Być może zostali oszukani przez swo-

wobec Iraku, a „w wojnie z terrorem Wielka Brytania jedzie na tylnym siedzeniu”. Według ekspertów RIAA sojusz z USA wystawił kraj na uderzenie terrorystów, bo „wpływ Wielkiej Brytanii na politykę koalicji jest znikomy, a kraju nie zabezpieczono należycie przed działalnością komórek Al-Kaidy”. Autorzy raportu twierdzą również, że wojna w Iraku pomogła Al-Kaidzie rozwinąć skrzydła i ułatwiła zbieranie funduszy.

Wypowiedź RIAA, jakkolwiek oczywista, to cios dla brytyjskiego rządu, który od zamachów robi wszystko, by nie łączono ich z Irakiem. Blair obstaje przy tezie, że ataków dokonano nie w odwecie za interwencję iracką, tylko w imię „ideologii zła”. Premiera zaczyna krytykować także lewe skrzydło jego własnej Partii Pracy.

By udaremnić kolejny zamach, rząd brytyjski intensywnie rozbudowuje tymczasem sieć informatorów agencji bezpieczeństwa wewnętrznego MI5 i kończy prace nad pakietem ustaw antyterrorystycznych. Akty terroru będą karane surowszymi wyrokami, zakazane będzie również oglądanie stron internetowych z instrukcjami budowy bomb. (JK)



Czterej zamachowcy na Luton Station. Jdą do Londynu, by dokonać zamachów

ich mocodawców. Tej teorii przeczy jednak fakt, że w bombach nie było zapalników zegarowych.

Słupem tropem okazał się też domniemany „chemik z Kairu” – 33-letni Egipcjanin, który miał zbudować bomby, a przed zamachami uciec do Egiptu, gdzie zatrzymano go w ubiegły czwartek. W sobotę władze egipskie oświadczyły, że Magdi al Nashar nie ma związków z terroryzmem i wykluczyły jego ekstradycję. Nowych śladów Brytyjczycy szukają w Pakistanie. Jeden z zamachowców spotykał się z miejscowymi ekstremistami i uczęszczał do szkoły koranicznej. W związku z londyńskim śledztwem w Pakistanie zatrzymano już sześć osób. Według szefa londyńskiej policji brytyjscy terroryści byli tylko „żołnierzami” i musieli mieć zleceniodawców.

Dwa tygodnie po atakach komplikuje się sytuacja polityczna Tony'ego Blaira. Renomowany Królewski Instytut Spraw Międzynarodowych (RIIA) stwierdził publicznie, że zamachy to rewanż fundamentalistów islamskich za politykę

Test życia i śmierci



Dziewczyna czy chłopak? To pytanie nurtuje przyszłych rodziców, od momentu gdy dowiedzą się o ciąży. Dotąd musieli czekać około czterech miesięcy – dopiero w tym wieku genitalia stają się na tyle widoczne, by można je było dostrzec na badaniu USG. A nawet wtedy zdarzają się pomyłki – niejedna dziewczynka w momencie narodzin okazywała się chłopcem.

Nowy test o nazwie Baby Gender Mentor wszystko zmienia – już w piątym tygodniu daje 99,9 procent pewności co do płci dziecka. Wszystko dzięki zaprzęgnięciu genetyki. Wystarczy kropla krwi matki, by test wykazał, czy obecne są w niej ślady chromosomu Y. Ponieważ u zdrowych ludzi występuje on wyłącznie u mężczyzn, jedynym jego źródłem może być płód płci męskiej.

Obok radości tysięcy przyszłych rodziców, którzy nie mogą się doczekać upragnionej wiadomości, test budzi mnóstwo kontrowersji. Chodzi o możliwość przeprowadzenia aborcji, w przypadku gdy rodzice nie są zadowoleni z płci dziecka. Ten problem istnieje przede wszystkim w krajach azjatyckich – Chinach czy Indiach, gdzie rodzice bardzo często zabijają córki, oczekując upragnionego syna. W wielu krajach aborcja dopuszczalna jest mniej więcej do 12. tygodnia ciąży, dlatego niektórzy specjaliści obawiają się, że lawinowo wzrosnie liczba płodów usuwanych z powodu „niewłaściwej” płci.

Na razie te obawy są raczej teoretyczne, bo pojedynczy test kosztuje 275 dolarów, więc dla większości mieszkańców krajów Azji Środkowej jest niedostępny. Jednak z czasem na pewno pojawią się tańsze kopie testu, a wtedy informacja o płci przyszłego dziecka nie zawsze będzie dobrą wiadomością. (PSTAN)

SIKANIE ON-LINE

Turysto, zapomnij o sikaniu, bo zostaniesz sławny. Norweski park krajobrazowy Voringfossen podjął rozpaczliwą walkę z osobnikami załatwiającyymi swoje potrzeby w lesistej okolicy. Na drzewach zamocowano kamery, a ci, którzy zostaną sfilmowani, mogą później zobaczyć swój wyczyn w Internecie. Pierwszymi ofiarami padło kilkanaście osób, które zlekceważyły znaki ostrzegawcze. Ich zdjęcia znalazły się na stronie parku. Voringfossen, miejsce malowniczych wodospadów, położone niemal dokładnie w połowie drogi między Oslo i Bergen, przyciąga rocznie 200 tysięcy turystów. (JK)



FOR VORINGFOSSEN

PIOTR CYWIŃSKI

Tą aferą żyją całe Niemcy. Koncernem Volkswagena wstrząsnął największy skandal korupcyjno-obyczajowy w historii. Jednym z bohaterów jest przyjaciel kanclerza i autor niemieckiego programu reform Peter Hartz

Gerhard Schröder przeklina zapewne godzinę, gdy zaufał pocziwemu 63-letniemu Peterowi Hartzowi. Siwego, energicznego, starszego pana zna każdy Niemiec. To człowiek symbol. Właśnie on, dyrektor do spraw kadrowych w zarządzie Volkswagena, wymyślił przed dwoma laty pakiet reform Hartz I-IV. W ramach rządowego programu Agenda 2010 zafundował Niemcom kurację odchudzającą – cięcia socjalne i ograniczenia prawa do zasiłków dla bezrobotnych. Jak dotychczas ożywienia na rynku pracy nie widać, za to do armii 4,7 miliona bezrobotnych dołączył w ubiegłym tygodniu skompromitowany Hartz.

Zaczął się od niczego. Pierwszy kamień w kierownictwo Volkswagena cisnął skromny urzędnik Commerzbanku z Düsseldorfu. Jego uwagę przyciągnęły wysokie przelewy największego koncernu samochodowego Europy na konta kilku mało znanych firm w Europie i USA. Potem ruszyła lawina. Dyrekcja Commerzbanku podzieliła się swymi spostrzeżeniami z szefem zarządu VW Berndem Pischetsriederem, a ten podjął „wewnętrzne śledztwo”. Głównym podejrzanym był od początku Helmuth Schuster, dyrektor do spraw kadrowych w fabryce Škody w Mlada Boleslav. Sprawa wyglądała początkowo na mało wiarygodną. Autorytet Schustera w centrali Volkswagena w Wolfsburgu był tak silny, że typowano go nawet na następcę samego Hartza.

LEWE POŚREDNICTWO

Jednak śledztwo posuwało się błyskawicznie. Wkrótce wyszły na jaw związki Schustera z Klaussem-Joachimem Gebauerem – bliskim współpracownikiem Hartza z centrali koncernu w Wolfsburgu. Wspólnikami duetu był hamburski bankier Olaf G. i mieszkający na Majorce biznesmen Johann J. To oni wpadli na genialny w swo-

jej prostocie pomysł na przekręt: po cichu zakładali za granicą przez podstawionych biznesmenów firmy pośredniczące potem w lukratywnych kontraktach na sprzedaż samochodów Volkswagena. Wielomilionowe prowizje dla „pośredników”, którzy sami nadawali sobie tytuł generalnych importerów na danym rynku, łądowały w kieszeniach oszustów.

Johann J. założył w amerykańskim Delaware firmę Ancars. Zgodnie z wizjami roztaczanymi przez Schustera przed przełożonymi w Wolfsburgu miała ona pomóc w sprzedaży 20 tysięcy czeskich samochodów Škoda w Angoli. Kontrakt ten zapewniłby koncernowi prawie miliard dodatkowych obrotów.auta miały być dostarczane

do Afryki przez Portugalię. Na ich transporcie miał zarobić pośrednik – Motor-Gestão Comercio E Manutenção. Schuster i Gebauer zapewniłi sobie w Ancars 66 procent udziałów (na papierze należały do Petera J., podstawionego doradcy podatkowego z Kilonii). Następną firmę Schustera i Gebauera pod nazwą Union Capitalo Trust of Switzerland SA utworzył w Szwajcarii bankier Olaf G. Po rozkręceniu interesu szajka liczyła na łupy w wysokości 20 milionów euro.

Dyrektor z Mlada Boleslav Helmuth Schuster zarobił także wielkie pieniądze na ekspansji na rynku azjatyckim. W 2003 roku po kilku wypadach do Indii przedstawił projekt budowy fabryki VW w dwóch regionach – północnym Andhra

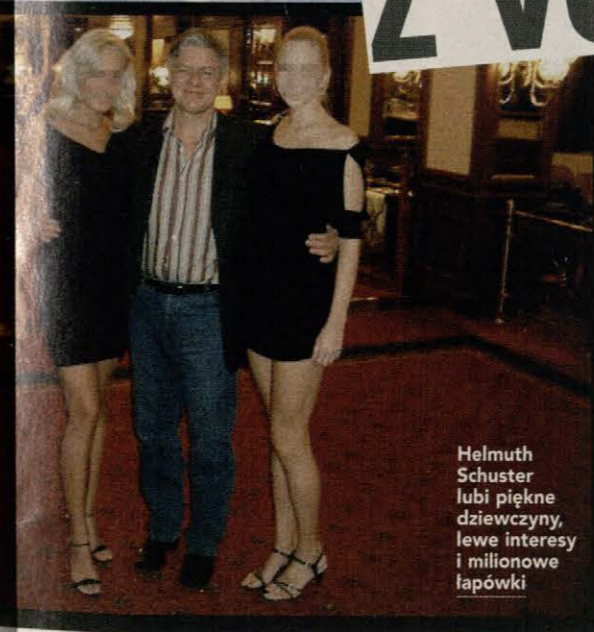


Peter Hartz

Klaus Volkert

GANG

Z VOLKSWAGENA



Helmuth Schuster lubi piękne dziewczyny, lewe interesy i milionowe łapówki

Fot. SUPERSPY

Pradesh i południowym Tamil Nadu. Zarząd w Wolfsburgu podziwiał zaradność Schustera. Ten nie reklamował się łapówkarstwem – na konto firmy wskazanej przez Schustera władze indyjskie przekazały trzy miliony euro...

ŚLUSARZ Z CZARNĄ KASĄ

Schuster został już zwolniony z Volkswagena, ale – jak się przypuszcza – zdążył odprowadzić na swoje prywatne konta miliony euro. Nikt już i nic nie było w stanie powstrzymać afery, która odsłoniła przegniły, skorumpowany system zarządzania Volkswagensem.

Dzięki „wzorcowej współpracy pracodawców i związkowców” w ciemnych interesach maczał

palce także przedstawiciel niemieckiego świata pracy – jeden z najbardziej znanych związkowców w RFN Klaus Volkert. Ten ślusarz z wykształcenia zrobił błyskawiczną karierę. Jako obrońca interesów wielotysięcznej załogi VW Volkert pełnił od 15 lat obowiązki szefa rady zakładowej w fabryce w Wolfsburgu i wchodził w skład rady nadzorczej koncernu. Bez zgody IG-Metall, do którego należy 97 procent robotników VW, nie mogła zapaść żadna ważna decyzja dotycząca płac i warunków pracy. Volkert negocjował porozumienia taryfowe, był też współinicjatorem czterodniowego tygodnia pracy.

„Pierwszy związkowiec” umiał także dbać o własne interesy. W 2001 roku w Pradze powstała firma F-Bel utworzona przez Property Finance w Luksemburgu. Spółka ta – podobnie jak szwajcarska firma Impesa SA – była ściśle powiązana z Schusterem i Volkertem. I w tym wypadku chodziło o niebotyczne prowizje za fikcyjne pośrednictwo.

MÓJ CI PIOTR!

Klaus Volkert opuścił już scenę. W ubiegłym tygodniu podał się do dymisji, oczywiście „z uwagi na zły stan zdrowia”. Ale afery zdążyła już rzucić cień na doradcę premiera Gerharda Schrödera Petera Hartza. Niemiecy dziennika-

rze nie próżnowali. Dotarli między innymi do brazylijskiej piękności z São Paulo Adriany B., którą Volkert – przykładowy mąż i ojciec z Wolfsburga – poznał w 1998 roku w Mediterranean-Club podczas służbowej delegacji za ocean. Od tego czasu spotykali się w różnych miejscach. Adriana B. uczyła się języka angielskiego na kursie w Wielkiej Brytanii, bawiła się na „wyjeździe poznawczym” w Indiach, na urlopie w Turcji. Romans byłby mało znaczącą sensacją dla bulwarówek, gdyby nie jeden fakt: wojaże pięknej Brazylijki odbywały się na koszt koncernu, a więc – ze względu na udziały landu w VW – częściowo także na koszt niemieckiego podatnika, którego rząd tak usilnie namawiał do poświęceń. Ostatnio Adriana spędziła kilka nocy z Volkertem w ekskluzywnym hotelu Lapa Palace w Lizbonie, oczywiście także na rachunek VW. Koncern kupił jej willę oraz wypłacał co kwartał pensję w wysokości 23 tysięcy euro pod pozorem zapłaty za realizację reklamówek na rynek brazylijski.

Czy wszystko to mogło się wydarzyć bez wiedzy i zgody Petera Hartza? Twórca reform opracowanych dla czerwono-zielonego gabinetu Gerharda Schrödera najpierw bił się w piersi, że nie miał z tymi sprawami nic wspólnego. Szybko okazało się jednak, że dyrektor kadrowy z Volkswagena sam nie stronił od pań lekkich obyczajów. Gdy reporterzy „Bilda” dotarli do brazylijskiej prostytutki Joselii R. i pokazali jej plik zdjęć różnych mężczyzn, ta chwyciła fotografię Hartza i zakrzyknęła: „Och, to przecież mój

Fot. JUNGEBLOTT/LAIF/EPIC PICTURES



**Fikcyjne firmy,
łapówki, prostytutki
i viagra dla
związkowych bossów.
Afera zakrawa
na kpinę ze zwykłych
Niemców, którzy muszą
teraz zaciskać pasa**

Piotr! R. dowożona była do szefa przez prawą rękę Hartzta Klause-Joachima Gebauera (między innymi do hotelu w Paryżu i São Paulo). Przyparty do muru przyjaciel kanclerza i dzielny reformator niemieckiej gospodarki oddał się „do dyspozycji rady” i gotów jest ustąpić „dla dobra Volkswagena”.

W ubiegłym tygodniu afera nabrała nowego tempa: anonimowy menedżer VW powiedział „Financial Times”, że Hartz aprobował wydatki na „zakładowe” imprezy.

ZWIĄZKOWCY NA VIAGRZE

Na rachunek koncernu bawili się dobrze członkowie rad zakładowych. Zafundowano im na przykład wypad do Irlandii. Firmowy samolot VW zabrał związkowców IG-Metall z lotniska w Brunzwicku. Noclegi zarezerwowano w pięciogwiazdkowym Killarney Park Hotel. Według tygodnika „Focus” żony działaczy otrzymały do dwóch tysięcy euro na „drobne wydatki”. Na liście pasażerów był też sam Peter Hartz.

Nie była to jedyna eskapada związkowców zorganizowana przez Klause-Joachima Gebauera i sfinansowana z konta firmy. Weekendowe podróże do stolic Europy były stałym punktem programu „integracji” ze związkowcami. W zamian przedstawiciele załóg mieli w spornych kwestiach trzymać stronę pracodawcy. – Rada była przekupywana przez zarząd od ponad 10 lat

– powiedział anonimowy informator z VW dziennikowi „Süddeutsche Zeitung”. Według rewelacji niemieckiej prasy bulwarowej podczas zagranicznych wycieczek związkowcom podawano ponoć dla poprawy nastroju viagrę.

Szychy związkowe z IG-Metall w zarządzie Volkswagena i bez viagry mogą o siebie zadbać – zarabiają około 10 tysięcy euro miesięcznie. Dysponują też budżetem na tak zwane cele służbowe. Ale załoga wie – jak mówią złośliwcy – za co płaci składki – zarobki w VW są o 20 procent wyższe niż w konkurencyjnych fabrykach przemysłu samochodowego w RFN. Tyle że koncern VW jest przykładem gwałcenia wolnej konkurencji.

VOLKSWAGEN TROCHĘ PAŃSTWOWY

Po prywatyzacji Volkswagena zarząd koncernu uchwalił w 1960 roku „wewnętrzny ustawę”, zgodnie z którą żaden udziałowiec, niezależnie od wysokości włożonego kapitału, nie ma prawa dysponowania w radzie nadzorczej więcej niż 20 głosami. Choć do współników z zagranicy należy 50 procent akcji, ich możliwość wpływania na decyzje podejmowane w Wolfsburgu jest znikoma. Amerykański inwestor Brandes ma 12 procent udziałów, a francuska grupa AXA – sześć procent. Rozdrobnienie i ograniczenia formalne uniemożliwiają – by

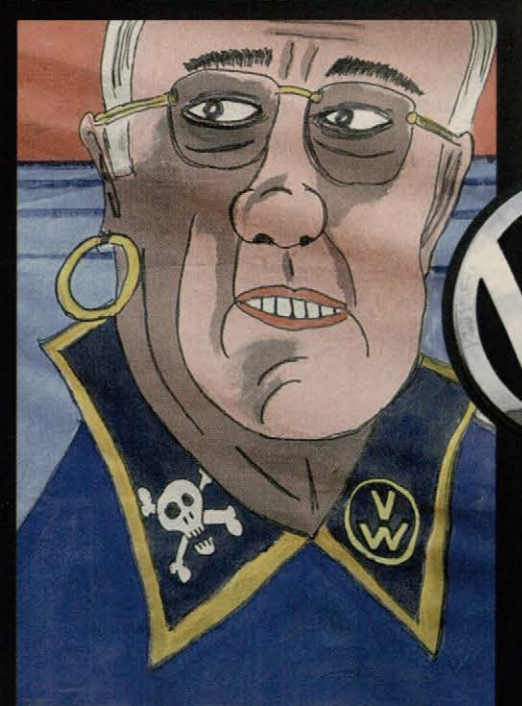
użyć słownictwa szefa SPD Franza Münteferinga – przejście VW przez „szarańczę” wielkich finansistów spoza Niemiec. Najważniejsze ustalenia muszą zapadać na walnych zebraniach, przy obecności minimum 80 procent udziałowców. To, że 18,2 procent głosów w radzie nadzorczej koncernu należy do kraju związkowego Dolnej Saksonii, zapewnia Volkswagenowi spokojną egzystencję pod parasolem państwa. Komisja UE zaskarżyła wewnętrzne ustawy VW przed trybunałem w Luksemburgu. Ale Bruksela od lat bezskutecznie walczy z Wolfsburgiem o zniesienie tych restrykcji.

ODLICZANKA PRZED WYBORAMI

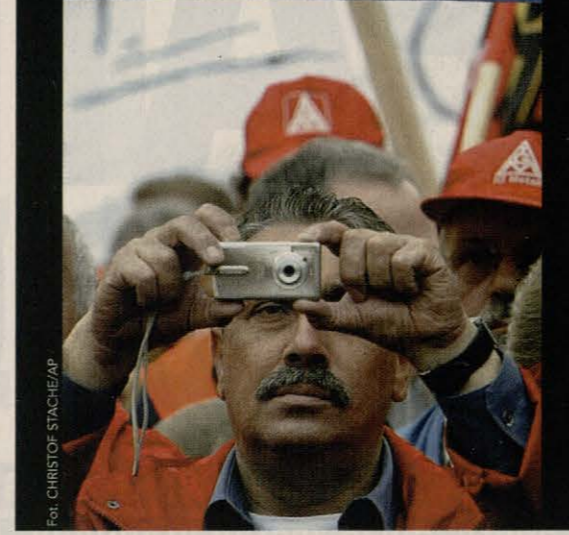
Przeciwnych Niemców niewiele obchodzi system zarządzania w VW. Interesują ich praca i zarobki. Niemniej afera w koncernie podważa społeczne zaufanie nie tylko do szefostwa z Wolf-



Na zdjęciu po lewej: Hotel Lapa Palace w Lizbonie, gdzie Klaus Volkert spotykał się z Adrianą B. (obok)
Poniżej: Karykatura Petera Hartzta jako pirata (obciążony zasilkami) i uczestnik demonstracji związkowców 5 października 2004 roku w Hanowerze



Fot. LAPA PALACE



Fot. CHRISTOF STACHE/AP



Bundestag, październik 2002 roku. Peter Hartz w towarzystwie kanclerza Gerharda Schrödera

IMPERIUM VOLKSWAGENA

Nad popularnym VW, koncernem z główną siedzibą w Wolfsburgu, nigdy nie zachodzi słońce. Należy do niego 47 fabryk na terenie RFN, kilku państw Europy, Ameryki, Afryki i Azji. Prócz własnej marki i czeskiej Škody Volkswagen firmuje także brytyjskie bentleje, hiszpańskie seaty oraz włoskie bugatti i lamborghini. Dla VW pracuje 350 tysięcy ludzi. Obroty koncernu osiągnęły w ubiegłym roku 90 miliardów euro. Z taśm montażowych grupy VW zjeżdża codziennie 21,5 tysiąca aut. W 2004 roku koncern sprzedał ich 5 milionów dla odbiorców w 150 krajach. Jego udział w światowej produkcji przemysłu automobilowego sięga 12 procent. (PC)

domagając się natychmiastowego zwolnienia Hartzta. O jego pozostawieniu na stanowisku bezskutecznie zabiegał szef związku IG-Metall Jürgen Peters, także zasiadający w radzie nadzorczej VW. Nietrudno zgadnąć dlaczego: 18 września odbędą się wybory, a Gerhard Schröder mimo kiepskich notowań w porównaniu z CDU nie złożył jeszcze broni i chce walczyć o reelekcję. Afera w Wolfsburgu bezpośrednio Schrödera nie dotyczy, ale łączenie jego nazwiska z „kanclerzem z Volkswagena” nie jest korzystne. Choć niektórzy działacze SPD wpadli na kompromisowe rozwiązanie, by nazwisko doradcy kanclerza usunąć z oficjalnej nazwy pakietu reform, prezydium rady nadzorczej VW było nieubłagane: Hartz musiał odejść.

Sam Peter Hartz nie ma powodu do zmartwienia – po opuszczeniu firmy prócz spo-

sburga. Robotnicy zakładów VW są dziś wściekeli na wszystkich: – Nam każą zaciskać pasa na ostatnią dziurkę, a sami zabawiają się z dziewczkami w luksusowych hotelach na nasz koszt – skomentował w telewizji anonimowy pracownik fabryki. Nie chciał podać nazwiska, bo nie wie, czy „wpuszczą go jutro na portierni”. Szef koncernu Bernd Pischetsrieder wstrzymał plany inwestycyjne w Indiach i Angoli. Wieloty-

siężna załoga VW boi się spadku produkcji i utraty zatrudnienia. Drżą także niemieccy politycy. Czyje kolejne głowy – po Hartzu, Schusterze, Gebauerze, Volkercie – mogą polecieć w Volkswagenie? Coraz głośniejsze są żądania usunięcia z rady nadzorczej jej przewodniczącego Ferdinanda Picha oraz jej wpływowego członka, chadeckiego premiera Dolnej Saksonii Christiana Wulffa. Sam Wulff odpiął zarzuty,

koju zyska co najmniej milion euro wyrównania za kontrakt z VW, który formalnie wygasa w 2007 roku, oraz comiesięczną emeryturę w wysokości 15 tysięcy euro. Problem ma tylko załoga koncernu – jak zapowiedział członek zarządu VW Wolfgang Bernhard, do 2008 roku musi zaoszczędzić siedem miliardów euro...

PIOTR CYWIŃSKI, BERLIN



PIOTR STANISŁAWSKI

PATENT KU CHWALE OJCZYZNY

**Uważaj! Jeśli twój wynalazek jest
zbyt dobry, może zostać utajniony. A wtedy
pozostanie ci głównie satysfakcja**

Ten pomysł zmieni świat i twoje życie. Po latach pracy jesteś gotowy, by pokazać światu swój nowy silnik, który sprawi, że samochody będą spalały dwa razy mniej niż dziś, a śmierdzące spaliny staną się tylko wspomnieniem. Jeszcze tylko jeden krok – patent. Przecież musisz się zabezpieczyć, twój wynalazek przyniesie miliony.

Otóż nie. Nie przyniesie. A z pewnością nie tobie. Zamiast upragnionego patentu dostaniesz pismo, w którym Urząd Patentowy poinformuje cię, że twój wynalazek został uznany za mający strategiczne znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego. W związku z tym nie zostanie upubliczniony, a ty nie tylko nie masz prawa zgłosić patentu za granicą, ale nawet nie wolno ci o nim rozmawiać. Za każdy z tych czynów grożą dwa lata więzienia i/lub kara grzywny. Jakież pytania?

KOLCE PRAWIE TAJNE

Takie prawo patentowe obowiązuje w połowie krajów NATO, między innymi w USA, Wielkiej Brytanii oraz Polsce. W Stanach liczba utajnionych patentów wzrosła po 11 września 2001 roku. O ile w 1999 roku taki wątpliwy zaszczyt spotkał tylko 18 prywatnych wynalazców, o tyle w 2004 roku było już 61 nieszczęśliwców. Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę również wnioski patentowe zgłaszane przez firmy, w zeszłym roku światła dziennego nie ujrzało aż 4885 wynalazków.

Co może trafić do teczek ze stemplem „Top secret”? Cudem wymknął się z niej wynalazek kolców przebijających opony, które ukryte są w jezdni i wysuwają się na wysłany zdalnie sy-

gnał. Pierwotnie miał służyć zabezpieczeniu parkingów przed tymi, którzy próbują wyjechać, nie płacąc.

Specjalna komórka w amerykańskim urzędzie patentowym skierowała ten wniosek do rozpatrzenia przez Pentagon. Według niej urządzenie

mogłoby być użyte do ochrony budynków publicznych przed atakami samochodów prowadzonych przez kierowcę-samobójcę. Ostatecznie jednak zdecydowano, że pomysł nie będzie wykorzystany, a ponadto ma mnóstwo zastosowań cywilnych. – Nie chcemy powstrzymać postę-

składane dokumenty i wychwytyjący z nich słowa kluczowe. Chodzi przede wszystkim o pomysły dotyczące uzbrojenia, opancerzenia, wykrywania skażeń czy ochrony informacji. Gdy „podejrzany” wniosek zostaje wychwycony, trafia w ręce specjalistów od patentów mających wiedzę fachową – mogą to być wojskowi oddelegowani do biur. Ci oceniają dokumenty i w razie potrzeby wysyłają je dalej – do Administracji Bezpieczeństwa Technologii Obronnych w Pentagonie. Tu zbiera się sztab fachowców z różnych formacji armii, którzy wspólnie stwierdzają, czy przedstawiony wniosek przyda się wojsku, czy służbom specjalnym.

Jeśli tak się stanie, nieszczęsny wynalazca ma problem. Dostaje pismo o utajnieniu jego patentu i sankcjach grożących za złamanie tajemnicy państwowej. W USA takie utajnienie obowiązuje tylko przez rok – później patent automatycznie staje się jawny. No, chyba że szczególnie się spodobał wojskowym i zdecydują się co roku powtarzać procedurę utajniania. Obecnie utajnionych jest ponad 4800 patentów – niektóre z nich pochodzą jeszcze z lat 30. ubiegłego stulecia.

BEZUŻYTECZNY SILNIK

Oczywiście wynalazca nie jest pozostawiany sam sobie. Może dostać od państwa rekompensatę mającą wyrównać straty poniesione w wyniku utajnienia jego patentu. Tyle tylko, że wysokość rekompensaty określana jest na podstawie szacunków przedstawionych przez wynalazcę. Musi on udowodnić, że gdyby jego patent nie został utajniony, przyniósłby zyski. W miarę prosto można to zrobić, jeśli pomysł dotyczy na przykład nowego typu karabinu – wówczas szacuje się zamówienia, jakie złożyłoby wojsko, i ocenia wartość takiego kontraktu na podstawie bieżących cen rynkowych. Co jednak, gdy patent dotyczy na przykład nowego, niemożliwego do złamania szyfru? Ile jest on wart? Cóż – nie możesz udowodnić, nie dostaniesz pieniędzy. Twoja strata.

Jak ważne jest śledzenie kreatywności obywateli, przekonał się rząd brytyjski po fatalnej wpadce z silnikiem turbodoładowym Franka Whittle’a. Ten wynalazca przesłał w 1929 roku ówczesnemu ministerstwu lotnictwa swój pomysł na nowy silnik pozbawiony śmigła. W wyniku fatalnie przeprowadzonej analizy uznano, że cały wynalazek jest do niczego i odesłano go Whittle’owi z adnotacją „nieprzydatny do wykorzystania”. Mimo to Whittle opatentował go rok później, a projekt opublikowano. Skorzystali z tego Niemcy, którzy w sierpniu 1939 roku zbudowali samolot napędzany silnikiem odrzutowym.

Idea utajniania patentów budzi wątpliwości zarówno w USA, jak i Wielkiej Brytanii. Chodzi przede wszystkim o brak zewnętrznej kontroli nad całą procedurą i opóźnienia w odtajnieniu wynalazków. Absolutnie rewolucyjna koncepcja może zniknąć w tajnych archiwach na długie lata, a po odtajnieniu być już tylko zabytkiem. ■

Podyskutuj na ten temat w portalu Wirtualna Polska w serwisie www.wiadomosci.wp.pl

SEKRET PO POLSKU

Również Polska należy do krajów, gdzie możliwe jest utajnienie patentu lub wzoru użytkowego. W Urzędzie Patentowym RP działa tajna kancelaria zajmująca się identyfikowaniem wynalazków „dotyczących obronności i bezpieczeństwa Państwa”.

Rozporządzenie z lipca 2002 roku dostosowało nasze przepisy do obowiązujących w Unii Europejskiej. Wymieniono w nim przykłady dziedzin, którym poświęca się szczególną uwagę. Dotyczy to między innymi broni, amunicji, materiałów wybuchowych lub środków przymusu bezpośredniego, bojowych pojazdów mechanicznych, samolotów, śmigłowców i okrętów wojennych, środków i metod maskowania sprzętu bojowego oraz wykrywania zamaskowanego sprzętu czy ochrony informacji niejawnych. To tylko przykłady – utajniony może być praktycznie każdy wynalazek przydatny Ministerstwu Obrony Narodowej, Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. To do tych trzech urzędów kierowane są wynalazki wstępnie uznane za nadające się do utajnienia i to one podejmują ostateczną decyzję.

Dotknięty utajnieniem swego pomysłu wynalazca ma prawo żądać rekompensaty – podobnie jak na Zachodzie musi jednak dowieść, że gdyby dostał patent, przyniósłoby mu to zyski. Jeśli nie zdoła się dogadać w sprawie kwoty, ostateczną decyzję podejmują ministerstwa lub ABW. Z chwilą utajnienia prawa majątkowe do wynalazku przechodzą na rzecz Skarbu Państwa – wynalazcy pozostaje prawo autorskie, czyli w praktyce satysfakcja i duma z pomocy ojczyźnie. Polskie prawo nie przewiduje maksymalnego czasu utajnienia wynalazku – aby zdjąć klauzulę tajności, potrzeba specjalnej decyzji urzędowej. W praktyce raz utajniony wynalazek traci więc wartość dla wynalazcy – z pewnością nie stanie się jawny, dopóki ma jakąkolwiek wartość. Urząd Patentowy nie był w stanie podać dokładnej liczby utajnionych zgłoszeń, jednak zdaniem rzecznika Jerzego Metelskiego nie przekracza ona kilku procent z ponad 7700 wniosków złożonych w ciągu ostatniego roku.

PIES NA TERRORYSTOW

Uratował życie tysiącom ludzi. Niesłusznie wsadził za kraty setki podejrzanych. Francuski sędzia antyterrorysta **JEAN-LOUIS BRUGUIÈRE** szczyci się tym, że od kilku lat we Francji nie ma wielkich zamachów. Tylko za jaką cenę?

eżeli myślicie, że terroryści nigdy nie uderzą w wasz kraj, jesteście naiwni – mówi swoim rodakom francuski sędzia śledczy Jean-Louis Bruguière. Po lipcowym ataku w Londynie powiedział wręcz, że we Francji nikt nie może się czuć bezpieczny. Słowa Bruguière'a nad Sekwaną traktuje się bardzo poważnie. On wie, co mówi: za złowrogą przepowiednią kryje się człowiek, który od 20 lat tępi prawdziwych i domniemyanych ekstremistów.

SZERYF REPUBLIKI

61-letni Bruguière przez Francuzów uważany jest za bohatera, a przez organizacje praw człowieka oskarżany o brutalność. Jednak na pewno ten dość niepozorny starszy pan jest postrachem ekstremistów. I przywykł do spektakularnych akcji: łowi wielką siecią, zwożąc do aresztów samochody pełne aresztowanych. Pozwala nawet, by francuskie służby porywały podejrzanych za granicą. Ale rezultaty pierwszego sędziego śledczego Republiki mówią same za siebie – od grudnia 1996 roku Francja nie została dotknięta ani jednym poważnym atakiem fundamentalistów islamskich. Władze pozwoliły organom ścigania zdjąć białe rękawiczki, a także uchwałyły bezpardonowe i brutalne ustawy antyterrorystyczne.

Sędzia płaci cenę za sukces – od lat nie jest w stanie zrobić kroku bez obstawy. Kiedy 18 lat temu pod jego drzwiami znaleziono granat, przez lata nosił przy sobie magnum 357. Dziś jeździ opancerzonym samochodem w towarzystwie ochrony, a jego biuro z kuloodpornymi szybami jest najpilniej strzeżoną częścią paryskiego Pałacu Sprawiedliwości.

Bruguière, wiceszef Trybunału Wysokiej Instancji, jest najbardziej wpływowym człowiekiem w całym francuskim wymiarze sprawiedliwości. Prawo antyterrorystyczne pozwala mu być jednocześnie sędzią, prokuratorem i oficerem śledczym. Może zamykać podejrzanych na 96 godzin, zakładać podsłuchy, zlecać rewizje, a nawet wydawać zgodę na nocne naloty na kryjówki terrorystów. Aresztowany nie musi być sprawcą zamachu, wystarczy domniemanie „związków z terroryzmem”, przyjaźń z członkami siatki terrorystycznej albo podejrzenie, że wiedział o nielegalnej organizacji i nie wyśpiewał wszystkiego policji.

– To prawo jest prawdziwym orężem Francji – twierdzi Bruguière. Jego przeciwnicy dalecy są od entuzjazmu, bo to właśnie prawo zapełnia francuskie areszty niewinnymi ludźmi.

LEWACY I FUNDAMENTALIŚCI ISLAMSCY

Życiorys Bruguière'a to zmagania sumienia idealisty z naturą karierowicza. Potomek 11-pokoleniowej rodziny prawników, absolwent renomowanego Instytutu Studiów Politycznych był początkowo lokalnym sędzią w Evreux. Do stolicy trafił w 1976 roku, rozpracowywał sieci sutenerów, parę razy podpadł policji, badając korupcję, kilkakrotnie przydzielano mu obstawę. Jednak jego prawdziwą pasją okazała się walka z terroryzmem.



Fot. PASCAL LE SEGRETAIN/CORBIS SYGMA (3)



Nikt we francuskim sądownictwie nie ma takiej władzy jak Bruguière. Powyżej: Bruguière (drugi z prawej) na uroczystej sesji Trybunału Wysokiej Instancji. Obok: Aresztowania algierskich i tunezyjskich podejrzanych, Paryż, 20 czerwca 1995 roku

Postawa Bruguière'a to przyczynek do dyskusji: czy w walce z terroryzmem wolno łamać prawa człowieka i aresztować niewinnych ludzi

irackiego dyktatora, na jednej z konferencji w Stanach wyrażał się o amerykańskiej wiktorii z entuzjazmem (ku przerażeniu francuskiego ambasadora i części prasy).

Francuskiej „bruguieromanii” nie podzielają obrońcy praw człowieka. Dla nich „szeryf” jest człowiekiem, który dla własnej populamości jest w stanie łamać prawa innych. – Ludzie są aresztowani wybiórczo, często z nadmierną przemocą – twierdzi w rozmowie z BBC Patrick Baudouin z Międzynarodowej Federacji Praw Człowieka (FIDH). Ostatnio klientami Baudouina są Irańczycy, domniemani członkowie Halk ul-Mudzahedin, organizacji, której francuską komórkę miał rozbić sędzia. W czerwcu przeciwko Irańczykom rzucono ponad tysiąc policjantów. Niemal o tej samej porze nad ranem żandarmami wywieźli z łóżek 160 osób. Typowe zagranie Bruguière'a. Większość zatrzymanych już po ustawowych czterech dobach wyszła na wolność. Areszt zastosowano zaledwie wobec 17 osób.

BRUDNA GRA

Bruguière nie boi się wsadzać ludzi za kraty. Już w latach 80. przez blisko cztery lata trzymał w areszcie jedną z sympatek Action Directe, a dwa lata przetrzymywał lekarza, u którego znaleziono broń. Terrorysty mają się bać. Cel uświęca środki. „Le Monde” opisywał przypadek Francuzki, która wynajęła mieszkanie swojej córce i algierskiemu zięciowi. Zięcia

podejrzewano o terroryzm, więc ona sama też znalazła się w areszcie.

Nawet spektakularne sukcesy Bruguière'a były przedmiotem kontrowersji. W lipcu 2001 roku doprowadził do aresztowania w Zjednoczonych Emiratach Arabskich Algierczyka Djamelę Beghala podejrzewanego o planowanie zamachu na amerykańską ambasadę w Paryżu. Po długim procesie Beghal dostał 10 lat więzienia. Jednak w czasie rozprawy zeznał, że sędzia groził jego rodzinie, kiedy Algierczyk chciał wycofać zeznania podpisane po dwóch miesiącach tortur w Emiratach.

– Sędzia powiedział mi: Jeśli podtrzyma pan to, co tam jest napisane, pańska rodzina nie będzie miała żadnych kłopotów – mówił przed sądem Beghal. – Amerykanie to nasi przyjaciele, a oni już namierzili pańską żonę i dzieci w Afganistanie, jak pan wycofa zeznania, będzie źle – miał dodać francuski śledczy.

Takich oskarżeń pod adresem Bruguière'a było wiele: groźby, szantaże, stosowanie siły, zastraszanie podejrzanych i cała gama brudnych zagrywek. Tyle że nikt nigdy nie złapał sędziego za rękę, a on sam wszystkiemu zaprzecza. Zresztą wystraszeni Francuzi wolą wierzyć sędziemu niż wrogom Republiki. A Bruguière traktuje każdego, kto ma jakiegokolwiek związek z fundamentalizmem islamskim, jak najzacieklejszego wroga. Najważniejsze to utrzymać twardą linię, nie ustępować nawet na milimetr i nie układać się z ludźmi, którzy chcą zniszczyć nasze społeczeństwo – mawia sędzia. Po zamachach w Londynie Bruguière z pewnością znajdzie wielu naśladowców w całej Europie. Ku radości jednych i przerażeniu innych.

JAKUB KUMOCZ

Od 1982 roku zaczyna się zajmować lewicową Action Directe, która przez osiem lat toczy „rewolucyjną” walkę z państwem francuskim. Wtedy w walce z terroryzmem liczyła się wyobraźnia. Nie było jeszcze maili, faksów i telefonów komórkowych – opowie po latach w jednym z wywiadów. Nawiązuje kontakt z kontrwywiadami RFN i Włoch, doświadczonymi w walce z lewactwem. Podejrzani spędzają po dwa–trzy lata w aresztach. Batalia z lewakami kończy się zwycięstwem państwa – w 1987 roku przywódca Action dostają dożywocie. Bruguière zostaje głównym śledczym antyterrorystą. Kolejnym wyzwaniem sędziego stają się wkrótce środowiska islamskie. Są silne. Szukają zaplecza wśród paromilionowej rzeszy francuskich muzułmanów. Wśród ekstremistycznych grup są też doświadczeni weterani wojny w Afganistanie.

Wkrótce pojawia się iskra. Ekstremiści islamscy w 1991 roku wygrywają wybory w Algierii. Armia unieważnia wybory, rozpoczyna się krwawa wojna wojskowego reżimu z radykałami. Francja, dawny kolonista, popiera „świeckich”, więc sama staje się ofiarą ataków. W 1994 roku są pierwsze wybuchy, rok później w ciągu zaledwie trzech miesięcy ginie kilkanaście osób, a 200 zostaje rannych. W 1996 roku eksploduje stacja paryskiej kolejki. Bruguière rusza do akcji. Krok po kroku rozpracowuje sieć, nie przebiegając w metodach. Podczas jednego z masowych aresztowań za kratki trafia w sumie 138 Algierczyków. Państwo jest brutalne, ale skuteczne. Terroryzm traci oddech.

Bruguière odnosi sukcesy nie tylko na froncie islamskim. Tropi jednego z najbardziej poszukiwanych terrorystów świata. Czerwony terrorysta Ilich Ramírez Sánchez, Wenezuelczyk zwany „Carlosem Szakalem”, zostaje w sierpniu 1994 roku uprowadzony przez francuskich agentów z Sudanu. W grudniu 1997 roku dostaje dożywocie.

POBILI GO I UCIEKŁ

Jednak Bruguière zalicza także wpadki, jedną z nich podczas rozpracowywania karaibskiego ruchu separatystycznego na Gwadelupie i Martynice. W kwietniu 1987 roku Bruguière aresztował głównego bojownika o niepodległość Gwadelupy. W śledztwie Humbert Marboeuf został dotkliwie pobity, a na dodatek wypadł z pierwszego piętra (oficjalna wersja: próba ucieczki). Republika nie lubi takich drastycznych scen, zbyt przypominały choćby dawne tortury w Algierii. Francuzi potrafią łamać prawo w swoich dawnych i obecnych koloniach, ale robią to po cichu. Wkrótce kończy się cierpliwość: wychodzi na jaw, że francuscy agenci porwali innych przywódców „niepodległościowców” w ościennym karaibskim państewku. Bruguière nie dokończy sprawy. Paryż chce uniknąć skandalu. W maju 1989 roku Francja ogłasza amnestię dla bojowników.

Francuski szeryf sam lubi wszystkiego dopilnować. Gdy prowadził śledztwo w sprawie zama-

chu na francuski samolot w Nigrze, osobiście brał udział w misji marynarki w wybrzeży Libii, którą podejrzewał o zamach. Ale śledztwa Bruguière'a to żmudne drążenie. Miejsca, powiązania i ślady układają się w wielką siatkę terrorystyczną. Potem nagle pada rozkaz i następują błyskawiczne seryjne aresztowania. Wydawał nakazy aresztowania 100, a nawet 150 osób jednocześnie, mimo iż był zupełnie świadom, że wśród zatrzymanych są niewinni.

Francuskie prawo na to pozwala. Sędziowie antyterrorysty to szczególna kasta – nikt nie rozlicza ich z liczby osób niesłusznie zatrzymanych. Poza tym większość Francuzów jest wdzięczna Bruguière'owi – w ich odczuciu zapewnił krajowi spokój.

Według dziennika „Le Monde” o sukcesie „szeryfa” decyduje nie tylko skuteczność. Bruguière ma też wiele cech zwykłego karierowicza – potrafi idealnie zadbać o swój interes. Wkrada się w łaski kolejnych szefów MSW. O prawicowym Charles'u Pasqua mówi „wielki gaullista”, Jeana-Louisa Debrégo nazywa „przyjacielem”, lewicowic Jean-Pierre Chevenement jest „wielkim republikaninem”, a Nicolas Sarkozy starym znajomym.

PROROK I PRÓŻNIAK

Bruguière przestrzega, że Francja może potępić Irak i wszystkie inne interwencje amerykańskie, ale i tak nie uchroni jej to przed infiltracją ze strony terrorystów. Al-Kaida zawsze traktować

będzie kraj z wielką diasporą muzułmańską jako pole działania. – Dla terrorystów Francja jest naturalnym miejscem ucieczki – mówi Bruguière. Chętnie wciela się w rolę Kasandry, dba także o to, by społeczeństwo wystraszone wizją potężnego zamachu na Paryż mogło podziwiać jego popisowe akcje.

Przychodzi mu to tym łatwiej, że nie cierpi na nadmiar skromności. Od kiedy po 11 września Amerykanie uznali go za jedną z kluczowych figur w walce z Al-Kaidą, zdarza mu się popadać w samouwielbienie.

– Spędziłem dwa miesiące w Waszyngtonie – mówił jednej z algierskich gazet. – To zadziwiające, że Amerykanie tak mało wiedzą na temat sieci terrorystycznych. – Przyjęto mnie jak ministra – opowiadał z dumą o swoim wystąpieniu na waszyngtońskim National Defence University. Ale jego nieskromność nie jest pusta: Bruguière'a doceniono w maju 2003 roku. Został zaproszony do Grupy Bilderberg, elitarnego klubu skupiającego setkę największych osobistości państw NATO. Zasiadł tam przy jednym stole z głowami państw i szefami rządów.

A NIE MÓWIEM!

Dobre samopoczucie Bruguière'a wzmacnia to, że kilka razy trafił na ślad naprawdę groźnych terrorystów. Tak było w 1998 roku, gdy Kanada odmówiła wydania poszukiwanego przezeń algierskiego azylanta Ahmeda Ressama. Rok później Ressama zwinęli Amerykanie, gdy próbował wysadzić w powietrze lotnisko w Los Angeles. Po 11 września Bruguière miał powiedzieć, że atak na World Trade Center to tragedia, ale był do przewidzenia. W przededniu amerykańskiej wojny w Iraku oznajmił, że nie istnieją związki Sadama Husajna z Al-Kaidą, jednak gdy Amerykanie obalili



Sinéad O'Connor

zobacz, z kim śpiewała podczas swojej 20-letniej kariery... Peter Gabriel, Bono i Edge z U2, Massive Attack, Moby, The The...



album „Collaborations” już do nabycia w sklepach muzycznych

Music from EMI



W KOSZULCE DO BOJU

Oto wojownik ze Wschodu, który porwał się na jedną z głównych zasad zachodniego świata: Menedżer panem robotnika. Poznajcie **RADKA SAWICKIEGO**

Podział kastowy w hurtowni Tesco w okręgu Dublin 25 wygląda tak: na górze kasta menedżerów, niejednorodna – od generalnego do kierowników zmian. Trzymają się razem skupieni na wydawaniu poleceń i sprawdzaniu, czy są wykonywane. W środku kasta pracowników kontraktowych. Dostają 12,5 euro za godzinę, premie i nagrody, mają świadczenia socjalne i nie mogą się doczekać upadku tego świata – za dwa lata mają zamknąć hurtownię. Wtedy zainkasują wysokie odprawy.

Na samym dole żyje kasta pracowników bez kontraktów, formalnie zatrudnianych przez agencje pośrednictwa pracy: Polaków, Słowaków, Afrykańczyków, Portugalczków. Za tę samą robotę co kontraktowcy dostają 9,52 euro za godzinę, przywilejów nie mają, słowo „odprawa” ich nie dotyczy. Nie mogą używać go jak mantry, która daje siłę, by dźwignąć kolejny karton wypakowany słonymi orzeszkami i przenieść go z półki na wózek. Robotnicy w hurtowni Tesco mają na nadgarstkach skanery. Czerwony promień lasera zarejestruje każdy karton.

NIE CHCIAŁ, ALE MUSIAŁ

Polacy chętnie ściągają do pracy w Dublinie i w innych miastach Irlandii. Od maja 2004, gdy Irlandia otworzyła dla nas rynek pracy (wraz ze Szwecją i Wielką Brytanią) do lutego 2005 roku znalazło tam zatrudnienie 32 648 Polaków. Tylko trzy razy mniej niż w Wielkiej Brytanii.

Radek jednak nie chciał wyjeżdżać. Skończył historię w Toruniu, napisał pracę magisterską „Bioregionalizm w Polsce”. Nie starczyło pieniędzy na trzy ostatnie semestry studiów zaocznych, więc uniwersytet nie dopuścił go do obrony pracy. Przez półtora roku Radek zajmował się edukacją ekologiczną w Warszawie, potem przez 10 miesięcy był przedstawicielem handlowym firmy z Poznania. – To nie było spełnienie marzeń, ale też nie bardzo cierpiałem – opowiada.

Na Irlandię namówili go znajomi. Pracowali fizycznie i było im dobrze. „Odłóż kasę na życie, zapłać za studia, obronę pracę” – myślał.

9 listopada 2004 roku postawił stopę na irlandzkiej ziemi. Został w Dublinie, w chińskiej dzielnicy zamieszkał ze starymi kumplami z Polski. Pracę w Tesco znalazł w kilka tygodni. Radek ma za złe dziennikarzom z Polski – piszą, że Tesco to jakieś piekło. Prawda jest inna.

Radek Sawicki: – Nie jesteśmy niewolnikami. Musieliśmy się postawić, gdy nam ciągle podwyższano normę dzienną, ale i tak jest tu o niebo lepiej niż w Polsce. Tutaj menedżerowie przynajmniej z nami rozmawiają.

Przez pierwsze tygodnie pracował bez tchu. Potem się opamiętał. – Irlandczycy nie harują tak ciężko, rozmawiają w czasie pracy, idą na papieroska. Luzik. Zapytałem jednego z menedżerów: jaka właściwie jest norma dzienna przenoszenia kartonów? On na to: jakieś 750. A ja nosiłem regularnie powyżej 800, no to zwolniłem.

Parę miesięcy później, w kwietniu 2005 roku, na zmianie Radka pojawili się menedżerowie z kartami pracowników. – Powinieneś przynieść ponad 800 kartonów – powiedział jeden z nich.

Jeszcze w tym samym miesiącu podwyższyli normę do 850, potem do 900 kartonów dziennie. Radek wybrał się więc z kolegami do menedżera zmiany, by wyjaśnić sprawę. – Pokaż papiery, w których jest wyznaczona norma – zażądali.

On na to ostrym tonem: – Albo nowa norma, albo do widzenia.

Radek Sawicki: – Przestało być przyjemnie.

To wtedy wymyślił koszulkę, która miała uczynić go sławnym.

– Zagrał jakiś impuls – opowiada.

UMARŁEM, JEST, JAK BYŁO

– Radek? Nie zdziwiłem się, gdy przeczytałem o nim w prasie – mówi Dariusz Paczkowski z Klubu „Gaja” z Bielska-Białej. – Dalej jest wojownikiem walczącym o słabszych. Jak ktoś wejdzie na ścieżkę wojownika, już jej nie opuści.

– To cały mój syn – opowiada Urszula Sawicka, mama Radka, była pracownica Urzędu Oświaty w Chojnicach, dziś na rencie. – Od dziecka miał kontakt z naturą, był bardzo wrażliwy, protestował, gdy ktoś niszczył przyrodę.

Był rok 1994. Dariusz Paczkowski rozkręcał w Grudziądzu Front Wyzwolenia Zwierząt. Radek, uczeń technikum elektryczno-elektronicznego, sam się zgłosił. – Stworzył oddział Frontu w Chojnicach, robił demonstracje przeciw noszeniu futer, organizował pierwszy ogólnokrajowy zjazd Frontu Wyzwolenia Zwierząt, wydawał pismo „Sowa Zine” – mówi Paczkowski.

Radek drukował w „Sowie” głównie swoje wiersze. Na przykład: „Czekając na lepszą przyszłość / Popijam Coca-Colę / Siedząc u MacDonald’sa /

Przy plastikowym stole [...] Czekając na lepszą przyszłość / Oglądam »Wiadomości« / Pałac lekko Marlboro / Patrzę na czołgi w Bośni / Czekam / Nie przeszkadzałem / Umarłem / Jest tak jak było”.

Dariusz i Radek razem jeździli do Klubu „Gaja” (propaguje głęboką ekologię) na warsztaty „Droga wojownika Gai”. – Te warsztaty rozszerzają percepcję – mówi Dariusz. Na takich warsztatach uczą męstwa. I strategii skutecznego działania. Męstwo bierze się ze zrozumienia związku z Ziemią i zjawiskami przyrody, skuteczne działanie – z treningu kontaktowania się z ludźmi, budowania grup i struktur, prowadzenia kampanii.

Radek Sawicki: – Uczyliśmy się praktycznych rzeczy, na przykład jak zorganizować konferencję prasową. Ale także jak wytworzyć silną motywację do działania.

Wszystko to przyda się Radkowi lata później w dublińskim Tesco.

ŁAŃCUCH JEGO ORĘŻEM

Koszulkę zrobiła dziewczyna Radka Wanda, która jest po ASP i pracuje dla firmy cateringowej, też w Irlandii. Napis brzmiał: „We are picking 800. No more” [„Przenosimy 800. Więcej nie”].

– Wiedziałem, że będzie ostra reakcja. Ale chciałem skłonić całą zmianę do wspólnego protestu, bo rozmowy po kątach z menedżerami nic nie dawały – mówi Sawicki. – To była prowokacja.

Irlandzcy robotnicy ożyli się na widok koszulki. – Drugi Wałęsa – zaczęli szeptać. – Kolejny Polak, który wie, jak narobić dymu.

Rodziła się legenda Radka. Menedżerowie milczeli jak grób. Radek przyszedł w koszulce do pracy w piątek. Na reakcję czekał do soboty, do wczesnego popołudnia. Choć był weekend, przyjechał sam szef hurtowni. Wezwał Radka do biura. Zapytał zwięźle: – Co to znaczy?

Rozmawiali godzinę. – Bardzo kulturalnie – zastrzegł Radek.

Polak przegapił lunch, więc zamówili mu pizzę. Wegetariańska, bo innej nie zje. Radek powiedział, że będzie nosić 800 paczek, bo powyżej tej normy bołą go plecy, i zgodził się zdjąć koszulkę.

Rozstali się w zgodzie. Odtąd Radek nosił 800 paczek dziennie, nikt się nie czepiał. Z kolegami nie-Irlandczykami ze zmiany wstąpił do związku zawodowego SIPTU. Ten największy irlandzki związek skupia robotników przemysłowych, techników, a także ludzi o wysokich kwalifika-

cjach. Inne zmiany bały się wstąpić do SIPTU. – To błąd, wyrzucą nas – mówili. Bali się na własną zgubę – dźwigali po tysiąc paczek dziennie, nie 800 jak ci ze zmiany Radka.

W czerwcu wyrzucili z pracy pewnego Polaka, bo nie wyrabiał normy. Radek znów założył koszulkę. Chciał powołać związek robotników bez kontraktu. Ale nie znalazł chętnych – niekontraktowcy stchórzyli.

Menedżerowi zmiany jakoś nie spodobała się reaktywacja koszulki. – Wylecisz – powiedział. Radek na to: – Tak ci się wydaje. A on: – To ja tu jestem szefem.

– Myślałem, że mnie wywalą – mówi Radek. – Wziąłem nawet ze sobą łańcuch do przypinania rowerowi do stojaka, żeby się przykuć do bramy. Zacząłem namawiać innych do strajku.

NIE JESTEM WAŁĘSĄ

Radek i jego kumple poznali paru Irlandczyków, ale poza Tesco – dublińskich anarchistów, z którymi zrobili manifest przeciwko wojnie w Iraku. Wypadła błąd i Polacy zrozumieli, że Irlandczycy muszą się jeszcze dużo nauczyć w dziedzinie prowadzenia akcji ulicznych. Radek i jego kumple z Polski tęsknią za większymi akcjami, tymczasem w domu w okręgu Dublin 8 (niedawno go wynajęli) słuchają starych kaset z muzyką Dezertera i innych punkrockowych kapel.

A w Tesco nic się nie zmieniło.

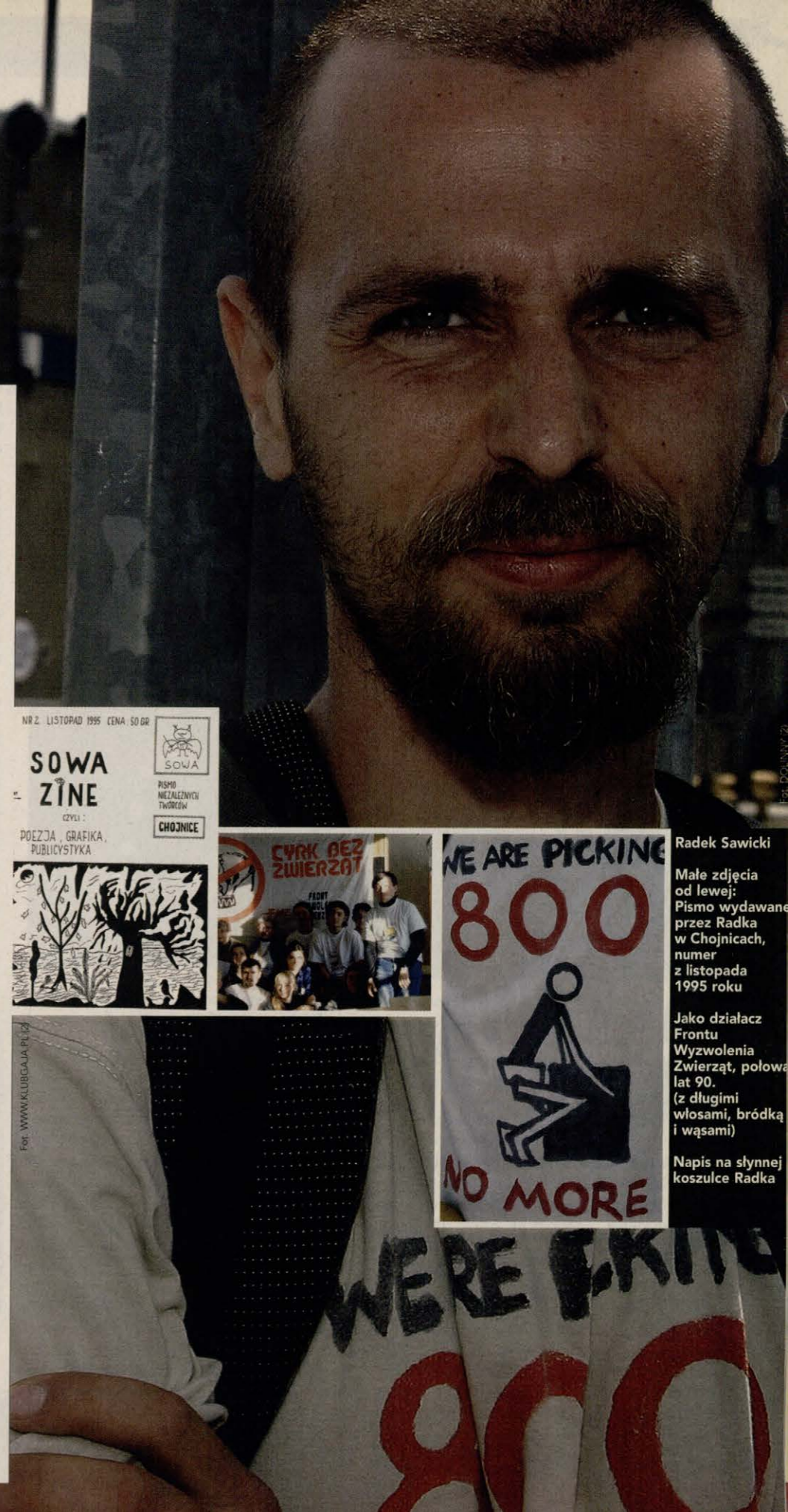
– Ja drugim Wałęsą? – śmieje się Radek z polskich gazet. – To przykład tego, jak przesadza polska prasa.

Dariusz Paczkowski: – Radek Wałęsą? On jest inny. Delikatny, zainteresowany sposobem myślenia innych. Jego waleczność nie bierze się z brutalności, ale z niezgody na niesprawiedliwość.

Urszula Sawicka, matka Radka: – Popieram go, ale też się martwię. Pojechał do pracy, a okazuje się, że mogą go wyrzucić z Tesco, potem może z kolejnych miejsc. Bo on zawsze będzie walczył o swoje ideały.

Polaka na razie nie wywalili z pracy. SIPTU wy-negocjował, że zostaje. Uprosil jednak Radka, żeby zdjął swoją koszulkę, bo daje argument tym, którzy chcą go wyrzucić. Radek zdjął ją i nosi swoje 800 paczek dziennie. Nikt się nie czepia. Niech spróbują. Koszulka czeka w odwodzie.

MARCIN FABJAŃSKI

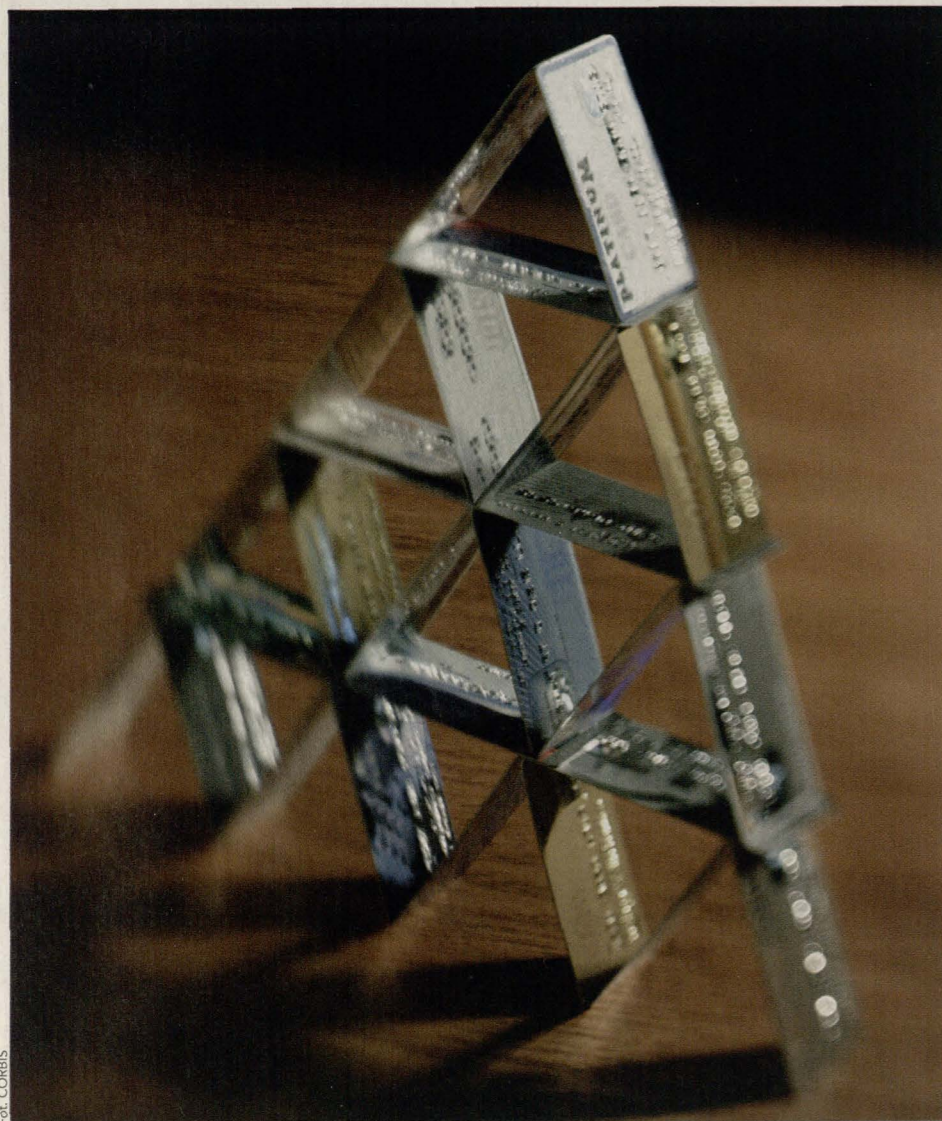


Radek Sawicki

Małe zdjęcia od lewej: Pismo wydawane przez Radka w Chojnicach, numer z listopada 1995 roku

Jako działacz Frontu Wyzwolenia Zwierząt, polowa lat 90. (z długimi włosami, bródką i wąsami)

Napis na słynnej koszulce Radka



Fot. CORBIS

ZA LICHWA, A NAWET PRZECIWIW

Bardzo lubię płacić kartą kredytową. To jakoś tak lekko idzie. Gorzej z czasem prawdy. Kiedy otwiera się koperta z saldem zadłużenia i terminem spłaty. Proponuję więc małe wakacyjne ćwiczenie, które może się okazać całkiem opłacalne. A zatem, Drogie Czytaczki i Drodzy Czytacz, wyjmijcie i połóżcie przed sobą swoje ostatnie wyciągi z rachunku karty kredytowej. Na moim wyciągu pod kwotą salda zadłużenia podany jest termin płatności. Niżej zdecydowanie mniejszą, ale czerwoną czcionką oprocentowanie zadłużenia, które wynosi 2,98 procent miesięcznie. Jeszcze niżej minimalna kwota do zapłaty, która stanowi zaledwie 1/20 część całego miesięcznego długu, i czerwone hasło kur-

sywą i największą czcionką: Zapłać tylko tyle i skorzystaj z kredytu na karcie. Wykrzyknik. I strzałka pokazująca liczbę z tą marną 1/20 częścią długu. Czyli, krótko mówiąc, bank bez żadnych poręczycieli, zabezpieczeń zachęca mnie do pożyczania, jeśli tylko chcę, jego pieniędzy. Jak jakiś dobry pan, pomyśleć by można.

Teraz liczymy. Załóżmy, że po spłacie 5 procent długu jestem winien bankowi 10 tysięcy złotych. Jeśli oddam całość w następnym miesiącu, przy oprocentowaniu 2,98 procent będzie to z odsetkami 10,298 złotych. Nie ma dramatu. Jeśli jednak zdecydowałem się na odroczenie spłaty na rok, mój dług wyniesie już 13 576 złotych, po dwóch latach ponad 18 430, a po trzech

25 021. I to zaledwie z niewinnych 2,98 procent miesięcznie. A daje niebagatelną kwotę o 150 procent większą w ciągu zaledwie trzech lat. Wszystko jest legalne, a mój bank jest powszechnie znany i uznawany nie tylko w Polsce. I nie można powiedzieć, że nie wiedziałbym, w co się pakuję. Bo informacja o oprocentowaniu rocznym znajduje się na końcu mojego wyciągu. To fakt, że napisana jest ledwie widoczną, najmniejszą czcionką z możliwych. Ale jest: 35,7 procent rocznie. Jednak przy odkładaniu długu na chociażby trzy lata w rzeczywistości będzie to ponad 50 procent rocznie.

Według nowego prawa, czyli przyjętej ostatnio przez Sejm ustawy antylichwiarskiej, mój bank uzyskałby miano lichwiarza. A lichwa zagrożona jest karą do dwóch lat więzienia. Ustawa dopuszcza bowiem maksymalne odsetki dla kredytów nie wyższe niż czterokrotność oprocentowania kredytu lombardowego NBP, które wynosi teraz 6,5 procent, co pomnożone przez cztery daje 26 procent dopuszczalnego oprocentowania rocznego.

Chyba niewiele jest banków, w których oprocentowanie chociażby długu z kart jest niższe. I wątpię, aby ustawa uratowała dziesiątki tysięcy lekkomyślnych pożyczkobiorców od pętli zadłużenia – na co liczą posłowie. Jak nie do banków, pójdą gdzie indziej. Tam gdzie udzielanie pożyczek jest nielegalne. Nie wiem również, czy ustawa przyniesie katastrofę systemu bankowego, pozbawi tysiące ludzi pracy, a setki tysięcy biednych obywateli możliwości skorzystania z krótkoterminowych pożyczek – jak rozpaczliwe alarmują eksperci bankowi.

Coś w tej dyskusji o lichwie chyba umknęło. Zwrócił na to uwagę w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” wybitny znawca spraw finansowo-bankowych Andrzej Topiński. Bardziej od ustawowego ograniczania odsetek potrzebne jest stworzenie warunków, by bankom łatwiej było odzyskiwać swoje należności i handlować długami nierzetelnych kredytobiorców. Wtedy spadnie ryzyko udzielania kredytów i oprocentowanie.

I moja prywatna uwaga. Banki ze swej strony powinny skończyć z praktykami przypominającymi drobnym bazarowym handlarzy, którzy traktują swojego klienta jak jednorazową zdobycz. I takie sztuczki z zachęcaniem do zadłużania się i podawaniem oprocentowania miesięcznego – nominalnie niskiego – na pierwszej stronie wyciągu bankowego oraz rocznego – nominalnie wysokiego – w niemal niewidocznym miejscu są obliczone na nieuwagę zadłużonego i złapanie go na kredyt, który w porównaniu chociażby z 14-procentową linią kredytową właśnie lichwiarskim można by nazwać.

TADEUSZ A. MOSZ

AUTOR MAGAZYNU EKONOMICZNEGO „PLUS MINUS” W TVP1

Po samochód na Zachód

Jeśli chcesz kupić taniej dobry samochód, nie rób tego w Polsce. Zachodni sprzedawcy prześcigają się w obniżkach cen nowych aut zgodnie z zasadą: taniej może znaczyć więcej. I nie pomylili się. W Niemczech w czerwcu sprzedaż wzrosła o 8 procent, we Włoszech prawie o 18 procent, we Francji o 2,7 procent. Instytut B&D Forecast monitorujący rynek samochodowy wyliczył, że koncerny samochodowe nigdy nie oferowały tak wielkich zniżek jak obecnie. W kwietniu i maju niemieckie samochody potaniały średnio o 16 procent.

W ten sposób na przykład w Polsce za Oplę Astrę GTC trzeba było zapłacić 60,8 tysiąca złotych, tam o 10 tysięcy złotych taniej, za Hondę Accord kosztującą u nas 106 tysięcy złotych w Niemczech zapłacilibyśmy o 6 tysięcy mniej, za Mercedesa C180 K u nas 131 tysięcy, tam 107 tysięcy, czyli o 23 tysiące mniej, za Oplę Signum u nas trzeba było zapłacić ponad 5 tysięcy drożej. Do koncernów produkujących samochody, które są w dodatku w nie najlepszej kondycji, dotarła już świadomość nowej chińskiej fali. To już nie figi, koszulki, staniki, trampki. To samochody. Do Belgii dotarł już pierwszy transport z terenówkami z Chin. Samochody wyposażone są w klimatyzację, skórzane siedzenia i pełny pakiet elektryczny. A kosztują 17 tysięcy euro. Połowę ceny europejskiej. Mało tego, chińscy biznesmeni wcale nie uważają, że są one za tanie. Wręcz przeciwnie. Według nich prezentują realną wartość rynkową. Dla Chińczyków to europejskie dobra mają zawyżoną wartość i ich cena powinna być obniżona. Żarty chyba już na dobre się skończyły. Jeśli tak dalej pójdzie, Europo, to niewiele czasu minie, jak będziemy musieli otworzyć tu duże muzeum, do którego będą gromadnie przyjeżdżać bogaci Chińczycy.



Fot. REUTERS/JOHN THYS/REPORTER



Biznes bez podatku

Jeśli rządowy pomysł na biznes pod nazwą „spółdzielnie socjalne” – na razie w formie projektu ustawy. Wystarczyłoby, żeby pięć osób zarejestrowało się jako bezrobotne i zechciało założyć taką spółdzielnię. Spółdzielnie socjalne prowadziłby działalność gospodarczą, ale jednocześnie socjalną dla swoich członków. W zamyśle miałyby łagodzić skutki bezrobocia, dając zajęcie osobom znajdującym się w trudnej sytuacji życiowej. Przylatywałyby na przykład lecących się z alkoholizmu, narkomanii, byłych więźniów czy bezdomnych. Strona biznesowa ma polegać na wykonywaniu prostych prac remontowych, sprzątaniu, naprawach. Cały cymes zasadza się na przywilejach przewidzianych dla spółdzielni. Według rządowego projektu zawsze zwolnione byłyby z podatku dochodowego. Przez rok dostawałyby refundację składek na ZUS dla swoich pracowników. Na rozkręcenie działalności mogłyby otrzymywać dotację z Funduszu Pracy. Dodatkowo spółdzielnie byłyby organizacjami pożytku publicznego. Każdy podatnik mógłby przekazać im 1 procent podatku na działalność socjalną. Oczywiście, jak w takich sytuacjach bywa, niektórzy posłowie obawiają się pomysłowości przedsiębiorczych Polaków, którzy zamkiliby swoje normalne firmy, rejestrowali się jako bezrobotni i gremialnie ruszyli do zakładania spółdzielni. Tak pewnie może się zdarzyć. Z tego powodu pewna pani, sejmowa ekspertka, powiedziała nawet, że krąg, który może otworzyć spółdzielnię socjalną, powinien zostać ograniczony do osób znajdujących się w szczególnej sytuacji, na przykład mających mniej niż 25 lat, bez kwalifikacji i ludzi starszych, którzy nie mają żadnych szans na znalezienie pracy. Droga pani ekspert, gdyby te osoby były w stanie założyć cokolwiek, nie byłyby w dramatycznej sytuacji życiowej. A to właśnie im mogą pomóc spółdzielnie, które założą ludzie zdolni do działania. Pani także mogą pomóc.

Fot. THOMAS PFLAUM/ISIUM/FORUM

Duże pieniądze, których nie widać

Tych pieniędzy nie widać, choć dają całkiem pokaźne zyski. A są własnością ponad 10 milionów spośród nas, posiadaczy jednostek rozrachunkowych w funduszach emerytalnych. W ciągu ostatnich pięciu lat przeciętny zysk dla wszystkich funduszy wyniósł 62 procent. Co znaczy, że średnio rocznie zysk ten wyniósł 12,4 procent. Jednak najlepszy ING Nationale-Nederlanden zarobił dla swoich klientów 82 procent. Daje to rocznie zwrot na poziomie 16,4 procent. W pierwszej trójce z ponad 75-procentowym zyskiem znalazły się także PZU Złota Jesień i Sampo. Różnice w zyskach pomiędzy najsłabszymi i najlepszymi w skali pięciu lat sięgają aż 30 punktów procentowych. Najsłabiej wypadły Skarbiec-Emerytura oraz Pocztylion. W pierwszym półroczu 2005 roku fundusze emerytalne dały przeciętnie 5,75 procent zysku. Różnice pomiędzy

Fot. REPORTERS/JOHN THYS/REPORTER



najlepiej inwestującym przez sześć miesięcy Nationale-Nederlanden (7,42 procent zwrotu) a najsłabszym Polsatem (3,73 procent) wyniosła 3,7 punkta procentowego. Pięć lat inwestycji oraz pierwsze półrocze pokazują wyraźnie, że fundusz funduszowi nierówny. Znalezienie się w towarzystwie najsłabiej inwestującym nie jest rzeczą miłą. Jeśli konsekwentnie uzyskuje ono wyniki poniżej średniej, należy je zmienić. Najlepiej ma fundusz, który od lat pokazuje rok po roku poprawę swoich wyników co najmniej powyżej średniej. To może świadczyć o przemyślanej strategii inwestowania.



Sony Cyber-shot T7

To, co nie jest zakazane, jest dozwolone. Zamiast narażać się na konflikt z prawem, coraz więcej ludzi wybiera środki psychoaktywne, które nie figurują na czarnej liście narkotyków. To rośliny od stuleci znane szamanom i czarownikom

HUMOR PO MUCHOMORZE

PIOTR STANISŁAWSKI

Marihuana, amfetamina, LSD – o nich słyszał każdy. Ale kociętko, czuwalczka jadalna czy wilec błękitny? Nazwy nie brzmią groźnie, ale każda z tych roślin ma działanie zbliżone do trzech pierwszych substancji. A że nie są zakazane? Cóż, nie sposób zakazać wszystkiego – ludzkość od dobrych kilkudziesięciu tysięcy lat uczy się, jak manipulować świadomością, i kilkadziesiąt lat walki z wybranymi środkami z pewnością nie zmieni.

Zachodni świat przeżywa fascynację tradycyjnymi środkami psychoaktywnymi. To wynik coraz bardziej zdecydowanej walki z grupą substancji uznanych przez rządy za zakazane. Prohibicyjne decyzje są zwykle podejmowane dość arbitralnie – trudno znaleźć medyczne uzasadnienie zakazu zażywania konopi indyjskich wobec powszechnego przyzwolenia na picie alkoholu i palenie tytoniu. Wydaje się raczej, że to kwestia tradycji oraz względy ekonomiczne decydują o tym, iż nieuzależniająca substancja wywołująca łagodne stany euforyczne jest przedstawiana jako groźniejsza od innej, powodującej nieuleczalne uzależnienie i dającej efekt utraty koordynacji, braku kontroli nad emocjami i zaburzenia oceny sytuacji.

Ale to zupełnie inna sprawa – batalię o legalizację marihuany można pozostawić różnego typu aktywistom społecznym. Coraz więcej ludzi uznaje, że nie warto kruszyć kopii o twarde przepisy, bo znacznie prościej nie wchodzić z nimi w konflikt.

Przecież świat jest pełen legalnie dostępnych roślin kryjących w sobie nadzwyczaj ciekawe substancje. W czasach, gdy meksykańscy Mazatekowie i afrykańscy Buszmeni chodzą w tych samych koszulkach z napisem „Nike” zrobionych w Chinach, dotarcie do tradycyjnej wiedzy doty-

czącej roślin psychoaktywnych stało się bardzo łatwe. Czasami zbyt łatwe.

Z NATURY

Przed wszystkim trzeba pamiętać, że większość narkotyków jest pochodzenia roślinnego. Z wyjątkiem amfetaminy i kilku mniej popularnych substancji wszystkie pozostałe używane były kiedyś w tradycyjnych obrzędach lub jako codzienne używki – tak jak nasza kawa. Po kolei: kokaina pochodzi z krzewu koki, LSD – ze sporyszu, heroina – z maku, a meskalina – z pejotlu.

Zakazano ich stosowania, dopiero gdy przekroczona została granica między używaniem ich w małych stężeniach i przy szczególnych okazjach a powszechnym stosowaniem z nudów lub traktowaniem jako metody na oderwanie się od rzeczywistości. Dziś wszystkie popularne narkotyki syntetyzowane są w laboratoriach lub uprawiane na skalę przemysłową. Czy taki sam los spotka kociętkę lub szalwię?

Niekoniecznie. Przed wszystkim prawdziwy brudny biznes robi się na substancjach uzależniających fizycznie lub przynajmniej psychicznie. Tymczasem takiego działania nie mają ani halucynogeny, ani łagodne środki o działaniu euforycznym, a takie właśnie substancje zazwyczaj służą eksperymentatorom.

ETNOBOTANICY

Zainteresowanie tradycyjnymi używkami przyniosło modę na etnobotanikę, czyli – według serwisu Coffleshop.pl – poznawanie „kontekstu kulturowego, w jakim egzystują różne gatunki roślin na całym świecie, ze szczególnym uwzględnieniem tych gatunków, które odgrywają znaczącą rolę w rytuałach magicznych praktykowanych od wielu pokoleń”.

– Myślę, że zainteresowanie etnobotaniką to fragment większej tendencji panującej na Zachodzie, który po laicyzacji poszukuje alternatywnych źródeł rozwoju duchowego, czego wyrazem jest ruch New Age – mówi Tomasz Sroka, kulturoznawca, twórca Coffleshop.pl. – Nasza cywilizacja od XX wieku stawia na szybkość i efektywność, stąd moda na stosowanie alkaloidów, które działają szybciej niż techniki medytacyjne. Inny powód jest banalny – można na tym zarobić.

Co nie jest zakazane, jest dozwolone. Dzięki tej świętej zasadzie w Ameryce i Europie pojawia się coraz więcej sklepów handlujących sprzedawanymi z całego świata roślinami psychoaktywnymi. Choć dla przyzwyczajonych do ukrywania się z jointem ma to posmak konspiracji, działalność tych firm jest jak najbardziej legalna.

Oczywiście wszędzie, gdzie rozwija się taka działalność, pojawiają się głosy oburzenia wskazujące na zabójcze działania straszliwych narkotyków i nazywające etnobotanikę narkomanią pod przykrywką.

– Tego typu zarzuty wynikają z nieznajomości tematu – mówi Tomasz Sroka. – Najważniejsza różnica jest taka, że narkotyki uzależniają i wyniszczają organizm w przeciwieństwie do większości tak zwanych entheogenów. Co więcej, duża część preparatów roślinnych stosowana jest

ETNOBOTANIKA, DLA KAŻDEGO – CO ROBI NA ŚWIECIE KARIERĘ?

Ayahuasca (*Banisteriopsis caapi*)

Gigantyczna liana z deszczowych lasów Amazonii i Orinoco.

Działanie pobudzające i halucynogenne. Efekty: Drżenie ciała w ciągu kilku minut, następnie pocenie się i stymulacja fizyczna przez 10–15 minut, potem uspokojenie z przytłumieniem umysłu, halucynacjami, wyostrzeniem kolorów, niebiesko-fioletowymi cieniami, zmianą postrzegania rozmiarów i widzeniem w ciemności. Nie powinna być łączona z alkoholem oraz pewnym jedzeniem i lekami.

Źródła: Wikipedia, Coffeshop.pl



Khat, Kath (*Catha edulis*)

Roślina zimozielona o wysokości 15–20 metrów, wywodząca się z Etiopii i uprawiana w sąsiednich krajach.

Działanie stymulujące, czasem halucynogenne.

Znana już w starożytnym Egipcie, nadaje się do żucia, picia naparu i palenia suszu. Daje efekt stymulacji, euforii, jasności umysłu, a następnie niekiedy halucynacje kończące się ospałością, snem lub depresją.



Kocimiętka (*Nepeta cataria*)

Roślina zielna o charakterystycznej, cytrynowej woni, rosnąca w Europie, Azji, Afryce i Ameryce Północnej. Można ją znaleźć na rumowiskach, suchych łąkach.

Działanie podududzające, euforyzujące.

Palone liście lub pity napar dają efekty podobne do marihuany. Po jakimś czasie następuje uspokojenie i senność. Kocimiętka w medycynie ludowej używana była do leczenia kaszlu. Nazwę zawdzięcza uwielbieniu, jakim ze względu na zapach darzą ją koty.



Iboga (*Tabernanthe iboga*)

Wiecznie zielony krzew wysokości 1,5 metra, dziko rosnący w wilgotnych lasach Afryki Zachodniej.

Działanie pobudzające i halucynogenne.

Uznawana za silny afrodyzjak – może wywoływać trwającą kilka godzin erekcję. Żuty lub sproszkowany korzeń wywołuje zależnie od dawki pobudzenie lub wizje. W bardzo dużych dawkach roślina może być śmiertelna.



Powój hawajski (*Argyreia nervosa*)

Duże pnącze z liśćmi o kształcie sercowatym, pochodzące z Hawajów, ale występujące też w Azji.

Działanie halucynogenne.

Składnikiem aktywnym jest LSA – pokrewne LSD. Daje efekty halucynogenne, którym towarzyszy ogromne zmęczenie. Przez pierwszą godzinę lub dwie można doświadczać nudności. Czas działania – około 6 godzin. Łagodne efekty mogą się utrzymywać ponad 12 godzin.



Kava-kava (*Piper methysticum*)

Krzew do czterech metrów wysokości. Występuje na Polinezji, Nowej Gwinei, wyspach południowego Pacyfiku, wyspach Salomona, Fidżi, Samoa oraz Tahiti.

Działanie pobudzające.

Spożywana w postaci napoju daje przyjemną stymulację po półgodzinie. Po kolejnych 30 minutach efekty euforyczne, uspokajające oraz hipnotyczne, ale bez wpływu na sprawność umysłową. Po dwóch–trzech godzinach pojawia się uczucie przyjemnego relaksu. Brak kaca.

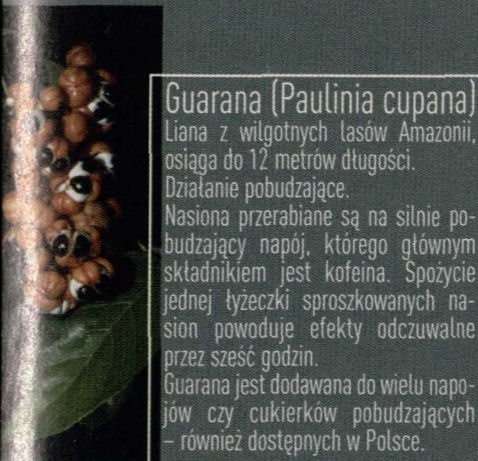


Szałwia wieszcza (*Salvia divinorum*)

Aylin z rodziny jasnotowatych, występująca endemicznie w Sierra Mazateca w Meksyku na wysokościach 800–1800 metrów nad poziomem morza.

Działanie halucynogenne.

Uprawiana przez szamanów ze szczepu Mazatec w celach uzdrowczych. Sadzona zazwyczaj w poszyciu lasu przy płynących strumieniach. W ostatnich latach uprawiana również w innych częściach świata ze względu na potwierdzone działanie psychoaktywne (redukcja serotoniny). Stanowi również obiekt badań psychiatrii, gdyż wywołuje bardzo silne działanie antydepresyjne przy braku stwierdzonych do tej pory efektów ubocznych.



Guarana (*Paulinia cupana*)

Liana z wilgotnych lasów Amazonii, osiąga do 12 metrów długości.

Działanie pobudzające.

Nasiona przerabiane są na silnie pobudzający napój, którego głównym składnikiem jest kofeina. Spożycie jednej tyżeczki sproszkowanych nasion powoduje efekty odczuwalne przez sześć godzin.

Guarana jest dodawana do wielu napojów czy cukierków pobudzających – również dostępnych w Polsce.

Muchomor czerwony (*Amanita muscaria*)

Dobrze znany grzyb tworzący czerwone, nakrapiane na białym owocniki. Najłatwiej go znaleźć w lasach brzoźowych i sosnowych.

Działanie halucynogenne.

Muchomor od tysięcy lat był używany przez szamanów do wywoływania wizji. W tym celu zjada się owocniki lub pije z nich napar. Wbrew rozpowszechnianej po wojnie opinii ten muchomor nie jest trujący, choć trzeba bardzo uważać, by nie pomylić go z innymi gatunkami.



w fotelu. Gdy dziennikarze decydują się na kupienie sadzonki tej rośliny, sprzedawca jest klasycznym archetypem narkomana: „szczupły, widać, że i hoduje, i zażywa”. W rzeczywistości użycie szalwii w żadnym razie nie powoduje wychudzenia – tak działa kokaina lub heroina. Dalej umieszczono wiele „porad dla rodziców” przepisanych z tekstów dotyczących uzależniających, twardych narkotyków. Jest też apel do ministra zdrowia o wpisanie szalwii na listę narkotyków.

RABUNEK CZY ROZWÓJ

Jest jeszcze inny aspekt mody na etnobotanikę. Rośliny, które tradycyjnie wykorzystywane są w kulturach Ameryki, Afryki czy Azji, przechodzą ze sfery sacrum do profanum – stają się przedmiotem handlu, służą relaksowi i rozrywce. Wielu uważa, że to jeszcze jeden element niszczenia tak zwanych kultur prymitywnych.

Jednak praktyka pokazuje, że tradycja, zamiast ginąć, zmienia się. Powszechnie używany w Jemenie i Somalii stymulant – khat (liść rośliny *Catha edulis*) – zaczął być wysyłany do Europy i Ameryki wraz z pojawieniem się emigrantów z tego rejonu. Po amerykańskiej interwencji w Somalii żołnierze odkryli khat, a wtedy rozpoczęła się ekspansja rośliny na Zachód.

– Wokół roślin entheogenicznych rozwija się przemysł w krajach Trzeciego Świata – mówi Tomasz Stroka. – Paradoksalnie umożliwia im rozwój i zarobek na ludziach z Zachodu – przykładem może być „turystyka ayahuasca” w Peru, produkcja i dystrybucja khat w Somalii czy kratom w Malezji i Indonezji.

PO NASZEMU

Ale rośliny o działaniu psychoaktywnym rosną nie tylko w tropikach. Polska też jest ich pełna, tyle że zapomniałyśmy o ich właściwościach. Sztandarowym przykładem jest muchomor czerwony – ten ze ślicznym kapeluszem, pod którym kryją się krasnoludki. No właśnie, krasnoludki. Dziś powszechnie uważany za straszliwie trujący, od epoki kamiennej używany był w obrzędach szamańskich jako środek halucynogeny. Zjedzenie wysuszonych owocników lub palenie skórki wywołuje charakterystyczne wizje, w których obecni są bardzo często ludzie muchomorowi. Krasnoludki?

Oczywiście można znaleźć czarne strony fascynacji etnobotaniką. Środki psychoaktywne (do których, przypominać, zalicza się też alkohol, tytoń i kofeinę) niewłaściwie użyte mogą przynieść opłakane skutki. Podobnie zresztą jak aspiryna, paracetamol czy waleriana. Tyle że mało kto czyta ulotki, w których informuje się, że nie wolno przekroczyć dawki ośmiu tabletek na dobę. Ośmiu tabletek jednego leku raczej nie weźmiemy, ale przy uporczywym bólu głowy, na który nie pomógł na przykład apap, możemy spróbować wziąć panadol, codipar lub efferalgan. To leki z tą samą substancją aktywną, więc dawka się sumuje.

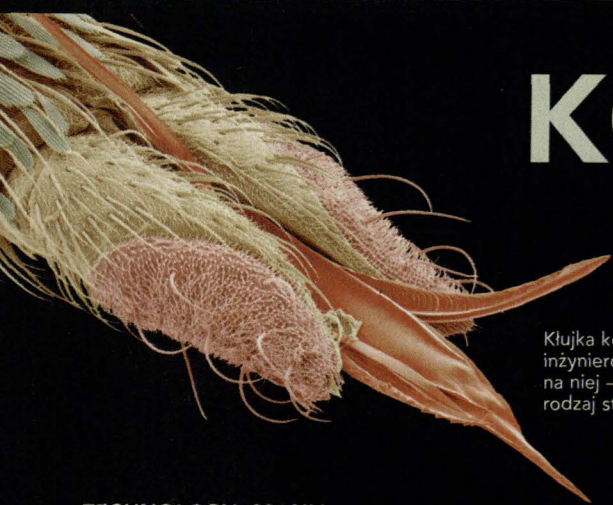
Dlatego wszyscy, którzy zajmują się etnobotaniką, do znudzenia powtarzają, że wszystko jest dla ludzi, ale ludzi rozsądnych. Eksperymentować – proszę bardzo, można – ale pod kontrolą i świadomie.

PIOTR STANISŁAWSKI



FOT. SP/EAST NEWS (3), CORBIS (2), LEHTIKUVA/EAST NEWS

KO(SZ)MAR NOCYLETNIEJ



Kłujka komara zainteresowała inżynierów, którzy – wzorując się na niej – chcą zaprojektować nowy rodzaj strzykawek

TECHNOLOGIA SSANIA

Krwia żywią się tylko ciężarne komarze samice tuż przed złożeniem jaj. Przerabiają ją na białkową odżywkę, bez której z jaj nie rozwinęłyby się larwy. Samce i samice niespodziewają się potomstwa odżywiają się nektarem roślinnym.

Komar nie wszędzie może nas ugryźć.

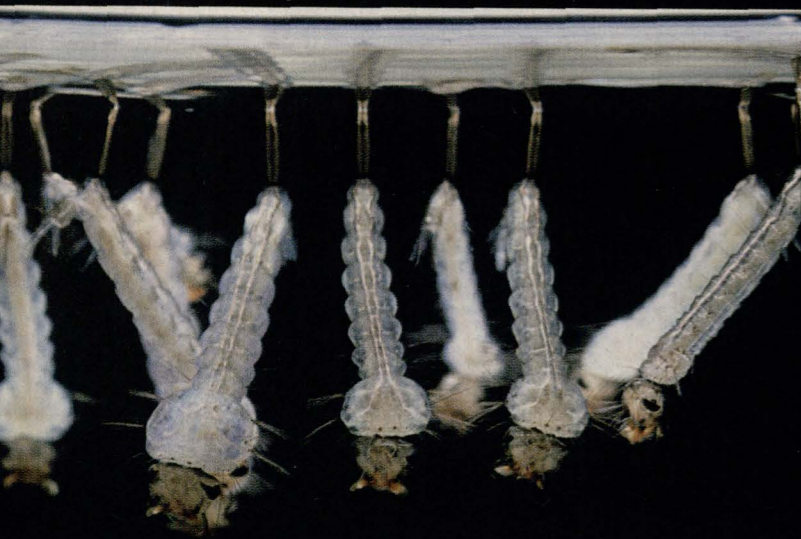
Miejsca, w których naczynia krwionośne są tuż pod powierzchnią skóry, stanowią pięć procent naszego ciała.

Do ssania komar używa przypominającego igłę narządu zwanego trąbką lub kłujką. Po wkłuciu wpuszcza w nasze ciało niewielką ilość śliny z enzymami znieczulającymi i zapobiegającymi krzepnięciu krwi – one wywołują reakcję zapalną objawiającą się swędzeniem.

Ssanie umożliwia mu przestrzeń powietrzna umiejscowione w głowie u nasady kłujki.

Napinając okalające je mięśnie, owad wytwarza podciśnienie, które zasysa krew. Są komary, które dzięki odpowiedniej budowie anatomicznej potrafią wytworzyć ciśnienie dwóch atmosfer – donosi pismo „New Scientist”.

Zwykle komary są w stanie wypić ilość krwi odpowiadającą trzykrotnej masie ich ciała. Rekordziści zjadają sześć razy tyle, ile ważą. Na jeden posiłek komara składają się średnio cztery mikrolitry krwi.



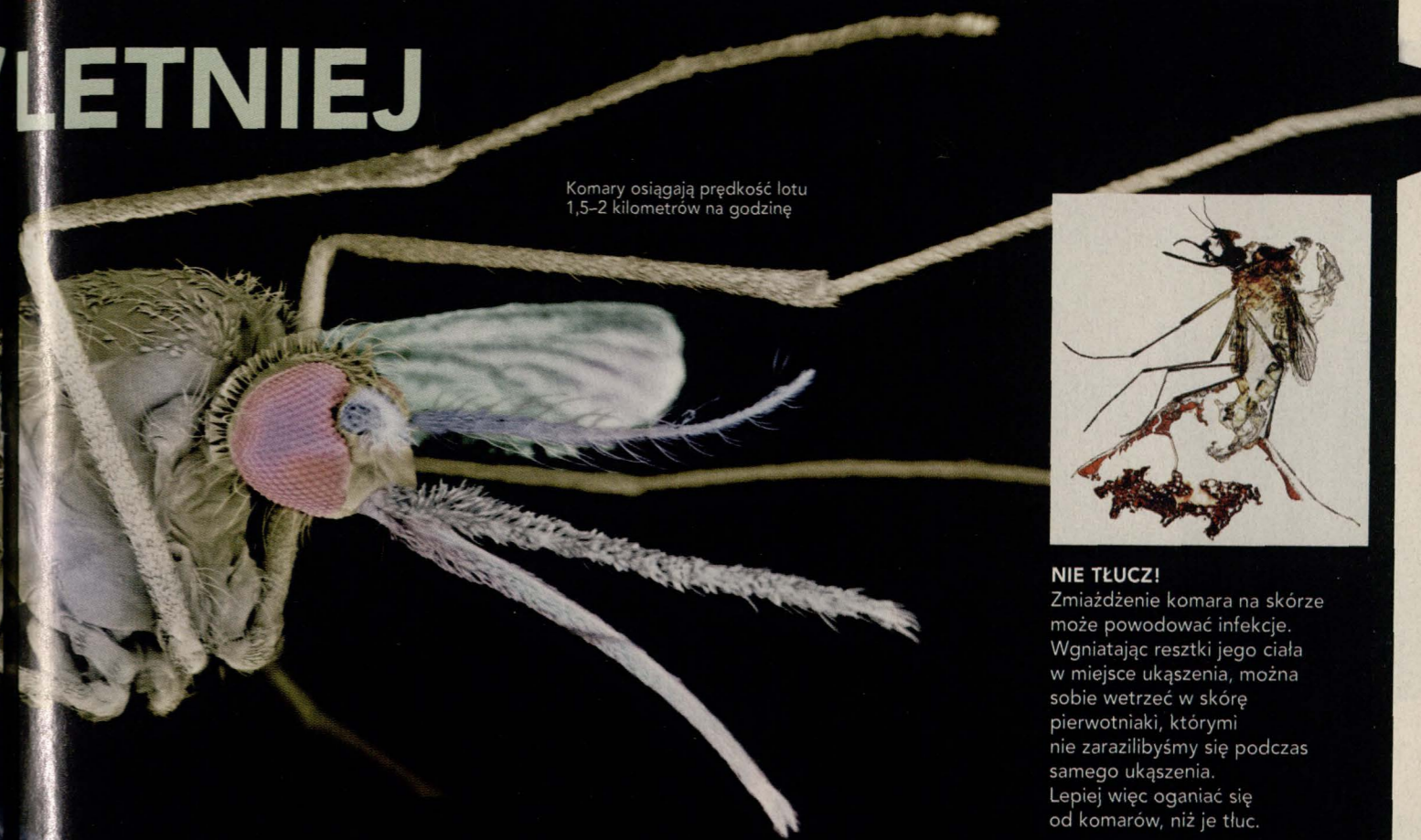
SPOSÓB NA LARWĘ

Walka z larwami komarów jest szkodliwa dla środowiska i ludzi – prowadzi się ją bowiem z pomocą pestycydów. Zespół naukowców z uniwersytetu na Tajwanie zbadał alternatywne środki komarobójcze pochodzenia roślinnego – najskuteczniejszy okazał się olejek cynamonowy. Używany w stężeniu 29 części na milion zabijał połowę larw, podczas gdy popularny syntetyczny środek owadobójczy DEET był równie skuteczny dopiero przy stężeniu 50 części na milion. Jednym ze sposobów zwalczania komarów jest też wprowadzanie do wody, w której żyją larwy, bakterii *Bacillus thuringiensis*. Rozwijają się ona w układzie trawiennym larw. Larwami żywią się też ryby i płazy. Świątynnymi tępicielami komarów są niektóre gatunki nietoperzy. Jeden nietoperz potrafi zjeść 1200 tych owadów na godzinę. Komary nie znoszą zapachu goździków, mięty, eukaliptusa, czeremchy i pelargonii.

Larwy komarów rozwijają się w zbiornikach stojącej wody



Ile wakacyjnych wieczorów zepsuły? Ile nocy zmarnowały ci natrętnym bzycczeniem? Komary. Poznaj, może łatwiej się ich pozbędziesz



Komary osiągają prędkość lotu 1,5–2 kilometrów na godzinę



NIE TŁUCZ!

Zmiazdzenie komara na skórze może powodować infekcje.

Wgniatając resztki jego ciała w miejsce ukąszenia, można sobie wetrzeć w skórę pierwotniaki, którymi nie zarazilibyśmy się podczas samego ukąszenia.

Lepiej więc oganiać się od komarów, niż je tłuc.

Żyjący w Afryce gatunek *Aedes aegypti* przenosi wirusa żółtej febry. Przed chorobą chroni szczepionka. Niektóre gatunki afrykańskie i azjatyckie zarażają też malarią. Chronią przed nią leki. Szczepionki brak

LUBIĄ SOBIE POBZYKAĆ

Irytujące bzycczenie komara jest odgłosem jego bardzo szybko wibrujących skrzydeł – w przypadku samic kilkaset razy na sekundę. Samice bzyczą wyższymi tonami niż samce i tym wabią panów. Dźwięki podobne do samiczkowych wydają też młode osobniki. Dlatego unikają latania, zanim ich skrzydełka nie nabiorą odpowiedniego tonu – przynajmniej w miejscach pełnych napalonych komarzych facetów...

KTO JEST SMACZNY?

Niektóre osoby – wielu z nas wie to z doświadczenia – stanowią znacznie bardziej atrakcyjny kąsek dla komarów od innych. Jedną z przyczyn może być skład ich potu – stwierdzili uczeni z Centrum Weterynarii i Medycyny Tropikalnej Uniwersytetu w Edynburgu. Jak komary odnajdują swój posiłek?

- ✓ Samice komarów niektórych gatunków mają na czulkach receptor z białkiem, za pomocą którego wyczuwają jeden ze składników ludzkiego potu. Komarzyce zaopatrzone są też w receptor termowizyjny i wykrywacz dwutlenku węgla. Potrafią wyczuć większe stężenie tego gazu z 20 metrów. Dlatego chętniej gryzione są kobiety ciężarne – oddychają głębiej i bardziej się pocą, co ułatwia owadom rozpoznanie ofiary.
- ✓ Głodne owady preferują też vegetarian – wydychają oni więcej octenu, związku powstającego w trakcie trawienia pokarmów roślinnych, który wyraźnie przypada do gustu komarom.
- ✓ Niektóre komary kusi też woń brudnych stóp. Na naszych stopach mieszkają bakterie, które rozkładają białka i tłuszcze – komary wyczuwają związki powstające w tej reakcji. Ciekawostką jest, że tego samego szczepu bakterii używa się przy produkcji niektórych gatunków serów.

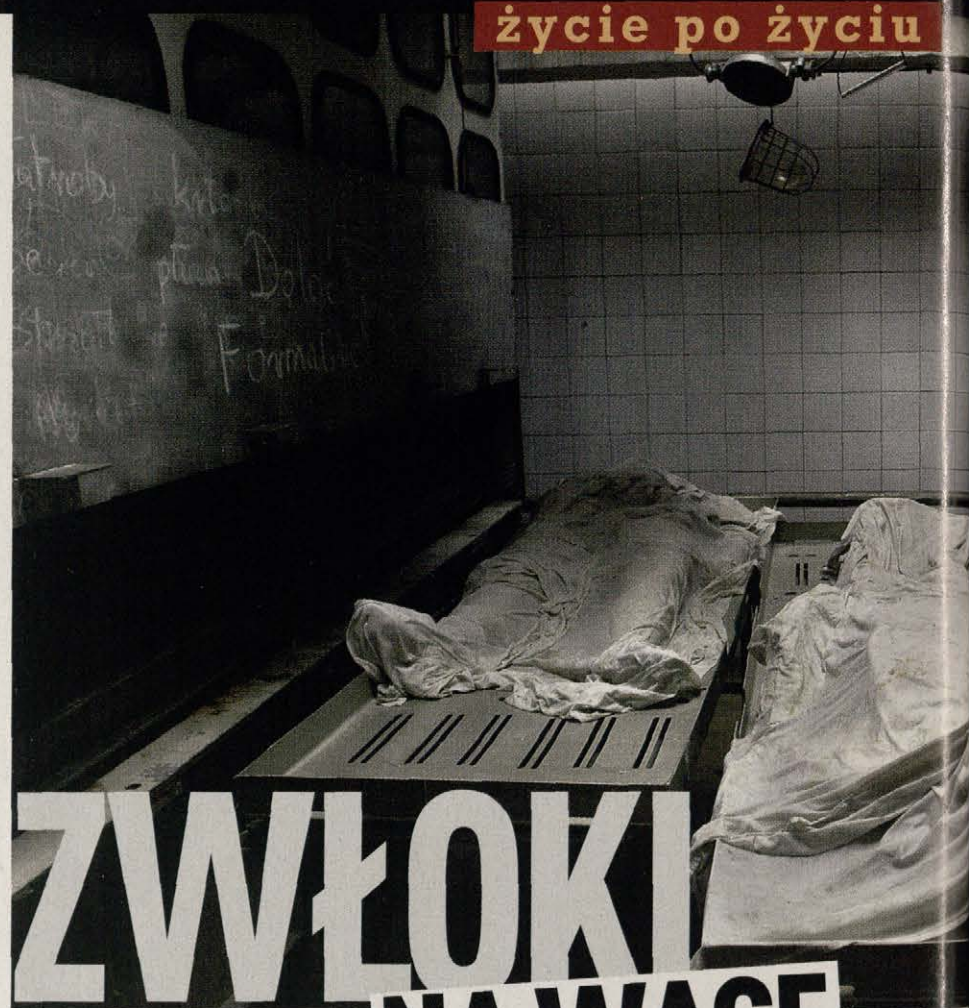
TEKST JULIUSZ ĆWIELUCH
ZDJĘCIA BOGDAN KRĘŻEL

W mieszkaniu Stanisława Surowca panuje nienaganny porządek. Tęgo nauczył go życie. Jedyne kłopot jest taki, że żona z nim nie wytrzymała i odeszła. Bo kredo pana Stanisława brzmi: wszystko ma być zaplanowane. Choć ma dopiero 64 lata i końskie zdrowie, zaplanował już nawet własną śmierć.

– Nie mogę przewidzieć, gdzie nastąpi i czy będzie bolesna, ale jak już przyjdzie, scenariusz jest prosty – tłumaczy emerytowany kierownik utrzymania ruchu Huty Zawiercie. O śmierci ma zostać powiadomiona córka Karina. Ona z kolei ma poinformować Akademię Medyczną w Katowicach. Ta przysłała swoich pracowników, którzy odwożą ciało do akademickiego prosektorium przy ulicy Medyków 18 w Katowicach. Pan Stanisław wybrał się tam nawet na wycieczkę. Ale sali, w której będzie leżał, jeszcze nie oglądał. Ma już za to zdjęcia z pogrzebu, jaki swoim darczyńcom urządza Akademia.

Surowiec dla studentów

Po śmierci spreparowaniem ciała zajmują się pracownicy Akademii. Organy, które szybko się psują, zostaną zabalsamowane i na kilka najbliższych lat zapadną w formalinowy sen. Będą pływały w słojach z Ikei. Akademia kupuje je, bo są tanie, duże i mają szczelne zamknięcia. Reszta ciała przejdzie kąpiel formalinową. Później w niewralgiczne punkty formalina będzie się sączyła z ogromnej, 10-litrowej kroplówki. Po takich zabiegach ciało staje się preparatem. Studenci będą się na nim uczyć, zdawać kolokwia. – I wreszcie znów będę przydatny – tłumaczy pan Stanisław. Po dwóch–trzech latach jego ciało przestanie być przydatne. Studentów egzaminuje się na tak zwanych szpilkach. – Dostajesz preparat z wbitym szpilką. Masz 20 sekund na opisanie po polsku i po łacinie, jak nazywa się ta część ludzkiego ciała. To najlepsza metoda na sprawdzenie wiedzy, ale i zniszczenie preparatu – tłumaczy Marcin, student medycyny.



ZWŁOKI - NA WAGĘ ŻYCIA

Nasze uczelnie będą kształciły rzeźników, jeśli nie rozwiążemy problemu przekazywania ludzkich szczątków akademiom medycznym. Żeby dobrze leczyć, trzeba dogłębnie poznać ludzkie ciało. A najlepiej uczyć się na zwłokach

Pan Stanisław ma już wyreżyserowane także to, co będzie po tym. – Zgrabnie mnie składają w jedną całość i powiozą do skremowania. Później mi publicznie podziękują podczas pogrzebu na Akademii i ostatecznie rozliczam się z życiem i śmiercią – opowiada Stanisław Surowiec. Z życiem, bo córka ma rozsypać prochy po jego ukochanych górkach, tak że jak wiatr dobrze zawieje, to dolecą hen, do Huty Zawiercie, której oddał całe życie i dla której poświęcił rodzinę. A ze śmiercią, bo to będzie koło wieży, z której spadł 50 lat temu, ale wtedy go nie zabrała.

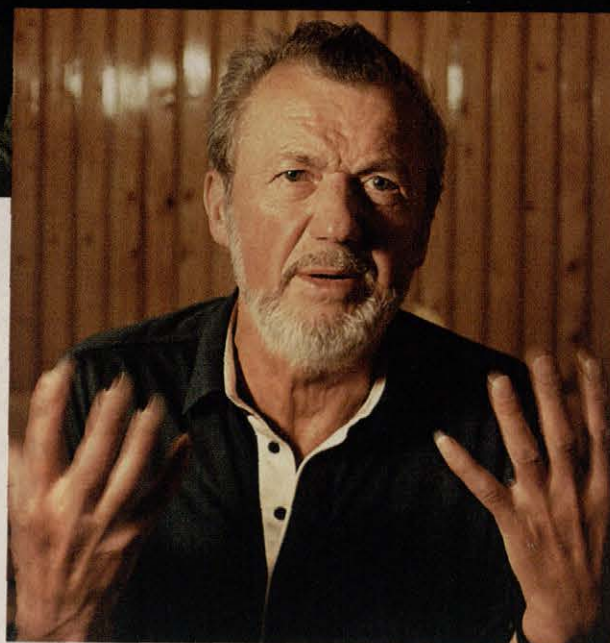
Ludzkie ciała w Zakładzie Anatomii Prawidłowej Śląskiej Akademii Medycznej

64-letni Stanisław Surowiec postanowił przekazać swoje ciało studentom

Na razie nie spożywa niczego, co białe – od soli począwszy, a na mleku skończywszy. Nigdy się nie przejada, alkohol ograniczył do minimum. – Będę się pięknie prezentował tym młodym ludziom – uśmiecha się, ale jakoś tak blado, bo życie już go nie cieszy.

Bez kości nie ma wypukłości

Sale ćwiczeń polskich akademii medycznych pełne są plastikowych fantomów i schematów, które anatomów raczej śmieszają, niż zachęcają do uczenia studentów. – Te całe plastiki to dekoracja. Dobra na biologię do podstawówki, ale nie do uczenia ludzi, którzy mają ratować życie



– tłumaczy profesor Jerzy Gielecki, szef Zakładu Anatomii Prawidłowej Śląskiej Akademii Medycznej w Katowicach. I przeprowadza na mnie eksperyment. Każę mi zamknąć oczy i wodzić palcem po fragmencie czaszki. Najpierw dostaję taką z plastiku. Palcem wyczuwam ostry brzeg. Za drugim razem dotykam już prawdziwej czaszki. Tu też jest brzeg, a nawet dwa, a pomiędzy nimi zagłębienie.

– To sulcus sinus petrosi superioris, czyli bruzda zatoki skalistej górnej. Układa się w niej taka mała żyłka, ale jak to z wszystkim, co mamy w mózgu, bywa, bardzo ważna żyłka. Nie wyczujesz jej i pacjent ma problem – tłumaczy profesor

Obraz Rembrandta „Lekcja anatomii doktora Tulpa” powstał w 1632 roku

Gielecki. – Jeśli przyszły lekarz nie nauczy się budowy każdej najmniejszej bruzdki, wypustki, chrząstki, zatoki, to szanse jego pacjentów na przeżycie maleją – tłumaczy. Anatomia to klucz do leczenia ludzi. – Ale żeby leczyć żywych, trzeba uczyć się na nieżywych i tutaj tkwi nasz problem – martwi się profesor.

W tym, że ma rację, utwierdził go profesor Cahil, amerykański anatom o światowej sławie, który przez kilka lat badał, ile błędów popełniają lekarze szkoleni na preparatach ludzkich i jak sobie radzą medycy uczeni na plastikach. Okazało się, że tym ostatnim szło dwa razy gorzej. A w zasadzie dwa razy gorzej szło ich pacjentom.

Deficyt ciał

Ale ludzki preparat to dla każdej akademii skarb. Ciał nie ma, bo akademie ich nie dostają. Kiedyś przekazywały je domy pomocy społecznej i więzienia, ale to czasy tak odległe jak kartki na buty. – Prawo w tej kwestii jest. Tyle że urzędnicy go nie respektują, bo się boją albo sam już nie wiem dlaczego. Niestety, u nas w kwestii śmierci kultura jest raczej niska – mówi profesor Witold Woźniak z Akademii Medycznej w Poznaniu. Sam się zastanawia, czy swojego ciała nie przekazać Akademii, bo od lat to jedyna metoda pozyskiwania preparatów do nauki anatomii.

Fot. FRANCIS G. MAYER/CORBIS

życie po życiu

– Ustawa o cmentarzach pozwala co prawda na przekazywanie zwłok, których pochówkiem obarczona jest gmina, jak chociażby osób o nieustalonej tożsamości, ale brakuje przepisów wykonawczych. Nawet gdybyśmy chcieli, a ze strony prezydenta Warszawy Lecha Kaczyńskiego jest taka wola, to w tej sprawie akademiom pomóc nie możemy – tłumaczy Paweł Wypych, dyrektor biura polityki społecznej urzędu miejskiego w Warszawie, którego pod-

pa. – Pogrzeby są ładne, ale tylko cudze. Dlatego jak umrę pierwszy, to ja do kostnicy, a żona na wakacje – żartuje pan Daniel. Ale nie do końca, bo obydwójce wierzą, że śmierć to jednak radosne wydarzenie. O tym, że można dokonać donacji swojego ciała na rzecz akademii, pan Daniel dowiedział się z lokalnej gazety. W artykule opisano pierwszy w Polsce pogrzeb, jaki w zeszłym roku katowicki zakład anatomii wyprawił swoim darczyńcom.

liwości. – Bo jak się kończy wrażliwość, to mamy takie historie jak ta w łódzkim pogotowiu – wyjaśnia.

To on wymyślił, żeby zrobić uroczyste pogrzeby osób, których ciała posłużyły studentom do nauki. Cztery lata zajęło mu doprowadzenie do pierwszej takiej uroczystości. W innych polskich uczelniach preparatom się nie dziękuje.

Donacja ratuje życie

– Student pierwszego roku ma około 20 lat. Psychicznie to jeszcze dzieciak. Jeśli mu wzmówimy, że człowiek to tylko preparat, stworzymy potwora – tłumaczy ksiądz Andrzej Kołek. Martwe ciało porównuje do opuszczonego kościoła – chociaż nieużywany, ciągle drzemie w nim duch obrządków, które się tam odbywały. Jego zdaniem nauka Kościoła jest za donacjami. – Skoro Ojciec Święty Jan Paweł II zgodził się na donację narządów, bo to ratuje życie, to jest i zgoda na donację ciała, bo to też służy ratowaniu życia tych, których będą leczyli przyszli lekarze – tłumaczy.

Jednak nie wszyscy księża myślą podobnie. Akademia kilka lat szukała kapłana do poprowadzenia ekumenicznego nabożeństwa podczas chowania prochów donatorów. – Biskup katowicki wyznaczył mnie. Może mnie

było łatwiej – zastanawia się ksiądz Kołek. Sześć lat temu zdiagnozowano u niego ziarnicę, rodzaj nowotworu złośliwego. – Spotkałem się wtedy z wieloma doktorami i uświadomiłem sobie, jak ważne jest, żeby leczyć człowieka, a nie tylko

ko komórki – tłumaczy ksiądz Kołek.

W czerwcu Śląska Akademia Medyczna urządziła drugi pochówek osób, które przekazały ciała na rzecz uczelni. – W XXI wieku lekarz wydaje się dziwną postacią. To on jest zobowiązany do wypisania aktu zgonu, ale także on uczestniczył w narodzinach większości z was – mówił w swoim przemówieniu profesor Gielecki. Obok niego stało pięć urn.

– Kiedy masz na stole wątrobę, nie zastanawiasz się, do kogo należała, tylko jak jest zbudowana. Na pogrzebie uświadomiłam sobie, że oni też kiedyś kochali, zdawali egzaminy i chcieli, żeby to wszystko wokół miało sens – mówi Kasia, studentka pierwszego roku medycyny, i idzie się wpisać do książki pamiątkowej.

JULIUSZ ĆWIELUCH



Pogrzeb ludzi, których ciała służyły studentom do nauki anatomii. Śląska Akademia Medyczna, 3 czerwca 2005 r.

Samorządy nie mogą przekazywać uczelniom zwłok osób o nieustalonej tożsamości

władni wydają dyspozycję co do tyłu pogrzebów rocznie, że wystarczyłoby dla wszystkich akademii w Polsce.

Uczelnie medyczne mają całe stopy pism od starostów, którzy bezradnie rozkładają ręce i mówią, że dopóki minister zdrowia nie wyda stosownego rozporządzenia, to oni ciał przekazywać nie mogą.

– Dochodzi do takiej paranoi, że przed sesją dzwonią do mnie koledzy z innych akademii i proszą, żeby im wypożyczyć zwłoki na egzamin, bo nie mają jak studentów przepytac – denerwuje się jeden z profesorów. Zdaniem profesora Gieleckiego minister zdrowia zasługuje za tę opieszałość na Trybunał Stanu. A zdaniem ministra zdrowia ustawa zasługuje na poprawki. Podobno trwają nad tym jakieś prace, ale w ministerstwie nie sposób się dowiedzieć, kiedy mają się skończyć.

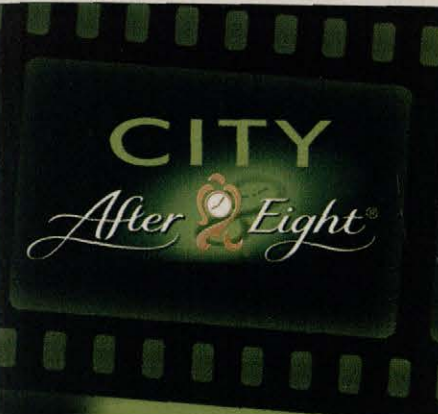
Pogrzeb w podzięce

Pogrzeb na Śląsku to jest coś. Orkiestra, piękne stroje, a na zakończenie suto zakrapiana sty-

W sali byli studenci, którzy kształcili się na ich ciałach. Na podium leżało dziewięć urn z prochami. Były przemówienia, podziękowania, piękne wiązanek kwiatów. – Martwe ciało to już nie ja. Jak mają je jeść robaki albo kroić studenci, to oczywiście wybieram studentów – tłumaczy decyzję swoją i swojej żony, bo artykuł przekonał oboje. Nim zdecydował się na podpisanie papierów u notariusza, długo rozmawiał ze znajomym lekarzem. – Mam 55 lat i przeżyty ciężki zawal. Gdyby nie świetni lekarze, nie cieszyłbym się życiem ani rodziną. Jestem im coś winien – mówi i dodaje: – Ani ja, ani żona nie chodzimy do kościoła. Z pogrzebem pewnie byłyby kłopoty, a tak to już nie nasz problem. Akademia nie pyta o poglądy ani wyznanie.

– Zależy nam, żeby była to decyzja świadoma i dojrzała – tłumaczy profesor Gielecki. Tak samo zależy mu, żeby jego studenci byli nie tylko świetni z anatomii, ale też jeszcze lepsi z wra-

KONKURS FOTOGRAFICZNY



Nestlé Polska ogłasza konkurs fotograficzny **City AFTER EIGHT** dla profesjonalistów i amatorów fotografii. Tematem konkursu jest wszystko to, czym żyje miasto po godzinie ósmej wieczorem. Niech zdjęcia uchwycą ulotne, wieczorne chwile życia miasta.

Przewodniczący jury: **Chris Niedenthal**

Zgłoszenia: **1 czerwca – 31 sierpnia 2005 r.**

Pula nagród: **10.000 PLN**

Wystawa 20 najlepszych prac odbędzie się w dniach

od 12 września do 10 października 2005 r.

na ogrodzeniu Łazienek Królewskich w Warszawie.

Więcej informacji na stronie: www.sensors.pl/cityaftereight



Mięta otulona deserową czekoladą

Patroni medialni: **AKTYWIST** www.aktivist.pl, **fotopolis.pl**, **pozytyw** www.pozytyw.pl



Zmasowany atak Salamandry trwa!

na 15-lecie REBISU 15% taniej!

Tylko w salonach EMPiK i innych dobrych księgarniach

Patroni akcji:   

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o., skr. poczt. 107, 60-959 Poznań 2, tel. 860-48-72, 860-48-73, faks 867-37-74, e-mail: rebis@rebis.com.pl; www.rebis.com.pl











Danilo Kiš Grobowiec dla Borysa Dawidowicza

czarne.com.pl













UWAGA!

Usiądź wygodnie, zachowaj spokój... w sierpniu 2 moduły reklamowe w cenie 1;)

Grażyna Janiak (022) 584 21 72 • 0691-360-755

NIERUCHOMOŚCI • SZKOŁY WYŻSZE • BIURA PODRÓŻY • WYDAWNICTWA

otyłość

MAKRO W SKALI MIKRO

Na maleńkim Kosrae leżącym w archipelagu Mikronezji na Pacyfiku żyje 7600 osób. Sławnych osób. Zawdzięczają to Jeffreyowi Friedmanowi z Nowego Jorku, choć nie jest on reżyserem filmowym, który rajską wysepkę wybrał na plan swego filmu. To profesor fizjologii z Rockefeller University. Co tu robi? Poluje. Jego łowieckie tereny znajdują się jednak nie w tropikalnej puszczy, lecz w genach Mikronezjczyków. Friedman od ponad 10 lat poszukuje w nich genu otyłości. Jeśli jego prace zakończą się sukcesem, miliard cierpiących na nadwagę ludzi zyska nadzieję.

Po raz pierwszy świat usłyszał o Kosrae w 1994 roku. 11 lat temu pracujący tam zespół naukow-

ców kierowany przez Friedmana odkrył gen, który koduje leptynę – substancję chemiczną winną naszemu obżarstwu. By zrozumieć to odkrycie, trzeba zdać sobie sprawę z mechanizmu, który popycha nas do jedzenia.

Złudne zwycięstwo

Raz wyhodowanych komórek tłuszczowych nie da się usunąć. Przybywa ich tym więcej, im więcej dostarczamy organizmowi energii, której nie jest w stanie przerobić na bieżąco. A gdy nagle je opróżnimy (na przykład stosując dietę): „Pusto, pusto, pusto!” – awanturują się komórki tłuszczowe. Budzą głód w naszym mózgu. Jak?

Tu znajdują się regiony odpowiadające za sytość i głód. O tym, który ma działać, decydują

Nasłyniejsze grubasy świata to mieszkańcy jednej z wysp Mikronezji. Dzięki ich przypadłości możemy lepiej zrozumieć co sprawia, że tyjemy i że nie potrafimy schudnąć. A może nawet odkryjemy tajemniczy gen otyłości

substancje chemiczne (neuroprzekaźniki) uwalniane pod wpływem sygnałów dochodzących z układu pokarmowego. Nad wszystkim czuwa właśnie leptyna – „hormon zadowolenia” wydzielany przez pełne komórki tłuszczowe naszego ciała. Gdy zużywamy nasz wewnętrzny tłuszcz, zmniejsza się poziom leptyny w organizmie. W mózgu podnosi się alarm. Żołądek uwalnia hormon głodu – grelinę. Ta z krwią wędruje do mózgu i sprawia, że tu tworzą się substancje stymulujące ośrodek głodu i blokujące ośrodek sytości. Jemy. Jelita, by nie ulec przeciężeniu wciąż przybywającym jedzeniem, stopniowo uwalniają hormon sytości. On mówi mózgowi: „Stop, poczekać”. Zostaje odblokowany układ sytości. Przejajemy jeść.

Jeśli jednak przyjęliśmy na tyle mało kalorii, że opustoszałe komórki tłuszczowe nie napełniły się z powrotem, poziom leptyny wciąż jest niski i historia się powtarza. A im więcej jemy, tym więcej przybywa nam nienasyconych komórek. Gdy zrozumiano ten mechanizm, zdawało się, że znaleźliśmy sposób na łakomstwo. Wystarczy podać (na przykład w zastrzykach) leptynę, by nasz mózg myślał, że jest syty.

Odrąbiono zwycięstwo nad otyłością. Przedwcześnie. Badaczom zrzędył miny, gdy okazało się, że leptynowe oszustwo, które działało na organizm myszek laboratoryjnych, z nieznanych powodów nie udaje się na ludziach. Wygląda na to, że organizmy wielu z nas są głuche i ślepe na dodatkową dawkę leptyny. Co jest? Profesor Friedman znów powrócił do swych Mikronezjczyków. Tylko dlaczego właściwie do nich?

Amerykański tucz

Pierwszy białas pojawił się na wyspie Kosrae w 1824 roku. Europejczycy, którzy tu dotarli, odkryli społeczność szczupłych, zdrowych tubylców. W ciągu krótkiego czasu z kilku tysięcy mieszkańców wyspy zachowało się przy życiu zaledwie 300. Tych, którzy przetrwali epidemie chorób przywleczonych przez białych. Ta garstka ludzi dała początek populacji, która nie jest zbyt różnorodna genetycznie. To cieszy profesora Friedmana. Szukanie bowiem jakiegokolwiek genu w ludzkim genomie jest jak poszukiwanie igły w stogu siana. Ograniczona zmienność genetyczna Mikronezjczyków nieco stóg zmniejsza. To po pierwsze. Po drugie, mieszkańcy Kosrae są idealni do tropienia genów otyłości, bo 88 procent z nich to grubasy.

Jak do tego doszło? Dodatkowe kilogramy tubylcy zawdzięczają Stanom Zjednoczonym, pod których wpływy wyspa dostała się po II wojnie światowej. Wraz z gwiazdzistą flagą dotarli tu tonny przetworzonego jedzenia, które wyparło z diety miejscowych rodzime produkty. Amerykanie zbudowali drogi, dostarczyli samochody. Choć wyspa jest mała, niewiele osób porusza się pieszo.

Skutek jest taki, że Kosrae utyło. 12 procent dorosłych ma cukrzycę (8 procent w USA), 17 nadciśnienie, 20 procent podwyższony poziom cholesterolu. Choroby, jakie leczy się w tutejszym

szpitalu, związane są z układem krążenia, nerkami, wzrokiem – to powikłania wywołane cukrzycą i nadciśnieniem. Większość zabiegów operacyjnych to amputacje związane z cukrzycą.

– Wiemy, że większość ludzi tyje, bo dostarcza swojemu organizmowi więcej energii, niż może on zużyć, ale nie mamy pojęcia, co skłania ludzi do obżarstwa – mówi Rudolph Leibel, kierownik katedry genetyki molekularnej z Uniwersytetu w Kolumbii. – Wierzę, że przejadanie się to nie skutek naszej ze słabej woli lub złych nawyków żywieniowych z dzieciństwa. Uważam, że winę za to ponoszą nasze geny.

Przekonanie Leibela opiera się na hipotezie tak zwanego oszczędnego genu, którą w latach 60. XX wieku sformułował genetyk James V. Neel. Zasugerował on, że niektórzy z nas odziedziczyli geny, dzięki którym wydajniej zużywają kalorie. Ich organizmy potrafią doskonale zamieniać pożywienie w tłuszcz, który chomikują. Neel założył, że ta cecha mogła pomóc przodkom tych ludzi przetrwać czasy, gdy kalorii było mało. Jednak dziś, w czasach obfitości, właśnie to ich wykańcza.

– Załóżmy, że spożywasz ledwie pięć procent więcej z diety 2000 kilokalorii (to średnie dzienne zapotrzebowanie kaloryczne człowieka). To 100 kilokalorii, czyli szklanka soku z jabłek – mówi Leibel. Mało? Pozornie. Na „nowe” pół kilograma ciała składa się 3500 kilokalorii. Więc szklanka soku owocowego ekstra pita codziennie przez rok zwiększa masę naszego ciała o blisko pięć kilogramów. No i co wy na to?

Gen fitnessu

Jeffrey Friedman głęboko wierzy, że za rozszerzającą się światową epidemię otyłości odpowiadają geny. Ma zamiar przyłapać je na gorącym uczynku. W tym celu bada Kosraeńczyków.

Interesują go zwłaszcza ci, którzy mimo że jedzą tak samo niezdrowo jak inni, są wciąż szczupli. Jak to możliwe? Okazało się, że ci szczupli Kosraeńczycy nie są czystej krwi Mikronezjczykami. Są wymieszani z Europejczykami, którzy zawitali tu w XIX wieku. Ich geny się różnią. Ewolowały w warunkach względnego dobrobytu pokarmowego, nie musiały więc wyrabiać w sobie skłonności do chomikowania.



Mieszkańcy Kosrae poczuli się dotknięci tym, że cały świat opowiada o ich tuszy. Zaczęli się zbiorowo odchudzać

Genetyczna koncepcja otyłości Friedmana podważa zasady, które głoszą dietetycy – że tylko od naszej woli zależy, jak będziemy grubi. – Do jedzenia zmusza cię instynkt tkwiący w genach, możesz nad nim zapanować w bardzo ograniczonym zakresie – mówi naukowiec. A jeśli na domiar złego twoje geny nie sprzyjają chudnięciu w czasie wysiłku fizycznego, umarł w butach.

Badania prowadzone między innymi przez Claude'a Boucharda z Pennington Biomedical Research Center w Luizjanie (USA) pokazują, że są ludzie – aż jedna dziesiąta populacji – którym żadne ćwiczenia nie pomogą w poprawie kondycji i schudnięciu. Dlaczego? Bo o naszych predyspozycjach do odchudzania też decydują geny.

Są tacy, którzy będą męczyć się na siłowni, a waga ani drgnie. Być może te „fitnessowe” geny są w jakiś sposób powiązane z tymi od chomikowania. Profesor Friedman ma nadzieję się tego dowiedzieć. Liczy na to, że jego odkrycie doprowadzi do stworzenia skutecznych leków dla grubasów. – Otyłość to taka sama choroba jak wszystkie inne – na przykład rak. Nie wystarczy silna wola, by ją zwalczyć. Trzeba poznać jej mechanizmy i zacząć ją leczyć – mówi.

A co na to wszystko mieszkańcy Kosrae? Odkąd media zaczęły ich wyspę nazywać krainą grubasów, poczuli się naprawdę dotknięci. Postanowili zmienić swoje życie. W siedmiu wioskach wyspy zawiązały się grupy gimnastyczne, które zaczynają dzień od energicznych przebieżek. W sklepach i urzędach lokalne władze porozwieszały plakaty, na których pytają mieszkańców: „Czy przeszedłeś dziś 10 tysięcy kroków?”.

Właściciel lokalnego supermarketu mówi też o zmniejszeniu sprzedaży importowanego przetworzonego jedzenia. Coraz więcej osób odnajduje przepisy kulinarne swych przodków.

I choć profesor Friedman nie wierzy, by silna wola wygrała walkę z genami, Kosraeńczycy się nie poddają. Nie będą geny płuć im w twarz.

Trzymam kciuki.

ZWĘSZYĆ BANDYTE

Do bramki antyterrorystycznej na festiwalu naukowym NextFest w Chicago stała długa kolejka. Ale nie czekali po to, by wejść na ekspozycję – każdy poddawał się kontroli z własnej woli. Atrakcją był nowy system bezpieczeństwa EntryScan³, który „obwąchuje” ludzi. Maszyna uprzejmym tonem zaprasza każdego do wejścia i prosi o chwilę cierpliwości. W tym momencie urządzenie wydaje serię charakterystycznych „pufnięć”, wydmuchując od dołu strumień powietrza. Napędza on tak zwany pióropusz konwekcyjny, który powstaje wokół człowieka dzięki unoszeniu się powietrza ogrzanego przez ciało. Ten ruch powoduje odrywanie się cząsteczek substancji, z którymi kontrolowany miał kontakt. Trafiają one do umieszczonego na górze detektora, który błyskawicznie bada ich skład chemiczny i ocenia, czy nie są to narkotyki lub materiały wybuchowe. Cały proces trwa kilkanaście sekund.



LASER WSZYSTKO WYKRYJE
Detektor cząsteczek korzysta z techniki spektroskopii ramanowskiej. Badane substancje oświetla się promieniem lasera, a odbite światło kieruje do czujnika. Tam następuje odfiltrowanie podstawowej długości światła emitowanego przez laser, a zostają „zakłócenia”. Porównuje się je ze wzorcami substancji poszukiwanych, które są przechowywane w pamięci urządzenia. Ten rodzaj badania pozwala wykryć nawet śladowe ilości związków chemicznych, z którymi miał kontakt badany człowiek

NOS W TORBIE

Przenośny VaporTracer pozwala na błyskawiczną kontrolę bagażu – zamiast opróżniać torbę, wystarczy do niej wsadzić końcówkę urządzenia. W ciągu kilku sekund analizowany jest skład powietrza i wykrywane są ewentualne narkotyki oraz materiały wybuchowe



Fot. SERWIS FIRMOWY (3)



BRAMA DO BEZPIECZEŃSTWA
EntryScan³ będzie stosowany przede wszystkim na lotniskach – już dziś pracuje między innymi w Bostonie. Dzięki niemu kontrola pasażerów ma stać się jednocześnie dokładniejsza, szybsza i mniej uciążliwa



NA WYLOT
StreetLab wykorzystuje spektroskopię ramanowską do analizy podejrzanych próbek. Potrafi zidentyfikować zawartość butelki, fiolki czy torby foliowej bez jej otwierania

Twój drugi dom nad morzem
komfortowy, całoroczny, dozorowany

Domy na sprzedaż w Łukęcinie k. Pobierowa
tel. +48 91 381-26-88
kom. +48 695-236-400, ...405, ...417
www.DomyNadMorzem.pl

CYRANKIEWICZ URBAN
JARUZEŃSKI
GOMULIK
RYWALSKI
SZCZAK

Aleksander Kłockowski
Wnieście Pana Boga

Szukaj w księgarniach i na www.siedmiorog.pl

PRO MEN

PLODNOŚĆ i WITALNOŚĆ

PROMEN NA RATUNEK MĘŻCZYZKOM

Współcześni mężczyźni żyją w ciężkich i niezdrowych czasach. Zatrucie środowiska, stres, spędzanie wielu godzin w pracy, w samochodzie i przy komputerze oraz nieprawidłowa dieta powodują, że mężczyźni są coraz częściej zmęczeni, wyczerpani, pozbawieni witalności i energii. Najnowsze badania naukowe wykazują, że na skutek zanieczyszczenia środowiska współcześni mężczyźni narażeni są także na niepłodność.

MĘSKIE CHOROBY

Szkodliwy wpływ środowiska i trybu życia na organizm mężczyzny to nie tylko podwyższone ryzyko chorób krążenia. Coraz częściej mężczyźni czują się wypaleni, przemęczeni, pozbawieni witalności i energii. Ostatnie badania naukowe wykazują, że na skutek zanieczyszczenia środowiska współcześni mężczyźni narażeni są także na niepłodność.

SUPLEMENT DLA MĘŻCZYZYN

Tymofarm, polska firma farmaceutyczna, przygotowała PROMEN – nowoczesny preparat suplementacyjny o składzie dostosowanym do specyfiki męskiego organizmu i trybu życia. PROMEN uzupełnia niedobory witamin i mikroelementów, stymulujących męską energię, witalność i płodność.

TRYSKAJ ZDROWIEM

PROMEN zalecany jest szczególnie dla mężczyzn przepracowanych, przemęczonych, prowadzących wyczerpujący tryb życia, aktywnych seksualnie. Konieczny w stanach przewlekłego zmęczenia i stresu. PROMEN jest niezbędnym elementem diety dla przyszłych ojców.

MĘSKIE PIERWIASTKI

Działanie PROMENU jest sumą działań jego poszczególnych składników, które zawarte są w specjalnej, dwufazowej formule.

PROMEN – działanie składników	FAZA I			FAZA II	
	Żeń-szeń syberyjski	WIT. B 12	CYNK	OMEGA-3	SELEN WIT. E
plodność i potencja	+	+	+		+
zapobieganie wypadaniu włosów			+	+	
dobra forma fizyczna	+	+		+	
detoksykacja organizmu			+	+	+
energia i witalność	+	+			
sprawność intelektualna, odporność na stres	+	+	+	+	

Jedno opakowanie to 6-tygodniowa kuracja.

www.promen.pl

Do nabycia w dobrych aptekach oraz sklepie internetowym www.tymofarm.pl/sklep

TYMOFARM
(0 22) 646 02 38



Kultowy cykl dzienników Adriana Mole'a!

SUE TOWNSEND
ADRIAN MOLE
lat 13 i 3/4
Szczerze wyznania

Sue Townsend
ADRIAN MOLE
Meksykańskie domiatki

Sue Townsend
ADRIAN MOLE
Czas cappuccino

Szukaj w księgarniach!

PATRONI MEDIALNI:
PANI FILIPINKA wp.pl female.pl merlin.pl Jeżynka



W TYM MIEŚCIE
LUDZIE
NIE SPOTYKAJĄ SIĘ,
TYLKO ZDERZAJĄ,
NIE MÓWIA,
TYLKO KRZYCZĄ

PUZZLE Z MORAŁEM

Film, który **najpierw rozdrapuje rany, a potem łagodzi ból**

Los Angeles wcale nie jest Miastem Aniołów. To drapieżna metropolia, skonfliktowana, będący w ciągłym stanie wrzenia, wielorasowy i wielokulturowy tygiel. Ludzie żyją w napięciu, strachu i nienawiści wyrastającej z rasowych uprzedzeń. Już dawno żaden amerykański film nie pokazał tych problemów, wzmocnionych jeszcze po 11 września, tak otwarcie i odważnie: biały policjant, wykorzystując swoją władzę, upokarza bogate czarne małżeństwo; dwóch czarnych złodziejek napada na białego prokuratora i jego żonę (ta z kolei pomiatka meksykańską służącą). Irański sklepikarz podejrzewa portorykańskiego ślusarza o oszustwo, a prokuratura ma problem: nie może przyznać medalu dzielnemu gliniarzu, bo nazywa się... Saddam. Polityczna poprawność w rękach urzędników zamienia się w narzędzie szantażu, a w rękach kolorowych mieszkańców – w niebezpieczną broń.

Paul Haggis krzyżuje drogi swoich bohaterów i splata ze sobą ich losy. Trochę tak, jak niegdyś Altman w „Na skróty” czy Paul Thomas Anderson w „Magnolii”. Nie tyle zresztą splata, ile – zgodnie z oryginalnym tytułem „Crash” – zderza. I to boleśnie.

MAŁGORZATA SADOWSKA

„MIASTO GNIEWU”, REŻ. PAUL HAGGIS,
USA 2005, MONOLITH PLUS, PREMIERA 22 LIPCA

GLOBALNA WIOCHA

Luc Besson wyhodował kolejnego potwora

Jedyne w swoim rodzaju połączenie kina sztuk walki ze... sztuką wysoką. Dzięki temu szczególnemu zabiegowi możemy po scenach prania się po mordach i siekania ostrymi narzędziami ukoić skolatane nerwy przy dźwiękach muzyki poważnej oraz inteligentnych rozmowach o miłości i rodzinie. Te pierwsze serwuje nam Jet Li, tytułowy człowiek pies, od dzieciństwa tresowany na wściekłego rottweilera na usługach gangu (Li zresztą doskonale pasuje do tej roli, w końcu w każdym swoim filmie demonstruje minę zbitego psa). Z kolei inteligentne rozmowy to domena pocziwego i – a jakże! – niewidomego dziadzia (Morgan Freemanie! Jak mogłeś nam to zrobić?) oraz jego podopiecznej z aparatem na zębach (Kerry Condon). Stracił fortepianów i obiecująca pianistka przygarnęli kiedyś do swojego kulturalnego domu „psa”, powodując u niego głęboką osobistą przemianę i ogólny wstrząs poznawczy.

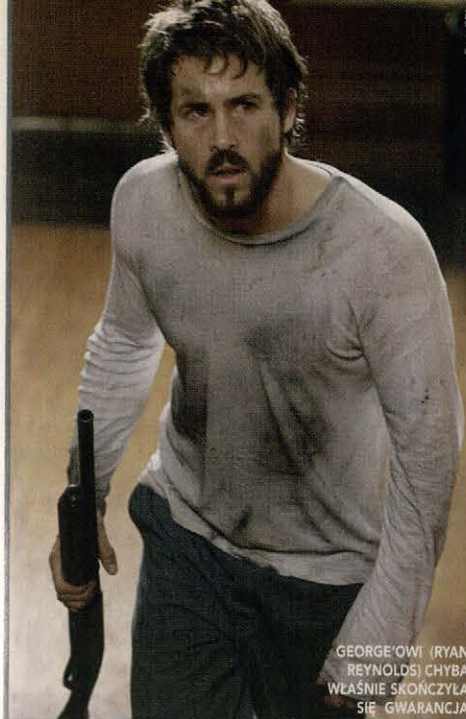
„Człowiek pies” to w ogóle film wstrząsający. Między innymi ze względu na produkcyjny rozmach – jest to w końcu nie tylko międzynarodowy, ale i międzykontynentalny projekt amerykańsko-francusko-brytyjsko-hongkoński. Cóż, jeśli tak właśnie ma wyglądać kino ery globalnej, zaczynam rozumieć prawdziwy sens pojęcia „globalna wioska”. „Człowiek pies” to kolejne wątpliwe „dzieło” (po „Yamakashim”, „Transporterze” czy „Taxi”), wyprodukowane przez świetnego onegdaj reżysera Luca Bessona. Osobiście uważam, że ktoś powinien mu wreszcie porządnie przyłać!

MAŁGORZATA SADOWSKA

„CZŁOWIEK PIES”, REŻ. LOUIS LETERIER,
FRANCJA/USA/WIELKA BRYTANIA/HONGKONG
2005, MONOLITH, PREMIERA 15 LIPCA



JET LI – CZŁOWIEK, KTÓRY SIĘ KULOM NIE KLANIA



GEORGE OWI RYAN REYNOLDS CHYBA WŁAŚNIE SKOŃCZYŁA SIĘ GWARANCJA

TUMANI, NIE PRZESTRASZA

Ze zła otrzepiesz się jak z kurzu

Filmowi bohaterowie uciekli, jak się zdaje, z podręcznika „związków idealnych”. Ona eksponuje wdzięki w scenie miłosnej, on pręży mięśnie. W ogóle są piękni i fotogenicznie szlachetni – nic to, że kobieta pochowała niedawno męża, bo przecież nowy mężczyzna wspaniałomyślnie przyjmuje trójkę osieroconych dzieci, błyszczy uśmiechem, kupuje dom i robi dużo więcej, by upodobnić się do kukły z naklejką „dożywotnia gwarancja na niekończący się miesiąc miodowy”.

Do świata czcigodnej rodziny Zło przychodzi więc – jakżeby inaczej – z zewnątrz. Spoziera zza ścian i luster nowego domu, dusi w wannie, przestawia budzik, podszeptuje: „Złap ich! Zabij ich!”, i każe rzucać się z dachu. Szlachetnych znieprawia, czyściochów zmienia w brudasów, a bohatera – anioła i modela w jednym – przepoczwarza w latającego z siekierą somnambulika.

Jak na jubileuszowy remake horroru sprzed ćwierćwiecza film autora reklamówek zanadto bezpruderyjnie sięga po najbardziej tandetne i łopatologiczne elementy gatunku (hysteryczny montaż, świetne zabawy dające efekt dyskotekowego stroboskopu), ale też prezentuje zaskakująco spójną wizję świata. Zło ma naturę bezpańską. Zawsze jest „gdzieś tam”, nigdy w nas. Ze Złem się nie walczy. Przed Złem się ucieka (nawet ksiądz czmycha przy pierwszym starciu z demonami). Ze Zła trzeba się otrzepać niczym z kurzu, a uroda duszy i ciała wraca natychmiast. Proszę bardzo: krwawy horror, a jaka ładna bajka. Prawdziwy koszmar!

PAWEŁ T. FELIS

„HORROR AMITYVILLE”, REŻ. ANDREW DOUGLAS,
USA 2005, SPI, PREMIERA 22 LIPCA

SPOSÓB NA WAKACJE

Letni kalejdoskop filmowy: **beztrosko, beznadziejnie** albo jedno i drugie naraz

Wybór należy do nas, choć prawdę mówiąc, wakacyjna oferta polskich dystrybutorów kinowych nadzieją nie napawa. W przypadku hitu „Sposób na teściową” trzeba wręcz zacytować słynne zdanie z „Boskiej Komedii”: „Porzucie wszelką nadzieję”. Jesteśmy tu bowiem świadkami upadku na dno hollywoodzkiego piekielka wielkiej gwiazdy i świetnej aktorki Jane Fondy, która tytułową rolę wredoty z marnych dowcipów wraca do kina po 15 latach nieobecności na dużym ekranie. Takiej aktorskiej szarzy nie powstydziliby się najbardziej zmanierowany ułan, choć to zdecydowanie Jane jest tutaj czol-



JOHN CLEEVE TO JEDEN Z KASJARZY. A PANI OBOK TO PEWNI KASJERKA!

giem. Drewnianą szabelką natomiast Jennifer Lopez, która rolę kandydatki na synową udowadnia, że nie przypadkiem otrzymała kilka Złotych Malin.

Po czymś takim z prawdziwą ulgą ogląda się komedię „Kasjerzy czy kasiarze?”, w której kilku pracowników banku wpada w tym samym czasie na pomysł ograbienia własnego miejsca pracy. Odrzewaną pomysłu smakuje jak odgrzewana zupa, ale przynajmniej jest lekkostrawny. No i można sobie popatrzeć na miłe i przeważnie urodziwe twarze młodych amerykańskich aktorów.



CZY ISTNIEJE JAKIŚ SPOSOB, ZE BY ZNIECHĘĆ JENNIFER LOPEZ DO GRANIA W FILMACH?

Najpoważniejszym dziełem w letnim zestawie wydaje się z kolei „Zgadnij kto”, remake pamiętnego antyrasistowskiego „Zgadnij, kto dzisiaj przyjdzie na obiad”. Ale tylko się wydaje. W oryginale biała dziewczyna zaprosiła do domu swego czarnego narzeczonego, co wywołało szok u jej rodziców. Teraz mamy odwrotną sytuację – czarna dziewczyna chodzi z białym chłopakiem, a jej ojciec ma obiekcje. Na jego miejscu jednak bardziej niż kolorem skóry przyszłego zięcia martwiłbym się bladym charakterem chłopaka granego przez niejakiego Ashtona Kutchera. Amerykanów optymizmem może napawać fakt, że kwestia różnic rasowych spadła z poziomu poważnego problemu społecznego do rangi domowej niesnaski. A szowinistycznym Polakom zostaje opowiadanie sobie na plaży kawalów o teściowych i Murzynach.

BARTOSZ ŻURAWIECKI

„KASJERZY CZY KASJARZE?”, REŻ. GAVIN GRAZER, USA 2003, KINO ŚWIAT, PREMIERA 15 LIPCA

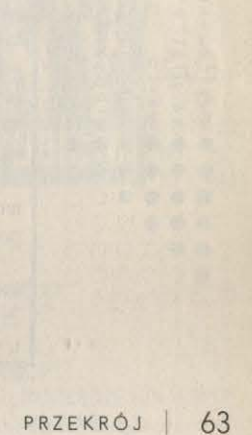
„SPOSÓB NA TEŚCIOWĄ”, REŻ. ROBERT LUKETIC, USA 2005, WARNER, PREMIERA 15 LIPCA

„ZGADNIJ KTO”, REŻ. KEVIN RODNEY, USA 2005, CINEPIX, PREMIERA 22 LIPCA

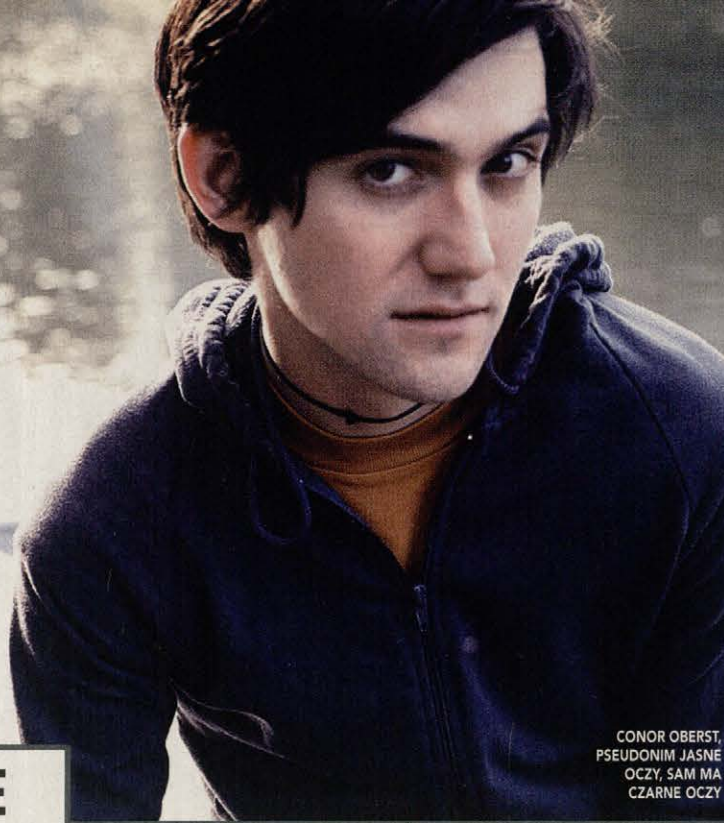
NAWET AKTOROM GRAJĄCYM W „ZGADNIJ KTO” WCALE NIE BYŁO DO ŚMIECHU



Sony Cyber-shot T7



mistrzostwo
na piątkę
warto
ujdzie
kiepskie
dno



CONOR OBERST, PSEUDONIM JASNE OCZY, SAM MA CZARNE OCZY

TYLKO JASNE OCZY!

Jeśli nawet **Bright Eyes**, czyli **Conor Oberst**, nie jest nowym Dylanem, to i tak warto go poznać

Jeśli wziąć pod uwagę znaczenie pseudonimu, pod którym nagrywa (**Bright Eyes**), fani Conora Obersta mogliby zaśpiewać: Tylko jasne oczy, widzę jasne oczy, ciągle jasne oczy... Jeśli jeszcze przypomnieć sobie słabość Obersta (chłopak pochodzi z Nebraski) do country, to w powietrzu już czujemy zapach gnojówki. Lecz spokojnie, to nie takie country, od którego wąsy same rosną. Poprzedni album **Bright Eyes** nagrany dla mikroskopijnej wytwórni Saddle Creek przyniósł sprzedaż w całej Ameryce rzędu 250 tysięcy egzemplarzy, co dla niezależnego wydawnictwa jest rekordem świata. A prasa muzyczna przekrzykiwała się: „Nowy Dylan!”, „Nie, nowy Gram Parsons!” – i w końcu stanęło na chóralnym: „Król niezależnego rocka!”. Bo Oberst wydał im się najciekawszym songwriterm (autorem-wokalistą) młodego pokolenia w Ameryce.

Kolejne ruchy Obersta były – wydawało się – łatwe do przewidzenia. Zagrał trasę koncertową u boku R.E.M. i Bruce'a Spring-

steena, wyprowadził się do Nowego Jorku, wylądował na paru okładkach. Tyle że – co już wszystkich wprawiło w zdumienie – nie zdecydował się podpisać kontraktu z żadną wielką wytwórnią płytową. Pozostał przy Saddle Creek (pomagał tę firmę zakładać jako... 13-latek), która musiała urosnąć tylko po to, by w tym roku wypuścić na rynek kolejne płyty **Bright Eyes** – aż dwie naraz!

„I'm Wide Awake, It's Morning” to płyta akustyczna, pobrękuje tu country i tradycyjne songwriterskie granie niczym ze złotej ery Dylana. Przepiękna ballada „Lua” wypromowała ten album tak skutecznie, że świetnym „Landlocked Blues” (duet z Emmylou Harris!) i kapitalnym finałowym „Road To Joy” (trawestacja słynnego fragmentu „Ody do radości” z IX symfonii Beethovena) zachwycały się za chwilę już setki tysięcy osób na całym świecie.

Album numer dwa, przyjęty nieco chłodniej, „Digital Ash In A Digital Urn” to z kolei piosenki wzbogacone o elektroniczne brzmienia i silniej zrytmizowane, ale wciąż noszące piętno talentu Obersta. I to ta płyta pokazuje wyraziście, co zrobił artysta. Otóż wybudował pomost między tradycją amerykańską, tą spod znaku Dylana czy Casha, a europejskim światem piosenki rockowej lat 80. i późniejszych. Tu mocniej sły-

podobieństwo pełnego desperacji głosu Obersta do Roberta Smitha z The Cure. Tyle że znajdziemy tu przynajmniej kilka nagrań lepszych od wszystkiego, co The Cure zrobili po roku 1990! A słyszalne są też skojarzenia z Flaming Lips, Dntel, Granddaddy – innymi Amerykanami, którzy wzbogacają piosenkę o cyfrowe udziwnienia.

Jeśli więc odrzuci was „Digital Ash...”, to znak, że połączenie starej sztuki pisania piosenek i nowych rytmów do was nie trafia. Lecz jeśli to „I'm Wide Awake...” wzbudzi w was niechęć, to znaczy, żeście bez serca albo macie alergię na brzmienia country. To drugie jest do przejścia za pomocą silnej woli. To pierwsze uleczyć można na przykład dobrą piosenką, więc warto powtórzyć słuchanie.

„Nie wiem, dlaczego wszystkie recenzje moich płyt zaczynają się od tego, ile mam lat” – zastanawiał się kiedyś Oberst. Tu więc zostawiam tę informację na zakończenie. Ten cholernie zdolny twórca ma 24 lata. Dokładnie tyle, ile miał Dylan, gdy wkraczał w najlepszy okres swej twórczości. Skojarzenia to jednak przekleństwo.

BARTEK CHACIŃSKI

BRIGHT EYES „I'M WIDE AWAKE, IT'S MORNING”, Saddle Creek
„DIGITAL ASH IN A DIGITAL URN”, Saddle Creek

STARZY, ALE NOWI

Starzy Singers o Chince zakochanej w wasie karateki

Jak Feniks z popiołów, a może jak popiół i diament? – wielki comeback odnotowała legenda warszawskiej sceny gitarowej! Legenda, bo jeszcze w zeszłym roku grupa miała przejść do historii z dorobkiem dwóch płyt z 10 lat. W tym czasie udało jej się uwolnić punk rocka z protest songów i prostych trzech akordów na rzecz absurdalnych tekstów pełnych gier słownych,



równie przewrotnych gitarowych dysonansów i rozjeżdżających się rytmów. Choć Starzy Singers należą do grona tużów sceny niezależnej – jak Ścianka, Something Like Elvis i Ewa Braun – na szczęście nie podzielił losów konkurencji i wracają w wielkiej formie. Nielatwe życie niezależnego dziecka dwojga kochanków, którzy nie pasowali do teorii Freuda, romans małej Chinki zakochanej w wasie karateki i przygody Dziadzi, który spotkał na dworcu nosorożka zamiast swojego groźszka – Starzy Singers wciąż powalają słowami, a do tego solidnymi gitarowymi zagrywkami, których nie powstydziliby się żaden amerykański zespół. Dla nowej publiczności odkrycie płyty „Takie jest c'est la vie” może być przyjemną niespodzianką.

(JAS)

STARZY SINGERS „TAKIE JEST C'EST LA VIE”, Lado ABC



AMERIE BRYLUJE, PÓKI NIE WRÓCI BEYONCÉ

CIĘŃ ORLICY

Udany przebój, ale gonitwa za Beyoncé skazana na porażkę

Najbardziej prawdopodobny powód, by wreszcie zwrócić uwagę na Amerie, dotychczas drugoligową gwiazdkę sceny R&B, a dziś najgorętsze nazwisko solowego świata zza oceanu. To „1 Thing” – genialny singiel promujący jej drugi album w karierze, z mocą rażenia porównywalny jedynie z pamiętnym megahitem „Crazy In Love” z repertuaru Beyoncé. Oba nagrania to zresztą praca tego samego rozchwytywanego producenta Richa Harrisona. On właśnie, poszukując chwytliwych sampli w zakurzonych funkowych archiwach, najskuteczniej dziś wpływa na nową jakość w dziedzinie soulowej produkcji. Co zaś się tyczy samej Amerie, choć próbuje, choć nie sposób odmówić jej talentu i wdzięku, druga Beyoncé, niestety, nie będzie. Ot, ładniutka, niezła wokalistka z solidnym producenckim zapleczem. Powiew świeżości dla czarnych rytmów, ale tylko do czasu, gdy szefowa Destiny's Child przypomni o sobie kolejnym solowym materiałem.

BARTEK WINCZEWSKI

AMERIE „TOUCH”, Columbia



Sony Cyber-shot T7

GDY ROZPADA SIĘ KANAPA

Prosimy się nie zrażać – nowa płyta Röyksopp to album drugiego kontaktu



RÖYKSOPP: CZY MISTRZOWIE CHILLOUTU PRÓBOWALI SIŁ W BOKSIE?

Tych, którym muzyka Röyksopp ogrzewała dotąd chłodne wieczory lub pomagała znieść trudy poranka po nocnych szaleństwach w klubie, nowa propozycja Norwegów za pierwszym razem zapewne rozczaruje. „To album drugiego kontaktu” – ostrzegają zresztą w wywiadach muzycy z Bergen. Ich sensacyjny debiut „Melody AM” z 2001 roku z miejsca uwiódł sympatyków szeroko rozumianego chilloutu. Dziś Röyksopp salwują się ucieczką z tonącego okrętu, którym sami dowodzili. Mało prawdopodobne, by ich nowe nagrania nadal miały zasilać lounge'owe składanki, czyli kanapowe fonograficzne wizytówki modnych knajp i hoteli. Tym razem z norweskich fiordów powiało niepewnością, niepokojem, melancholią arktycznej zimy (w czasie której powstał ten album). Spod słodkich, niekiedy kiczowatych wokaliz wyziera nuta goryczy i niespełnienia, a miłe dla ucha melodie toną w gąszczu zakręconych pętli rytmicznych. Fakt, polubić „The Understanding” od pierwszego przesłuchania trudno. Szczególnie że Skandynawom zdarza się uderzyć w ton podniosły jak ze snu fana Vangelisa. Wystarczy jednak dać im kolejną szansę, okazać odrobinę tytułowego zrozumienia, by ten alternatywny, elektroniczny pop znów chwycił za gardło. Inaczej niż przed czterema laty, ale równie mocno.

BARTEK WINCZEWSKI

RÖYKSOPP „THE UNDERSTANDING”, Wall Of Sound



FRANK BLACK JUŻ DOGONIŁ DYLANA. TERAZ UCZY SIĘ CHODZIĆ PO WODZIE

DYLAN NA CZARNO

Jak lider Pixies spełnił swoje marzenia

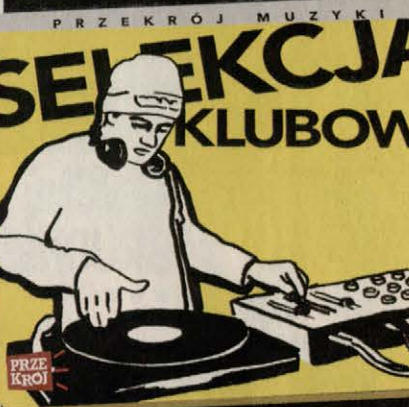
Lata temu Frank Black z Pixies chciał nagrać solowy album zatytułowany „Black on Blonde”. Miał to być hold złożony jednej z najważniejszych płyt w historii muzyki rockowej – „Blonde on Blonde” Boba Dylana. Projekt ten jednak porzucił. Wrócił do niego dopiero w zeszłym roku. Przed reaktywacją Pixies „Czarny Franek” wyjechał do Nashville, by zrealizować swoje porzucone marzenie. Ostatecznie album nosi tytuł „Honeycomb”, bo „Black on Blonde” ktoś już zdążył wykorzystać. Jaka jest ta płyta? Szczerza. To chyba najprostsze i najbardziej trafne określenie. Z 14 piosenek o rozstaniach z kobietami („Strange Goodbye”) czy palącym pożądaniu („I Burn Today”) bije autentyzm. Zupełnie jakby Frank Black wychował się na folku, bluesie i country, a nie punk rocku, do którego przyzwyczail nas, grając z Pixies. Oto płyta, którą śmiało można położyć na półce gdzieś między wczesnymi krążkami Leonarda Cohena i Boba Dylana. Zresztą głos Blacka momentami brzmi identycznie jak głos tego pierwszego („Another Velvet Nightmare”). Tyle że Cohen już nigdy tak dobrej pieśni nie napisze.

ROBERT ZIEBIŃSKI

FRANK BLACK „HONEYCOMB”, Cooking Vinyl

PRZE KROJ

UNIKALNA KOLEKCJA PRZEKROJ MUZYKI



Krótką historią nowej muzyki tanecznej

NOWA PŁYTA

NAJLEPSI WYKONAWCY WYJĄTKOWE UTWORY CENY NIE DO POBICIA

(KAŻDA PŁYTA 29,99 ZŁ, W TYM 22% VAT)

PRZE KROJ pomaton Music from EMI

Nadal w sprzedaży: „SOUL BEZ POŚCIELI”, „NOWY ROCK” i „KORZENIE HIP-HOPU”. Szukaj w najlepszych sklepach muzycznych na terenie kraju.

KSIAŻKOWY
HARRY POTTER
JUŻ ZAWSZE
KOJARZYŁ SIĘ BĘDZIE
Z TYM FILMOWYM.
DORASTA SZYBKO
I MA CORAZ WIĘKSZE
WZIĘCIE U DZIEWCZĄT.
A JOANNE ROWLING
(NA ZDJĘCIU PO PRAWIEJ)
MA POWODY DO DUMY



TROCHĘ BRUDNIEJSZY HARRY

Jaki jest nowy „Potter” czytany w oryginale? Bardziej romantyczny niż poprzednie tomy, ale równie przewidywalny

Kim jest Harry Potter, wie już większość mieszkańców planety Ziemia. Na szósty tom przygód czarodzieja czekało kilkadziesiąt milionów ludzi na świecie. Zamówienia na książkę w internetowych księgarniach pobiły wszelkie rekordy, a wydawca zaplanował sprzedaż ponad 10 milionów egzemplarzy w ciągu pierwszej doby, ale mimo porażającego nakładu w Anglii rozpoczęto akcję odkupywania od czytelników przeczytanych już egzemplarzy i uruchomiono sprzedaż używanych. W Polsce w pierwszy weekend sprzedało się ponad 2500 sztuk w wersji oryginalnej (mimo wysokiej ceny: 99,90 złote; polska wersja dostępna będzie dopiero pod koniec roku). W dodatku treść była najpilniej strzeżoną tajemnicą ostatnich lat. Osobom, które odważyłyby się ją zdradzić, grożono gigantycznymi karami. Ostatnio taką tajemnicą odkryto prawdziwe wyniki poszukiwań broni chemicznej w Iraku.

W „Harry Potter and the Half-Blood Prince” czarodziej ma już 16 lat. Trudno więc nazywać go „małym czarodziejem”, wyrósł bowiem

na podobno przystojnego chłopca, który w dodatku zakochuje się w siostrze swego najlepszego kumpla Rona. A ten z kolei – w Hermionie. Duża część fabuły nowej książki krąży więc wokół uczuciowego dorastania bohaterów. Są potajemne pocałunki, schadzki, zerwania i trzymanie się za ręce na lekcjach. Oczywiście „Half-Blood Prince” to nie tylko historyjka miłosna. Harry wraz z dyrektorem szkoły magii Dumbledorem poszukuje magicznych artefaktów, w których ukryte są fragmenty duszy Voldemorta. Z kolei wredny i złośliwy Draco Malfoy brata się ze złymi Śmierciożercami, próbując przejąć władzę nad Hogwartem.

Nowa powieść Rowling nie przynosi rewolucji – to nadal napisana bardzo prostym językiem, przejrzysta historia. Rozwój wydarzeń przewidzieć równie łatwo jak wynik polskiej reprezentacji piłki nożnej w meczu z Brazylią. A kto zginie (to miała być największa tajemnica szóstego tomu), łatwo domyślić się po pierwszych 20 stronach lektury. Ale treść kolejnego „Harry’ego Pottera” tak naprawdę już dawno przestała być najważniejsza. Stanowi za to pretekst do bukmacherskich zakładów – w Anglii w tygodniu poprzedzającym wydanie powieści przyjmowano zakłady związane z nowym tomem. I tak na przykład za śmierć Dumbledore’a zbrano łącznie sześć tysięcy funtów (a obstawiano ten fakt jak 50:1).

Niezwykła popularność tej serii książkowej nie ma racjonalnego wytłumaczenia, a Rowling na tym etapie może napisać cokolwiek. Nawet gdyby zdecydowała się uczynić z głównego bohatera zdrajcę i sprzedawczyka, powieść i tak sprzedalaby się w milionowych nakładach. A przewisko „mały czarodziej” przestało być aktualne nie z tego powodu, że bohater dorósł, tylko dlatego, że zamienił się w giełdową inwestycję. Akcje brytyjskiego wydawcy skoczyły do góry o siedem procent, gdy ogłosił datę premiery najnowszego tomu!

Oczywiście stwierdzenie, że „Harry Potter and the Half-Blood Prince” to powieść zła, byłoby dla niej krzywdzące. Ot, nieskomplikowane czytało złożone ze schematów znanych z innych utworów fantasy, nie siłę się nawet na oryginalność. Gdyby nie ów niewytłumaczalny sukces, opowieści o Potterze leżałyby gdzieś na półce pomiędzy kolejnym tomem przygód Artemisa Fowla i Henry’ego Atherton – bohaterów innych powieściowych cykli dla dzieci. Ale wtedy papież Benedykt XVI nie mógłby zniechęcać do czytania książek Rowling, a programiści z Microsoftu nie przezywiliby swych mniej zdolnych kolegów mugolami. Bo świat uzależnił się od Harry’ego Pottera. Co musi niezmiernie cieszyć panią Rowling. Zwłaszcza że chowa ona w zanadrzu jeszcze jeden, zamykający cykl tom.

ROBERT ZIĘBIŃSKI



JOANNE K. ROWLING
„HARRY POTTER AND THE HALF-BLOOD
PRINCE”, Bloomsbury, London 2005

SEN WARIATA?

Znana dziennikarka na tropie czerwonej ośmiornicy

A więc w polskiej mafii są: grupa trzymająca władzę, stary zarząd telewizji, spółka Inter Commerce, Rudolf S. (to krzepki korzeń mafii), „Pershing”, dalej setki ludzi dawnych służb specjalnych, tysiące zasłużonych towarzyszy w rządowych spółkach, setki tysięcy urzędników świadczących lewe usługi, a na samym końcu poławiacze złota, górnicy od bazaltu, grupka weterynarzy i pracownicy obory w Klewkach.

„Zwariowałam” – stwierdza w tytule autorka. No właśnie. Bo jeśli rzeczywiście jedna z najbardziej utytułowanych dziennikarek III Rzeczypospolitej dostała się w szpony szaleństwa, to jej książkę, owoc kilkuletniego luźnego śledztwa, można położyć na półce obok książek o masonach, Marsjanach i cyklistach. Jeśli jednak



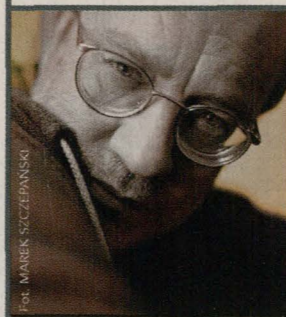
MARIA WIERNIKOWSKA

nie, to mamy problem. Wiernikowska sugeruje bowiem (cały czas z czapką błazna na głowie), że czerwona ośmiornica opłótła nasz kraj pajęczyną układów i powiązań towarzysko-biznesowo-sentymentalnych. Na tyle skutecznie, że rozsypać to będzie można tylko metodą Aleksandra Macedońskiego. Ten, jak wiadomo, stojąc przed węzłem gordyjskim, dobył miecza i po prostu ciachnął. Wiernikowska jawi się tu jako nowa Krystyna Janda z „Człowieka z marmuru”. Typ uparty, natręt ogarnięty pasją. Zabrali jej kamerę, to zrobi program na slajdach. Zabrali aparat fotograficzny, to napisze dziennik. I jest to praca fascynująca. Oczywiście nie mieści się w żadnych dziennikarskich standardach. Albo inaczej: w żadnych, które obowiązują od 15 lat. Pytanie tylko, czy takie standardy nie powinny zacząć wreszcie obowiązywać. Nie ją. Prokuratorów, prawników, sędziów, polityków. Wszystkich, których psim obowiązkiem jest dociekać prawdy. Wiernikowska – na absolutnie wariackich papierach – przynajmniej spróbowała.

MICHAŁ WÓJCIK



MARIA WIERNIKOWSKA
„ZWARIOWAŁAM”,
Rosner i Wspólnicy,
Warszawa 2005



CZYTANIE NA TRAWIE...

...czyli nie ma takiego złego, co by na gorsze nie wyszło

Szara okładka stylizowana na zgrzebne zeszyty peerelowskie. Na tle disneyjskich kolorów tysiąca okładek rzuca się w oczy. Twarda, prędko się nie zniszczy. Tytuł dziwny. „Pesel 890604...”. Książka ma równo 400 stron. Dużo. Ale czyta się dobrze. Jak ten felieton, mam nadzieję. Pisano trochę jej stylem, rzeczowym, prawie informacyjnym. Autor: **Cezary Harasimowicz**. W środku 11 opowiadań. Ale niektórzy bohaterowie przewijają się tu, to tam, raz na pierwszym planie, raz w tle. Więc jakby puzzle, układanka. Historie są tak zwane życiowe. Kula wa samotna połoźna zabiera do domu porzucone niemowlę narkomanów. Oni mają AIDS, dziecko może też. Ale potem się okazuje, że nie ma. Odbierają położną dziecko, przekazują ko mu innemu, jak przedmiot. Emynt muzyk zabija w samoobronie dwóch młodocianych bandytów. Podczas dochodzenia nie wytrzymał ciężaru niezawinionej winy. Koleś w pociągu staje w obronie napastowanej dziewczyny. Napastnicy wyrzucają go w biegu, koleś roztrząskuje się o ślup trakcyjny. Jego kumpel ma wyrzuty sumienia, nie pomógł mu. Rozpoczyna śledztwo

na własną rękę, żeby móc oskarżyć sprawców. Umierający ojciec okrutnie napuszcza na siebie synów i konkubinę, niech walczą o spadek; kto lepszy, dostanie. Cyniczny redaktor sprowadza więźniarkę dzieciobójczynię do efekciarskiego programu TV. Falszują jej wypowiedzi. Ona prawie popełnia samobójstwo. I tak 11 razy. Ludzie w tych historiach opisani są przeważnie okropni. Zimni, bezwzględni, przekupni, brutalni i dla sukcesu gotowi na wszystko. Między nimi nieszczęśnicy. Słabeusze, kalecy, naiwni idealści. Ci najczęściej, choć nie zawsze, przegrywają.

Harasimowicz jest przede wszystkim scenarzystą filmowym. Uchodzi dziś w Polsce za najlepszego. Ta jego książka, debiut prozatorski, równie dobrze ujęć może za zbiór nowel przerobionych z niechcianych scenariuszy, co opowiadania gotowe do szybkiego przerobienia na teksty do kina. Chyba szkoda, że nie jest po prostu zbiorem scenariuszy. Ich stylizyka, czysto komunikacyjna (usiadł, powiedział, wyszedł, przewrócił się), byłaby naturalna. Zostawiałyby miejsce na wyobraźnię, domysły. A tak musimy czytać takie na przykład „literackie” zdania: „Pot skrzy się mu na czole jak rozsypane diamenty”. Na szczęście nie jest ich dużo. Smutna książka. Gdyby taka miała być cała Polska, trzeba by od razu wyskoczyć przez okno. Ale tak się teraz pisze, żeby uchodzić za prawdziwego.

TADEUSZ NYCZEK

era
Omnix
MOŻESZ WIECIEJ

Wakacyjny konkurs! WYGRAJ

jeden z 2 zestawów ERA TAK TAK z telefonem

Philips Fisio 822!

Zestaw wyposażony jest w radio i dwa startery!



Wystarczy, że odpowiesz na pytanie:

Który z operatorów GSM stworzył portal mobilny

Omnix

A. PLUS, B. ERA, C. IDEA

Wyślij odpowiedź SMS-em wpisując w treści: PRK.A, PRK.B lub PRK.C pod numer 72702 w dniach od 21 do 27 lipca. Koszt wysłania SMS-a to 2 zł netto (2,44 brutto). Wygrywa co 50 osoba do wyczerpania nagród. Konkurs przeznaczony jest dla abonentów wszystkich sieci GSM.

Regulamin konkursu dostępny jest w siedzibie Edipresse Polska S.A., ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa.

www.eraomnix.pl

mistrzostwo
na piątkę
warto
ujdzie
kiepskie
dno





NIEZASPOKOJONA MAŁŻONKA (IWONA BIELSKA) I SFRUSTROWANY INTELEKTUALISTA (JAN PESZEK) W NIEDOBRANYM DUECIE RODZINNYM

NIEDONOSEK

Na motywach słynnej powieści Canettiego **Paweł Miśkiewicz** zrobił imponujące... pół spektaklu

Czegoś takiego oczy moje recenzentki nie widziały. Oryginalny, przemyślany i rokujący jak najlepsze nadzieje spektakl od połowy zmienił się w naiwną krotkoczasową prowadzoną topornie, niby cudzą ręką. Kto wierzy w czary, ma jasność, że to nieprzyjaciele teatru Mikołaja Grabowskiego (ujawnieni ostatnio w znacznej sile) musieli zebrać się podczas przerwy w kłozecie, by mrucząc zaklęcia, przemienić urodziwe widowisko w rozdeptaną żabę.

PROFESOR I GOSPODIA

Paweł Miśkiewicz podrasował „Auto-da-fé” eseistyką Eliasa Canettiego z tomu „Masa i władza”. Postawił na scenie regały bibliotecznego. Między nimi (a ściślej, przy wtoczonych między nie domowych sprzętach) potoczyła się rzecz o książkowym mołu, który popada w samoniszczące szaleństwo pod ciężarem życiowej trywialności; całość została poprzedzona wykładem tegoż erudyty o odmóżdżającej roli mas. Skontrapunktowane wątki – wykład ze wszystkimi ekscentryzmami i „życie”, czyli skutki niebotycznego kontrastu między górnolotnym profesorem a jego przyziemną gospośnią, potem połowicą – zostały pokazane pomyslowo i zabawnie. Reżyser umiał uciec od dosłowności. Intelktualiście wyna-

grodził kłeskę męsko-damską, aranżując wizytę samego Konfucjusza w jego bibliotece; niezaspokojonej małżonce przygotował kolację z przystojnym subiektem przy restauracyjnym stole będącym od razu – dla przyspieszenia – łóżkiem. Dostaliśmy ujętą w efektowne skróty pół zjadliwą, pół ciepłą opowieść o skazanej na niepowodzenie koegzystencji dwojga niedopasowanych ludzi. Jan Peszek cudnie narysował Kiena – „Büchermenscha” przenikliwego i dziecinnie bezradnego. Iwona Bielska – misternie i odważnie bujną kobietę zatopioną równie głęboko w kuchenne-gardierobiano-sypialnianym modelu wartości, co mąż w książkach. Stający między nimi szpiclowaty dozorca Krzysztofa Globisza godnie reprezentował nadchodzącą chamską masę skazującą ich oboje (!) na obłęd.

Pewnie ta pierwsza część nie powinna trwać aż dwie i pół godziny. Trzeba by ją też lepiej zabezpieczyć przed groźbą obsunięcia w farsę pod wpływem ciśnienia publiczności. Nie ulegało jednak wątpliwości, że mamy dojrzałe przedstawienie, bez hysterii stawiające diagnozy, otwierające aktorom pole do mądrego popisu.

GNĄC DO WYJŚCIA

Nic z tego nie zostało po przerwie. Wygany z domu, pogrążający się w obłędzie Kien przepoczwaczył się w poczciwego Filutka, jakby Peszkowi nie stało środków na eskalację dramatu. Subtelna opowieść o rozjeżdżaniu się intelektu z rzeczywistością zmieniła się w wodewilową głupotkę

o wyciąganiu pieniędzy z naiwnego inteligenta przez gadatliwego cwaniaczka i skorumpowanego policjanta. Miśkiewicz, tak pięknie przedtem skupiony na niuansach portretów, ograniczył się do łopatologicznego referowania fabuły. Znikło to, co stanowiło o klasie widowiska: brawurowe skróty, sarkazm, żart. Nie znalazł kontynuacji ów wykład z pierwszej części – myślowy punkt odniesienia. Jakby teatrowi przeszła ochota na dokończenie planu zwiedzania wybranego kawałka świata i zaczął gnąć do wyjścia byle prędzej.

Zabrakło czasu? Gdzie tam, pierwszą datę premiery ogłoszono z pół roku temu. Może więc syndrom przenoszonej ciąży? Teatrem polskim nigdy w takim stopniu jak dziś nie trzęsła gorączka wściekłego rozkojarzenia. Niczego nie da się wypuścić w terminie, nad żadną pracą niepodobną porządnie się skupić, produkuje się niedonoski albo przenoski. I wszyscy pokornie uznają, że nie ma rady, takie czasy, nie rozumiejąc, że tracą przede wszystkim sami. Może to nieszczytne „Auto-da-fé”, z którego po roku dłubania jeden z najciekawszych dziś twórców zrobił imponujące pół i paść, będzie wreszcie impulsem do powszechnej kuracji?

JACEK SIERADZKI

„AUTO-DA-FÉ” ELIASA CANETTIEGO, PRZEKŁAD EDYTA SICIŃSKA, ADAPTACJA I REŻYSERIA PAWEŁ MIŚKIEWICZ, SCENOGRAFIA BARBARA HANICKA, MUZYKA O. GRANDIER, STARY TEATR W KRAKOWIE



TYLKO PAŃSTWO MŁODZI (ONA MAŁGORZATA ORACZ I ON DARIUSZ SZYMANIAK) NOSZĄ SIĘ DLA KAPRYSU NA LUDOWO

POPRAWINY

Wyjściowe założenie tego „Wesela” było kuszące, ale rezultat rozczarowuje

Czego ja się nie naczytałem i nie nasłuchałem o tym „Weselu”? Że najważniejsze po '89 roku, że ośniewające i czyste interpretacyjnie... Niestety, spektakl jest bardziej manifestem potencjału Teatru Wybrzeże, efektywnym przeglądem szeregow niż dopiętą na ostatni guzik inscenizacją, zwieńczeniem sezonu.

Cóż, zdarza się: zaplanowane z rozmachem i dobrze obmyślane premiery nie zawsze wychodzą. Tajemnica teatru polega przecież także na nieprzewidywalności końcowego efektu.

W PEŁ W PRÓŻNI

Gdańskie „Wesele” rozgrywa się w wysokiej, białej sali bez okien. Stos przesłany w kącie, porzucony zestaw perkusyjny, pusty stół przykryty białym obrusem. W pierwszej scenie podpity Czepiec (Michał Kowalski) lży muzykantów, którzy „nie chcą grać”. A nie chcą grać, bo sobie poszli w cholerę. Goście są skacowani i zniechęceni, bo to nie wesele, lecz poprawiny.

Rudolf Ziolo przeniósł akcję dramatu Wyspiańskiego do współczesności, odmłodził większość bohaterów, nasycił odniesieniami do powojennej historii Polski. Zapomniał jednak, że jedyną piorunującą innowacją musi pociągnąć za sobą następną, równie śmiałą i głęboką. Nie można naruszyć części symboli, resztę pozostawiając w spokoju, bo inaczej na scenie będzie pomieszanie z poplątaniem. Ciągnąc jedną nitkę, trzeba chwycić za drugą. I bez tego „Wesele” to przecież najefektowniejszy ze wszystkich polski super teatralny. Poezję związane tu z anegdotą, historię z przywidzeniami, głupotę z narodem. Nie

wystarczy więc przebrać aktorów w modne stroje (tylko państwo młodzi noszą się dla kaprysu na ludowo) albo dać im oryginalne motywacje psychologiczne, skoro na scenie zostawia się kosy i pawie pióra. Także stylizowany na ludowo język dramatu wisi w próżni, bo ani nikt dziś tak nie mówi, ani bohaterowie się nim nie bawią.

NOS CHOCHOŁA

Ziolo przegrał, bo nie potrafił dać kompletnej wizji świata, który tętni za sceną i z którego oglądamy ledwie odpryski. Toteż więcej w jego spektaklu ideologii, natrętnych aktualizacji niż logicznego przełożenia rzeczywistości bronowickiej na naszą. Rozwiązania błyskotliwe (Rycerz Czarny podmieniony na Baczyńskiego) sąsiadują z irytująco komicznymi: zamiast złotego rogu jest turystyczny plecaczek, a rolę kaduceusza, którym Dziennikarz ma „mącić narodową kadź”, odgrywa długopis Stańczyka.

Ziolo odbiera dramatowi Wyspiańskiego wszelką werwę i rytm, przetrzymuje sceny i dialogi. Wraz z pojawieniem się widm nie zmienia się temperatura spektaklu. Granica między majakami a realnością jest płynna i bylejaka, a duchy podejrzanie cielesne. Stańczyk Cezarego Rybińskiego wydaje się nawet pić z gośćmi przez całą noc.

Wreszcie najważniejsze: nie ma Chochoła. W tej roli obsadzono nas, publiczność. Nie przypadkiem rama sceniczna to jedynie symboliczne okno w wesele sali. Dlatego aktorzy co rusz zwracają się do widowni, to z niej wyłania się i w niej znika Piotr Jankowski – Poeta. To co? My dusimy i paralizujemy społeczeństwo? Sami siebie trzymamy za gardło? Zważywszy na to, że średnia wieku na widowni wynosi jakieś 20 lat, teza mocno naciągana.

Nie przeczę, że wyjściowe założenie spektaklu było kuszące, ale końcowy rezultat rozczarowuje... Kuleje re-

żyseria, nie domykają się sceny, nikt nie panuje nad całością wizji.

AKTORZY NIEWINNI

Ale aktorzy niewinni! Walczą jak gwardia napoleońska pod Waterloo, do samego końca. O każdą postać, sytuację i sens. Podobała mi się Rachel Magdy Boć: krzykliwa, nachalna, irytująca. Jaka tam z niej poetyczna postać! Raczej dziewczyna z pretensjami, że nikt nie dostrzega jej inności. Szukający daremnie w sobie resztek uczciwości Dziennikarz Igora Michałskiego, ciągle zraniona miłością Marysia Katarzyny Kaźmierczak. Dla tych i jeszcze paru innych ról warto zderzyć się z gdańskim „Weselem”. I dlatego dam w zęby każdemu, kto spróbuje używać tego przedstawienia jako argumentu przeciwko teatrowi i dyrekcji. Wedle starego teatralnego porzekadła dobry teatr to taki, który ma zespół do obsady „Wesela”. Ten ma.

ŁUKASZ DREWNIAK

„WESELE” STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO, REŻYSERIA RUDOLF ZIOŁO, SCENOGRAFIA PAWEŁ WODZIŃSKI, MUZYKA STANISŁAW RADWAN, TEATR WYBRZEŻE W GDAŃSKU

Opisane tu premiery zamknęły sezon 2004/2005. Obie zostały zrealizowane przez znanych i cenionych reżyserów. Czytelnik bez trudu zauważy, że wnioski z tych tak bardzo różnych premier wyraźnie łączy coś jakby pozateatralnego. Tym czymś jest poczucie niedokończoności, niedomyślności – intelektualnej, artystycznej i bodaj organizacyjnej tych propozycji scenicznych. Zjawisko nie jest nowe. Od dawna oglądaliśmy takie „niedonoski”, w których, wydawałoby się, wystarczy niewiele zmienić, żeby wszystko zagrało. Ta choroba toczy nie tylko nieudaczników – także mistrzów. Tyle że tych pierwszych nie żal. A kto pożałuje nas, widzów? (RED.)

RMF fm RADIO MUZYKA FAKTY

POLSKIE DNI W MASO CORTO

W dniach 9-16 lipca 2005 odbyła się trzecia edycja imprezy - Polskie Dni w Maso Corto.

Organizator, TESTA-PR serdecznie dziękuje partnerom i sponsorom eventu:

Partner Organizatora: Patron:

Sponsorzy:

Patroni medialni:

Organizator:

WWW.POLSKIEDNI.PL

mistrzostwo
na piątkę
warto
ujdzie
kiepskie
dno

KANON
KOMIKSU
CZ. III



W lipcu do kupienia wraz z „Przekrojem” zeszyty letniej kolekcji komiksowej. A na łamach pisma – kanon komiksu. Oto trzecia i ostatnia, krajowa część zestawienia

„TYTUS, ROMEK I A'TOMEK” (1957 ROK)
SCENARIUSZ I RYSUNKI: HENRYK JERZY CHMIELEWSKI (PAPCIO CHMIEL)

„Tytus...” to pierwszy masowy sukces komiksu w Polsce. Zawdzięcza to lokalnemu humorowi, obserwacji codzienności, ale przede wszystkim głównemu bohaterowi. Kto z nas nie jest po części nieuczłowieczony? Powiedzonkami bohaterów mówi się do dziś. Mnie podoba się pomysł Tytusa na znak „~” (bezmysłnik), który należałoby umieszczać przed zdaniami niemającymi sensu. Co wtedy pozostałoby z Dziennika Ustaw? (BK)

„KAPITAN ŻBIK” (1968 ROK)
SCENARIUSZ I RYSUNKI: RÓŻNI AUTORZY

„Kapitan Żbik” powstał w głębokim gardle PRL, bo w roku 1968 i na zamówienie Komendy Głównej MO. Za wymyślenie superfunkcjonalnego MO odpowiedzialni byli pułkownik Zbigniew Gabiński, pracownik KG, oraz pułkownik Władysław Krupka, pracownik SB. On też stał się głównym scenarzystą serii. Stawiam swoją kolekcję Żbików, że gdyby przeprowadzić sondaż na najbardziej znaną postać polskiego komiksu, zwyciężyłby właśnie on. Seria stanowiła poligon doświadczalny dla rysowników starej szkoły realistycznego komiksu w Polsce. Najwyżej cenione są zeszyty Grzegorza Rosińskiego i Bogusława Polcha. (MSZ)



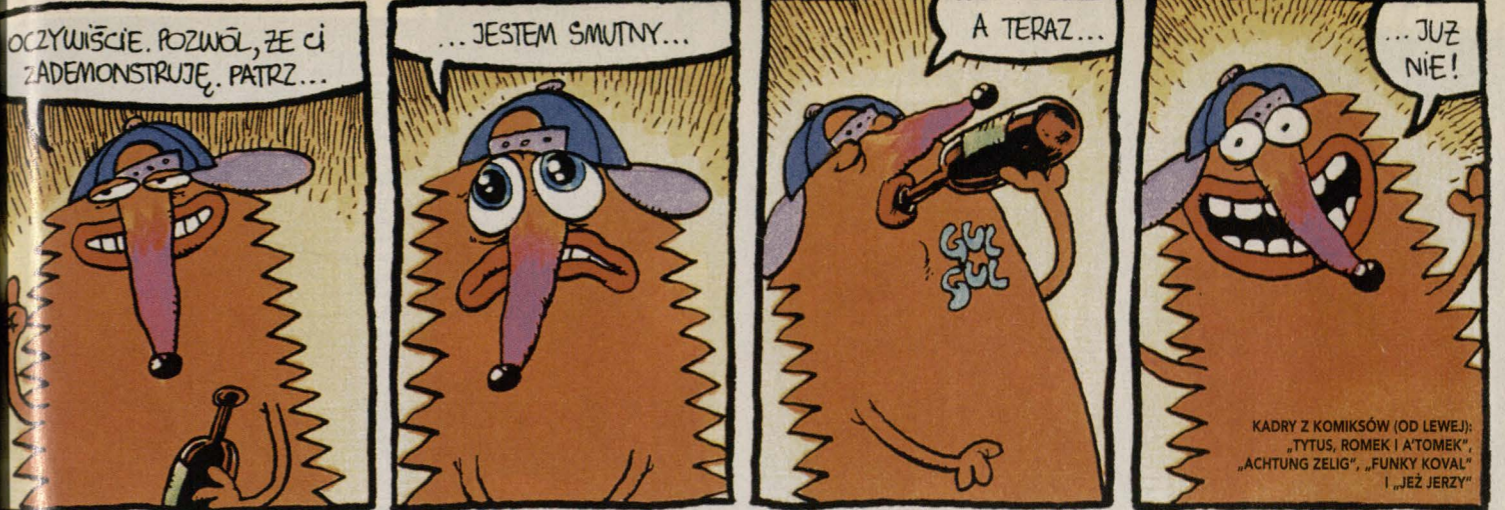
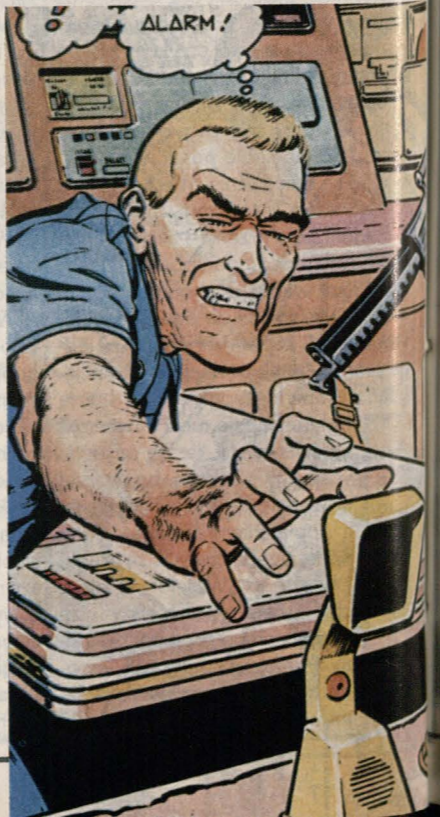
MAMY ROZKAZ
ABY WSZYSTKIE
POLSKIE KOTY GHUPTAĆ
I PRZEKAZYWAĆ TYM Z 44.
ONI PODOBNO
MUSZĄ ZDRAWAĆ
EGZAMIN Z KOTA
WIĘC NA TEN TOWAR
JEST NIEUSTAJĄCE
ZAPOTRZEBOWANIE.

„FUNKY KOVAL” (1982 ROK)
SCENARIUSZ: MACIEJ PAROWSKI, JACEK RODEK
RYSUNKI: BOGUSŁAW POLCH

„Obywatel Kane” polskiego komiksu. Wcześniej drukowano u nas komiksy dla dzieci, dydaktyczne i propagandowe, a zamieszczano w „Fantastyce” „Koval” nie miał żadnych „nadrzędnych” celów, i to autorzy wykorzystali znakomicie. Tytułowy bohater ze zwykłego detektywa zmieniał się stopniowo w obrońcę wolności, a komiks zaczął zawierać analogie do rzeczywistości stanu wojennego – jeden z wrogów bohatera nosił ciemne okulary, a firmę Kovala zdelegalizowano. Ostatnia część ukazała się 13 lat temu. (BK)

„JEŻ JERZY” (1994 ROK)
SCENARIUSZ: RAFAŁ SKARŻYCKI, RYSUNKI: TOMASZ LEW LEŚNIAK

Komiks wolny od dydaktyzmu, skanuje obyczaje współczesnych polskich subkultur młodzieżowych: skejtów, hiphopowców, skinheadów, dresiarzy. A Jerzy, jako antybohater z krwi i kości, spędza czas głównie na deskorolce, imprezowaniu, podrywaniu „towarów” i paleniu marihuany. Jego hedonizm co rusz



kontrowersje się z wszechobecną agresją ze strony dresiarzy. Pełen wulgaryzmów i treści wysoce niepedagogicznych komiks ujmuje poczuciem humoru i błyskotliwymi dialogami. Autorom udało się stworzyć kultowego bohatera na miarę Tytusa. (MSZ)

„MIASTECKO MIKROPOLIS” (1994 ROK)
SCENARIUSZ: DENNIS WOJDA, RYSUNKI: KRZYSZTOF GAWRONKIEWICZ

Tytułowe miasteczko jest z pozoru zwyczajne. Bloki sąsiadują tu ze starymi kamienicami, mieszkańcy załatwiają codzienne sprawunki i jeżdżą autobusami. Ale jest też w Mikropolis winda do piekła, jedyny zakład przemysłowy to fabryka kostki rosółowej, a za taksówkę płaci się poezją. Opowieści o miasteczku pełne są pumonsensowego poczucia humoru oraz nawiązań do literatury i kina, a rysunki budują bajkowy nastrój, dzięki któremu mieszkańcy Mikropolis żyją na pograniczu snu i jawy. (SZH)

„CZARNA CZARA” (1994 ROK)
SCENARIUSZ I RYSUNKI: KRZYSZTOF OWEDYK

Odważna fikcja teologiczna. Pierre szuka swojej ukochanej po Armagedonie. Raj jawi się jako zamknięty obóz, aniołowie – jako ciemiężyciele. Jaki jest Bóg? Genezę tego świata przedstawił Owedyk (znany w podziemnym nurcie jako „Prosiak”) we wcześniejszym komiksie. Gdyby nie to, „Czara” byłaby skrajnie obrazoburczą, a tak mamy apokaliptyczną opowieść o miłości z odyseją bohatera w poszukiwaniu wybranki. (BK)

„ŻYCIE CODZIENNE W POLSCE W LATACH 1999–2001” (2001 ROK)
SCENARIUSZ I RYSUNKI: WILHELM SASNAL

Komiks cieszącego się dziś światową sławą malarza pozostaje jedyną autobiograficzno-obyczajową powieścią graficzną rodzimej produkcji. Sasnal skrupulatnie, w stylu znanym choćby z cotygodniowych publikacji w „Przekroju” odrysowuje tu wydarzenia ze swojego codziennego życia, ale – jak przystało na artystę – potrafi przełożyć doświadczenia indywidualne i intymne na kwestie uniwersalne. Pod względem poczucia humoru i zmysłu obserwacji deklasuje większość rodzimych pisarzy i filmowców. (SZH)

„ACHTUNG ZELIG” (2004 ROK)
SCENARIUSZ: KRYSZTOF ROSENBERG, RYSUNKI: KRZYSZTOF GAWRONKIEWICZ

10 lat pracy, cyzelowania każdego kadru i zmieniania scenariusza. Przez ten czas narodziła się legenda. Opowieść o ojcu i synu, którzy przez mgłę, lasy oraz bezdroża uciekają przed całopaleniem, chociaż przypominają raczej Obcego i płaza niż Żydów, okazała się jednym z najlepszych polskich komiksów ubiegłego roku. Fantastyczny, wieloznaczny scenariusz i rysunki, którymi Krzysztof Gawronkiewicz udowodnił, że jest czołowym europejskim rysownikiem. (SZH)

„GLINNO” (2004 ROK)
SCENARIUSZ I RYSUNKI: JACEK FRAŚ

Jacek Fraś, perkusista formacji Cool Kids of Death, już wcześniej zasłynął jako pierwszy polski autor komiksowy wyróżniony główną nagrodą dla młodego twórcy na prestiżowym festiwalu we francuskim Angoulême. Jego debiut albumowy „Glinno” to jedna z najoryginalniejszych pozycji w dorobku polskiego komiksu. Zarówno psychodeliczny scenariusz opowieści – z powodzeniem odwołujący się do poetyki znanej choćby z filmów Davida Lyncha – jak i walory malarskie, mnie kojarzące się ze stylem Dudy Gracza, stawiają go na najwyższej półce. (MSZ)

„ESENCJA” (2005 ROK)
SCENARIUSZ: GRZEGORZ JANUSZ, RYSUNKI: KRZYSZTOF GAWRONKIEWICZ

Takiej Warszawy jeszcze nie było. Ani w „Małej apokalipsie”, ani w „Przygodzie na Mariensztacie”, nigdzie. W „Esencji” stolica to bardzo tajemnicze miasto. Pełne mrocznych zakamarków, tajnych przejść kanałami, dziwnych mieszkańców. To również miasto romantyczne. Gawronkiewicz z czułością odmalowuje jego charakterystyczne miejsca i każe spojrzeć na nie z nowej perspektywy. Romantyczni są także główni bohaterowie – prywatny detektyw w stylu retro i jego pomocnik szczur. Ten fantastycznie narysowany, pełen poczucia humoru i erudycji komiks wygrał pierwszy ogólnoeuropejski konkurs wydawnictwa Glenat i telewizji Arte. (SZH)

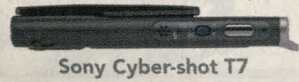
WYBRALI I OPISALI: SZYMON HOLCMAN, BARTOSZ KURC, MATEUSZ SZLACHTYCZ

JUŻ ZA TYDZIEŃ
SPECJALNE
WYDANIE
KOMIKSU
„JEŻ JERZY”
– SZUKAJ
W „PRZEKROJU”



W sprzedaży dostępny również „Przekrój” bez komiksu w cenie 4,50 zł

KOMIKS





AMERYKANIN BRUCE FISHER ZE SWOIM PAMIĘTNIKIEM GEOCACHERA
OBOK: RODZINA MERRILLÓW ZŁOWIŁA SKARB DZIĘKI GPS
PO LEWEJ: GEOMUGOL ALEX PRZECZESUJE LAS W OKOLICACH HAGENBACH W NIEMCZECH. TO WŁAŚNIE STAMTĄD PRZYSZŁA DO NAS MODA NA GEOCACHE

GPS: GRUPY POSZUKIWACZY SKARBÓW

Nowa zabawa terenowa, czyli **w chowanego inaczej**

Sobotni poranek Filip i Gosia, studenci z Warszawy, postanowili wykorzystać do odnalezienia skrzyni ze skarbami. Informacje o skarbie, który ukryto w okolicach podwarszawskiego Celestynowa, znajdowały się na przecięciu 52° 04.280 stopnia szerokości geograficznej północnej i 21° 25.201 stopnia długości geograficznej wschodniej. Aby odnaleźć ten punkt, potrzebowali odbiornika GPS, który precyzyjnie oblicza pozycję geograficzną. Po przybyciu na miejsce ujrzeli tablicę informacyjną z danymi o liczbie, wieku i wielkości drzew. To właśnie te cyfry pozwoliły im obliczyć położenie skrzyni. Okazało się, że chodzi o ruiny starej cegielni – tam znajdował się biały plastikowy pojemnik ze skarbem, czyli bombką w kształcie chłopca i dziewczynki.



rzecz, podajesz w Internecie jej współrzędne oraz wszelkie inne przydatne wskazówki, a wyposażeni w GPS gracze wyruszają w teren, by jej szukać. Znalazca w nagrodę zabiera ukryty w pojemniku prezent oraz wpisuje się do pozostawionej tam „książki gości” (log book) i powiadamia o odkryciu stroną internetową. Skarbem może być dosłownie wszystko: metalowa kulka, płyta CD, maskotka. Jedynym ograniczeniem jest wielkość pojemnika i zasada, aby nie chować jedzenia. – Skrzynki zostawia się głównie na dziewiczych terenach, gdzie zwabione aromatem jedzenia zwierzęta mogłyby zniszczyć całą paczkę – opowiada Filip. Obowiązuje jeszcze jedna reguła „bierziesz-zostawiasz”: znalezione przedmioty można zabrać ze sobą, jednak w jego miejsce należy zostawić coś dla następnego odkrywcy. Geomugole – jak siebie nazywają poszukiwacze skarbów – w każdej paczce oprócz skarbu zostawiają opis całej zabawy i ołówek. – Jak znajdziesz paczkę ktoś niewtajemniczony, może po przeczytaniu jej nie wyrzuci. Dlatego zawsze na pojemnikach umieszczamy napis: „To nie jest śmieć” – wyjaśnia poszukiwacz Bartek. – A ołówek jest dla zapominalskich, którzy nie wzięli niczego do pisania i nie mogliby się wpisać do log booka – dodaje.

To nie jest śmieć!
To, w co się bawią Filip i Gosia, nazywa się geocache (od geo – ziemia, cache – kryjówka). Idea zabawy jest prosta: chowasz jakąś

Podróżujące robale
System GPS został zaprojektowany do zastosowań militarnych i aby uniemożliwić do-

kładne odczytanie pozycji przez cywilów, jego sygnał poddawany był zniekształceniu. Dopiero 1 maja 2000 roku prezydent Bill Clinton postanowił udostępnić czysty sygnał wszystkim użytkownikom, a już 3 maja powstał geocaching. Zabawę zapoczątkował inżynier mechanik Dave Ulmer, który wysłał współrzędne o ukrytym koło Portland „skarbie” na adres jednej z grup dyskusyjnych. Szybko pojawili się naśladowcy. Dziś w dwóch największych społecznościach geomugoli – www.geocaching.com i geocaching.gpsgames.org – chowa i szuka skarbów kilkanaście tysięcy osób. W Polsce regularnie gra zaledwie kilkanaście osób, ale schowanych jest już kilkadziesiąt paczek. Istnieje wiele wariantów poszukiwania. Możliwe jest, jak w przypadku skarbu Filipa i Gosia, zadanie kilkustopniowe. Bardzo popularne są też travellingi, czyli robale – tak zwą gracze fanty, które po odnalezieniu chowamy w innej paczce. Sam Umer opisywał kilka takich bugów, które chował w jednym miejscu i po latach znajdował na drugim krańcu kraju. Geocachersi coraz częściej urządzą sobie zloty – najbliższy czasowo i geograficznie odbędzie się 13 sierpnia w Norwegii.

SYLWIA CZUBKOWSKA

Prze czy niedo rzeczne



ZROBIENI W BALON

W 80 dni dookoła świata do góry nogami

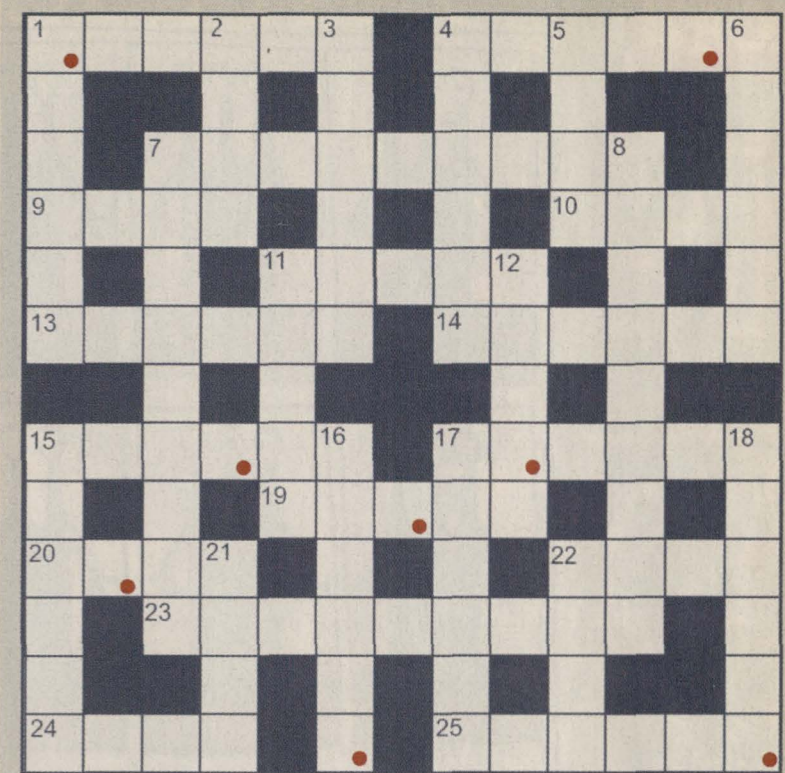
Czy ktoś to wytrzyma? Twórcy balonu, który lata do góry nogami, twierdzą, że nie tylko wytrzyma, ale też zwróci na siebie uwagę wszystkich. Podniebny pojazd z koszem sterującym ponad balonem może bowiem wzbudzić nie tylko zainteresowanie, ale też przerażenie. Na szczęście pilot tego balonu wcale nie wisi do góry nogami przywiązany linami do kosza, jakby się mogło wydawać. Sekret tkwi w tym, że kosz, który widzimy, to falsyfikat. Prawdziwy jest ukryty wewnątrz balonu i można go wysunąć przy lądowaniu. Co tam sporty ekstremalne, lepsza jest sztuka inteligentnej modyfikacji... (KD)



Senatorzyć każdy może

W cywilizowanych krajach do gremiów ustawodawczych i rządzących kandydują osoby, które mają z reguły jakieś pozytywne dokonania w swoim mieście, a nawet w departamencie albo w staniu, i wówczas odważają się kandydować do władz centralnych. Dobrze widziane jest wykształcenie uzyskane na renomowanym uniwersytecie (na przykład Harvard, Sorbona itp.), doświadczenie i osiągnięcia w służbie publicznej.

U nas jest inaczej. Partia tupuje kandydata niemającego najczęściej żadnego doświadczenia politycznego spośród ludzi znanych z mass mediów, a więc mogą to być znani piosenkarze, nawet z kiepskim głosem, uczestnicy cyklicznych audycji w TV, znani byli bokserzy lub piłkarze i tym podobni. To nic, że kandydat wzięty z łapanki nawet „nie czytał statutu” partii, a jej program zna „mniej więcej”. Deleguje się więc do niego na przykład panią Elę, która składa kandydatowi propozycję w imieniu partii. Wytypowany kandydat woli startować do Senatu, ponieważ to, co się dzieje w parlamencie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, to są – jak to określa – „poważne jaja”, a on chce to naprawić, ale jak to zrobić – nie bardzo wie. Przecież większość wyborców będzie i tak głosować na znane im nazwisko, a nie na umiejętności parlamentarne, kulturę i skuteczność działania kandydata w izbie ustawodawczej. Im mniej się na tym zna, tym wygodniej będzie partii nim manipulować i sterować w głosowaniach. Jedną z partii rządzi ostatnio sejmiki przedwyborcze, egzekwując znajomość tekstu hymnu partii, a surowym egzaminatorem jest posłanka, która przez oszustwo znalazła się



- POZIOMO:**
1. MŁODY PTAK
4. PODSTAWA DOBREJ HERBATY
7. SYTUACJA BEZ WYJŚCIA
9. JANKO MUZYKANT
10. Z PRZODU SPÓDNICY
11. WŁASNY LUB NIEBIESKI
13. PEDAŁY ZA KANAPĄ
14. MASTER VISA
15. MATERIAŁ NA KRETYNA
17. BRUD WŚRÓD WÓD
- PIONOWO:**
1. MIESZANIEC
2. MIĘDZY STOPAMI
3. POD KOLEJKĄ
4. PIONEK
- 19. ODBIŁ MAŚLANKĘ JOGURTOWI**
20. LIŚCIE NA CZARNEJ LIŚCIE
22. Z OFIARĄ ZA PAN BRAT
23. NIE ZAKĄSZA
24. DELFIN W BASENIE
25. GŁOŚNO DRZY
- 5. Z WKŁADEM BEZ DŁUGU**
6. BOKSER DŁUGOWŁOSY
7. DYSKO-TECZKA
8. BISKUPIN
11. OCZYWIŚTA SPRAWA
12. ZIELE NA KANTORZE
15. KOLE PALCA
16. NAJSTARSZY STARY
17. BIZNES
18. ODPLYW WISŁY
21. Z MORDERCĄ ZA PAN BRAT
22. ŚWINTUCH

LITERY Z OZNACZONYCH PÓL CZYTANE POZIOMO UTWORZĄ WYRAZ-ROZWIĄZANIE.

Rozwiązanie krzyżówki nr 27: KWADRANT
Poziomo: 1.kolanko 8.fanatyk 9.wypieki 10.ferma 11.rozkład 12.saboty 14.niańka 18.czystka 20.tango 21.Trybuna 22.konnica 23.wiadukt
Pionowo: 2.Odyseja 3.nietakt 4.ofiara 5.znicz 6.otchłań 7.wkładka 12.Szczęki 13.brylant 15.intryga 16.kaganek 17.zastaw 19.talia

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 25 nagrody wylosowali: Andrzej Adamkiewicz, Tarnowskie Góry; Grazyna Jagiełło, Lublin; Elżbieta Kierska-Lukaszewska, Kraków; Maryla Korzun, Piaseczno; Włodzimierz Liszyk, Warszawa; Ewa Łagoda, Nakło; Eugeniusz Pięguła, Mikołów; Anna Stankiewicz, Olsztyn; Wiesława Wantowicz, Wrocław; Jerzy Zieliński, Warszawa. **Gratulujemy!**

„Przekrój”, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, z dopiskiem Krzyżówka 30

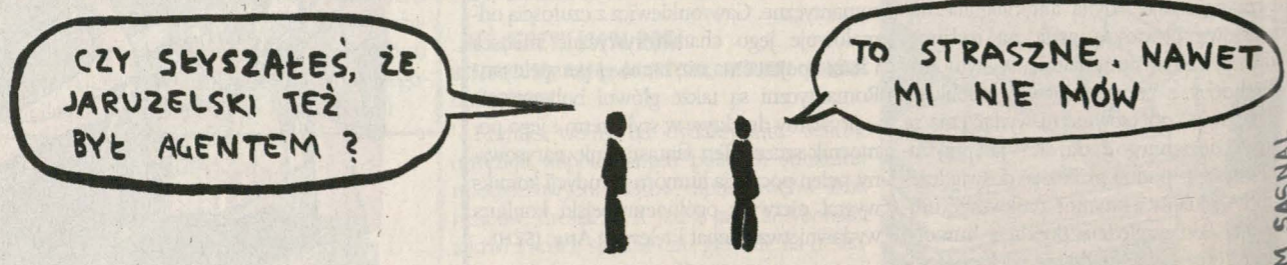
Rozwiązanie jolki nr 27: PRZESZYŁ MNIE DRESZCZ ANTYCYPACJI (z książki Glenna Cooka)

Rzędami: kosmos, soul, Pyzdra, **Kolumnami:** mąka, powietrze, sieć, Asesor, refren, jeźdźczyzna, armia, Klaudiusz, sekret, szewc, nauka, Ursus, sensacyjka, meszka, Zeus, opory, amory, syrena, rumosz, kiełek, Krak, taryfa, fircyczka, udar, episkopat, faun.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 25 nagrody wylosowali: Adam Barlog, Poznań; Piotr Derlatka, Kraków; Maria Dziamba, Tarnobrzeg; Maria Łukasik, Wojkowice; Małgorzata Maj, Szczecin; Maria Matysiewicz, Katowice; Beata Stefańska, Pobjedziska; Grzegorz Szczepański, Milanówek; Aleksandra Szwałko, Warszawa; Marek Zubrzycki, Przemysł. **Gratulujemy!**

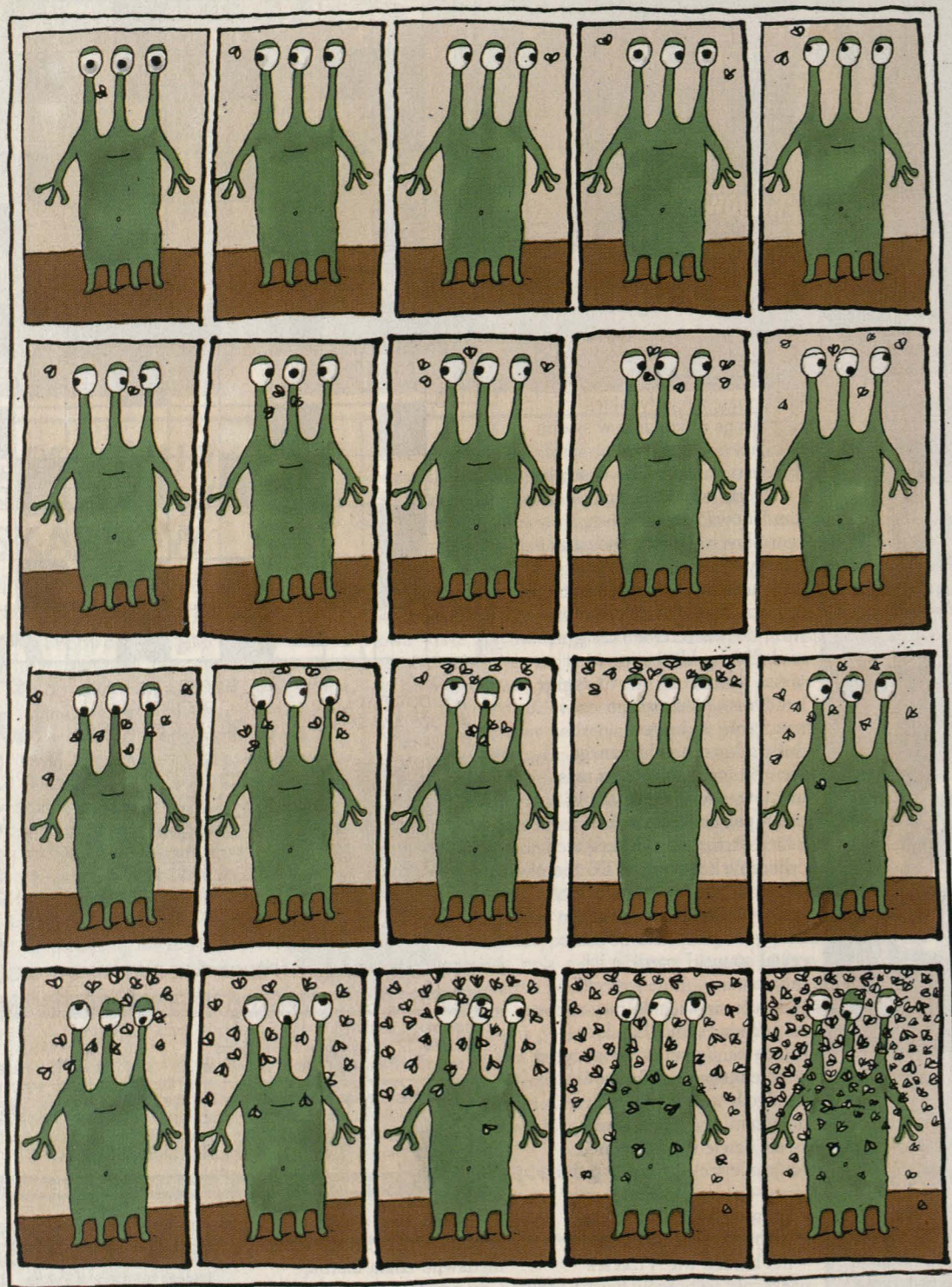
Rozwiązania możesz teraz przekać szybciej i taniej SMS-em! Wyslij SMS o treści PRKK.HASLO KRZYZOWKI na numer 7135 (netto: 1 zł; brutto: 1,22 zł/SMS).
Pomiędzy czytelników, którzy do niedzieli 31 lipca nadesła prawidłowe rozwiązanie za pomocą SMS-a lub na kartkach pocztowych (decyduje data stempla), rozlosujemy 10 książek Jacka Kerleja „Człowiek jeden na stu” (Świat Książki).

ADAM ZALESKI



WILHELM SASNAL

raczej RACZKOWSKI



WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

PRZE
KROJ

Założył
w roku 1945
w Krakowie
Redaktor
MARIAN
EILE

ADRES REDAKCJI: UL. WIEJSKA 19, IV P., 00-480 WARSZAWA, TEL. 584 25 25, FAKS 584 25 21
WWW.PRZEKROJ.PL, E-MAIL: redakcja@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNY: Piotr Najstubb ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: Jacek Kowalczyk PROJEKT GRAFICZNY: Elżbieta i Bogdan Zochowscy
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: Małgorzata Łaska SEKRETARZE REDAKCJI: Magda Gędziorowska, Marcin Sendecki, Maria Świetlik (zastępca) ASYSTENTKA: Anna Romotowska
KULTURA: Bartek Chaciński (szef), Marcel Andino Velez, Tadeusz Nyczek, Małgorzata Sadowska, Justyna Sobolewska KRAJ: Wojciech Mazowiecki (szef), Magda Papuzińska (zastępca)
Juliusz Cwieliuch, Marcin Fabjański, Joanna Gorzelińska, Cezary Łazarewicz, Rafał Madajczak, Michał Matys, Grzegorz Rączkowski, Max Suski, Paweł Wieczorek
SWIAT: Wawrzyniec Smoczyński (szef), Jakub Kumoch, Jakub Mielnik, Marek Rybarczyk. Stale współpracują: Jonathan Cook (Jerozolima), Piotr Kowalczyk (Rzym) NAUKA: Paweł Wieczorek
ROZRYWKA: Marcin Pieszczyk PRACOWNIA GRAFICZNA: Piotr Gidlewski, Mateusz Hankala, Michał Janicki, Maria Klich, Agata Loth, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski PAN OD RYSUNKÓW: Jacek Ziemieński
FOTODYDZIA: Marcin Kapica (szef), Bogdan Krężel (fotograf), Urszula Matusik, Olga Piłsiński, Marek Szczepański KOREKTA: Tatiana Hardej, Sylwia Raczynska ARCHIWUM: Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok
REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor OBRÓBKA ZDJEĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Jednostka Organizacyjna SEKRETARIAT: Iwona Chmielewska

WYDAWCA: EDIPRESSE POLSKA S.A., UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA, TEL. (0-22) 584 22 00, FAKS (0-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierala WICEPREZES: Ewa Redel DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY: Izabela Bochenek DYREKTOR FINANSÓW: Paweł Satkowski
PUBLIC RELATIONS: Marcin Fedis DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKROJ”: Iwona Zabielska-Stadnik DZIAŁ DYSTRYBUCJI: Grzegorz Barej – dyrektor
DZIAŁ PRODUKCJI: Danuta Kamińska – dyrektor PRZYGOTOWALNIA: Edipresse Polska – Zbigniew Szymański (dyrektor) DZIAŁ PROMOCJI: Dorota Rakowska – Product Manager
BIURO REKLAMY: Ewa Kozłowska – dyrektor, Artur Dudek, Grazyna Janiak, Anna Opszała, Małgorzata Skorupa, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, tel. (0-22) 584-295, -172, -311, -594, (0-54) 236 55 28 (pn.-pt., godz. 8-16).

faks (0-22) 584 25 92 DRUK: Winkowski Sp. z o.o. – Radzymin PRENUMERATA WYDAWNICZA – zamówienia (płatność przy odbiorze przesyłki), tel. (0-54) 236 55 28 (pn.-pt., godz. 9-17).
Dodatkowe informacje i reklamacje (Izabela Mroczek, Agnieszka Bogdańska) TEL. (0-22) 584 22 29 LUB 584 22 30 (PN.-PT., GODZ. 9-17).
PRENUMERATA@PRZEKROJ.PL, PRENUMERATA.KONKURSY@EDIPRESSE.PL PRZEZ POCZTĘ – PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE NA TERENIE CAŁEGO KRAJU
PRZEZ RUCH SA – informacja tel. (0-22) 532 87 31, faks (0-22) 532 87 32 NA CAŁYM ŚWIECIE W INTERNECIE – www.exportim.com, faks/tel. +46-8-6639963

ARTYKULÓW NIEZAMÓWIWYCH
NIE ZWRACAMY. REDAKCJA ZASTRZEGA
SOBIE PRAWO DO ZMIAN I SKRÓTÓW
W NADSIŁANYCH ARTYKULACH I LISTACH.

M.C. ESCHER

PRZE
KROJ

100 stron

1700 barwnych
ilustracji i reprodukcji

najsłynniejsze dzieła

papier kredowy

najwięksi malarze

TASCHEN

www.przekroj.pl/kolekcja infolinia 0801 272750



cena 15,99 zł
już w kioskach

DECYDUJĄCE BITWY • MAPY TEATRU WOJNY • BOHATERSCY ŻOŁNIERZE • WYBITNI DOWÓDCY • SZCZEGÓŁY UZBROJENIA • KULISY DYPLMACJI • KALENDARIUM WYDARZEŃ

Niezbędne kompendium wiedzy o II Wojnie Światowej

II Wojna Światowa
WYDARZENIA LUDZIE TAJEMNICE
NARWIK
MICHAŁ OLSZAŃSKI

II Wojna Światowa
SKRZYDŁA – DREZNO W OGNIU

FILM DISCOVERY - „SKRZYDŁA – DREZNO W OGNIU”
Już w kioskach!

R O Z M A I T O Ś C i

Smutno mi, Panie
Ferdynand Głodzik

Smutno mi, Panie, dla mnie na jesieni
Znów rozpisales powszechne wybory.
Mnie nie czekają hotele w czerwieni,
Diety poselskie, zaszczyty, honory,
Kto inny za mnie tym postem zostanie!
Smutno mi, Panie.

Dziś przy stołecznej komendzie policji
Zimmunietaem na drogowym znaku
Wdziałem postów przyszłej koalicji
W rozbitym wraku.
Unikną kary i odjadą, dranie!
Smutno mi, Panie.

Przemija z wolna partii mej epoka,
Nasz wizerunek niszczą siły wraze,
Media szykują komus „wejście smoka”
O moich szansach złe wróżą sondaze.
Sztaby wyborcze nie mają mnie w planie,
Smutno mi, Panie.

Przez moją kłeskę nie mam już humoru,
Na śpiewy, tańce nie mam dziś ochoty.
Skoro nie mogę stanąć do wyborów,
Muszę się zabrać do jakiejś roboty.
Że się już kończy moje próżnowanie,
Smutno mi, Panie.



Jestem twoim adwokatem,
Debbie, ale chcę być kimś więcej.
Chcę być też twoim księgowym.

Wszystkim
rządzi przypadek
- w tym przypadku
narzędnik

1 głowy...
Krzysztof Blich



BYŁO STOLECZNE
NIE SIĘPIEŁ w LA
ROKII, SIEDZIBIE
ŚWIĘT Ego MIKOTAJA.



NIE SIĘPIEŁ ob JUTRA
AWIOLĘKI BĘDĄ pod -
LEWA c KWILATKI,
i PRZESUWAĆ
HEBLE...



CO ONA PIER**KI?!

Rys. MAREK RACZKOWSKI

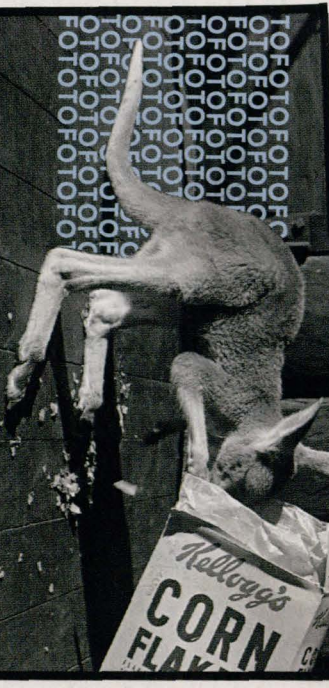


Rys. PAULUS

Litery
Kozala Urzyci

Po mieszkaniu
państwa Obtych
snują się litery.
Snują się, ale nie
tworzą żadnego słowa,
a tym bardziej zdania. To chyba sen
jakiś, ponieważ w rzeczywistości
jest to niemożliwe. Przecież litery
nie zachowują się w ten sposób.
- Co z nimi zrobimy? - pyta pan Obty
żonę. Pani Obta zbiera litery w kącie
pokoju i tam uktada z nich słowa,
które unoszą się i krążą bez celu,
uderzając czasem o sufit.

Patryk Pajak



FOT. HORACE BRISTOW/CORBIS

**KINOTEATRZYK
PRZEMKA JURKA
"Boogeyman"**

Występuje:
MĘCZYŻNA
SZAFKA
i oraz tajemniczy DWAJ LUDZIE

O przedawionym FOLZ-ie:
- Jak zacznie się
uzasadnienie wyroku
II instancji? ..Dawno,
dawno temu...

MĘCZYŻNA: (umiera ze strachu przed szafką)
SZAFKA: (jest odrażająca, brudna i zła)
DWAJ LUDZIE: (przychodzą, zabierają szafkę, wychodzą)
THE END/KURTYNNA (zapada triumfalnie)

**MAST
MINUTE**
Krzysztof Pyta

KULTOWA
KOLEKCJA
KOMIKSOW

USAGI
YOJIMBO™

STAN
SAKAI

USAGI
YOJIMBO™



Przyjaciele i wrogowie Usagiego



Gen – Ronin, łowca głów, często na swej drodze spotyka Usagiego. Serdeczny przyjaciel królika, choć sam się do tego nigdy nie przyzna.



Komori ninja – Klan skrzydlatych i bardzo drapieżnych ninja. Jego członkowie robią wszystko, żeby zdobyć dla swojego plemienia czołową pozycję wśród japońskich ninja.



Jeii – Demon żywiący się duszami. Ze szczególną zjadłością próbuje zabić Usagiego – jak dotąd, bez skutku.



Hebi – Wpływowi możnowładca, przywódca spisku, mającego na celu obalenie władzy szoguna. Usagi kilka razy udaremniał jego plany.

USAGI YOJIMBO™

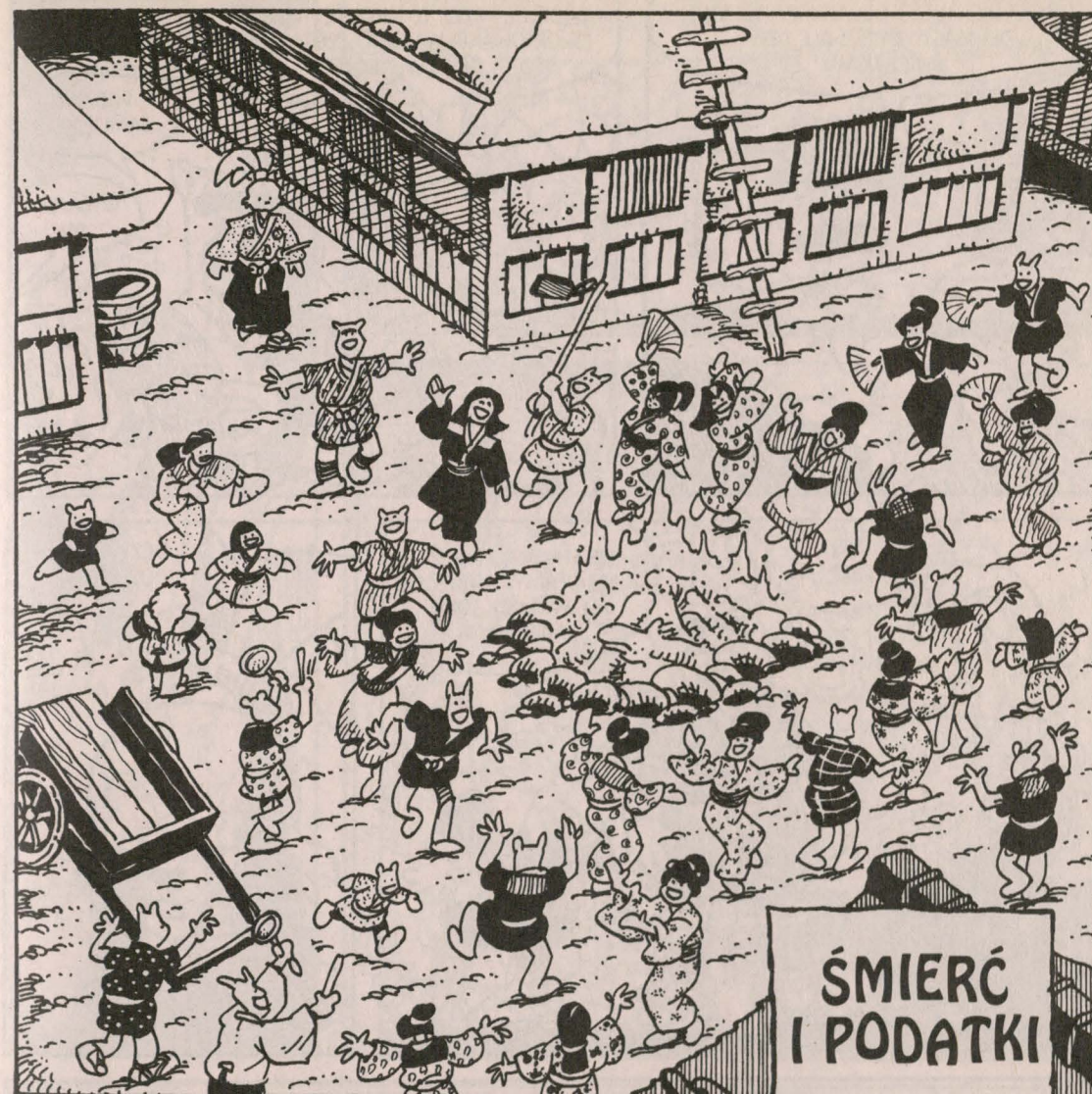
ŚMIERĆ I PODATKI * WŁADCA SÓW * HISTORIA BONZY

Oto prawdziwy japoński wojownik: dumna postawa, niezłomny charakter, dwa ostre miecze... tylko zamiast samurajskiego kucyka sterczą mu na głowie królicze uszy. Nazywa się Usagi Miyamoto. „Usagi” to po japońsku „Królik”, nazwisko zaś jest hołdem złożonym historycznemu mistrzowi miecza – Musashiemu Miyamoto. Z kolei „Yojimbo” to określenie profesji Usagiego – oznacza „przybocznego do wynajęcia”.

Autor serii, Stan Sakai, jest Japończykiem wychowanym na Hawajach. Zafascynowany kinem samurajskim i legendą Musashiego, postanowił stworzyć historyczną opowieść, osadzoną w XVII-wiecznej Japonii. Pierwotnie miała być rysowana w konwencji realistycznej, jednak w końcu Sakai zdecydował się nadać bohaterom postaci zwierzęce. Tak powstał Usagi-Królik, otoczony całą plejadą zwierzęcych wojowników, rabusiów, ninja czy demonów.

Seria składa się z wielu epizodów, często łączących się w rozbudowane opowieści. Rozgrywają się one w ogarniętej chaosem wojny domowej Japonii, po której włością się maruderzy z rozbitych armii, bandyci oraz roninowie – samurajowie bez pana. Takim właśnie roninem jest Usagi. Stracił swojego pana w dramatycznych okolicznościach: podczas przegranej bitwy musiał mu odciąć głowę, by nie dostała się w ręce wroga. Odtąd wędruje po całym kraju, przyjmując zlecenia wymagające dobrego posługiwania się mieczem.

Stan Sakai po mistrzowsku łączy realia historyczne dawnej Japonii z wątkami fantasty, czerpiącymi z mitów Kraju Kwitnącej Wiśni. Niezwykle barwnie wychodzi mu konfrontowanie postaci ze świata realnego (choć przybranego w zwierzęce szaty) z demonami i bogami interweniującymi w ziemskie sprawy. Jeśli dodać do tego znakomite wycucie dramaturgii w komiksach Stana Sakaiego, nie można się dziwić, że seria ta już od dwudziestu lat cieszy się niesłabnącym powodzeniem u czytelników. Docenili ją także krytycy, przyznając wiele wyróżnień, w tym Nagrodę im. Eisnera.





RYŻ JUŻ ZEBRANY, A NADWYŻKI SPRZEDANE. JUTRO ODWOZIMY PODATKI DO MAGISTRATU... ALE DZIŚ ŚWIĘTUJEMY!



JESTEM MIYAMOTO USAGI, OCHRONA DO WYNAJĘCIA. WĘDRUJĘ PRZEZ TĘ OKOLICĘ. MOŻE ZATRUDNICIE MINE DO Eskortowania waszego złota. Słyszałem, że w okolicy grasują zbójcy.

NO, COŻ...

WIDZISZ, SAMURAJU...

WYBACZCIE MI.



ACH, KAIKEI-SAN.

NIE CHODZI O TO, ŻE CI NIE UFAMY, USAGI-SAN, ALE WOLIMY SOBIE RADZIĆ SAMI.



OCZYWIŚCIE, ROZUMIEM.



A TY, SAMURAJU, NIE POTRZEBUJESZ PRZEWODNIKA?

MUSZĘ PÓJŚĆ DO MIASTA, ZAMÓWIĆ SADZONKI NA PRZYSZŁY ROK. POPROWADZĘ CIĘ MAŁO ZNANYM SKRÓTEM PRZEZ GÓRY. O TEJ PORZE ROKU SĄ TAM WSPANIAŁE WIDOKI!

MOŻE JESTEŚMY CIEMNYMI CHŁOPAMI, ALE ZNAMY TE GÓRY!



BRZMI WSPANIAŁE!

ŚWIETNIE. RUSZAMY WCZĘSNIE RANO!



RANKIEM...

SZYBCIEJ, SAMURAJU, CHODŹMY!



PRZEPRASZAM... ALE MIAŁEŚ RACJĘ. TU JEST CUDOWNIE. PODZIWIAŁEM WIDOK.

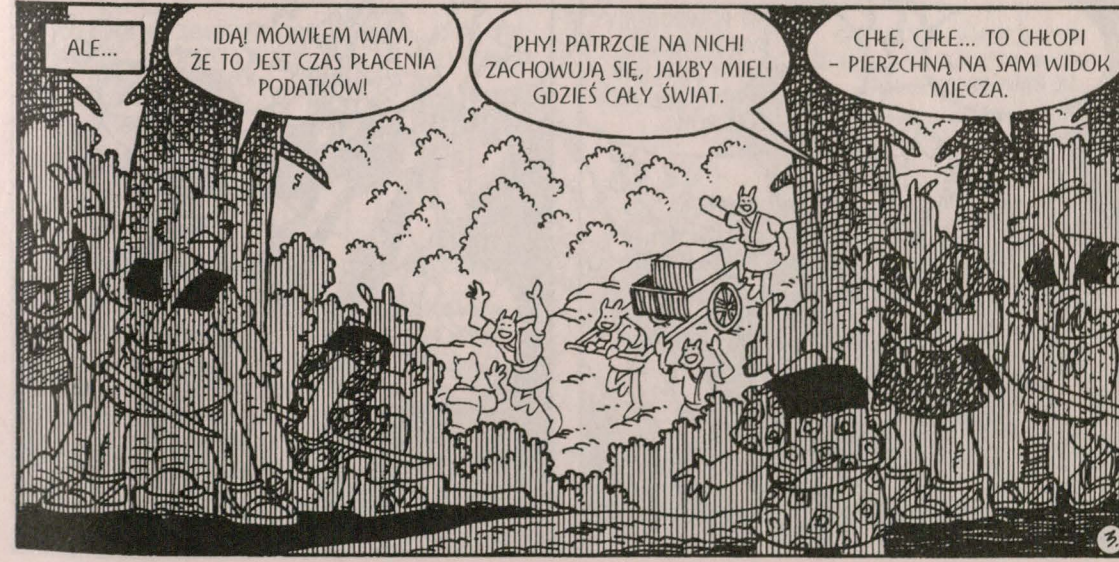
ŚWIETNIE, ALE JA CHCĘ DOJŚĆ DO MIASTA PRZED NOCĄ.



WIDAĆ STĄD GŁÓWNĄ DROGĘ.

TO CHŁOPI Z MOJEJ WIOSKI. WIOZĄ PODATKI.

CIĄGŁE ŚWIĘTUJĄ. NIE POWINNI TAK PRZYCIĄGAĆ UWAGI.

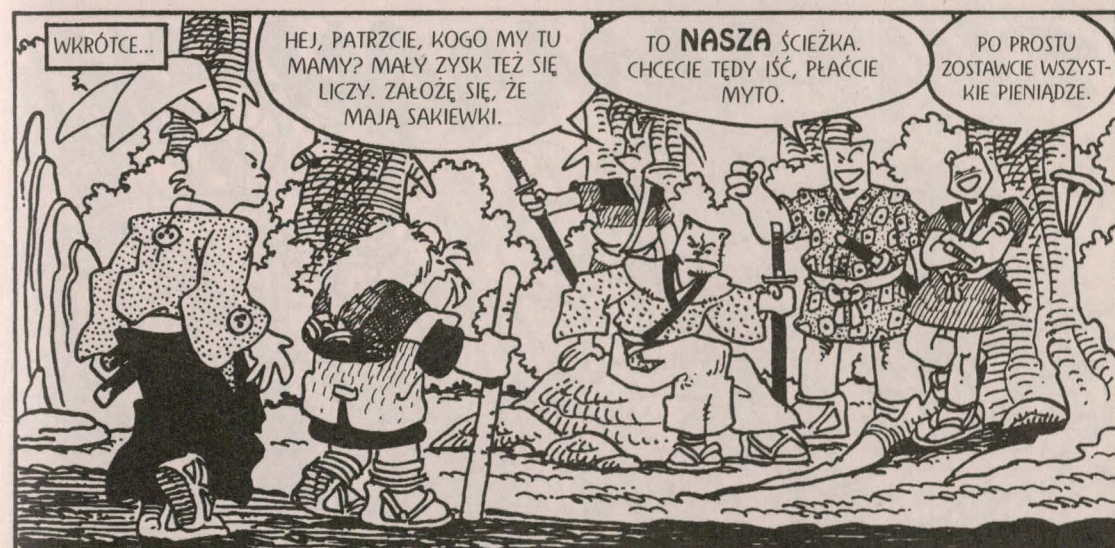


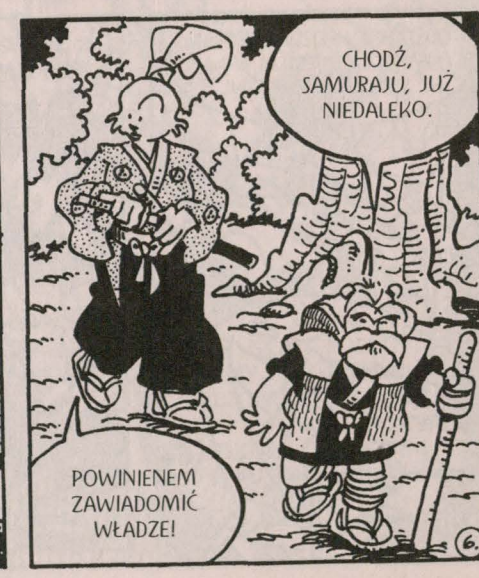
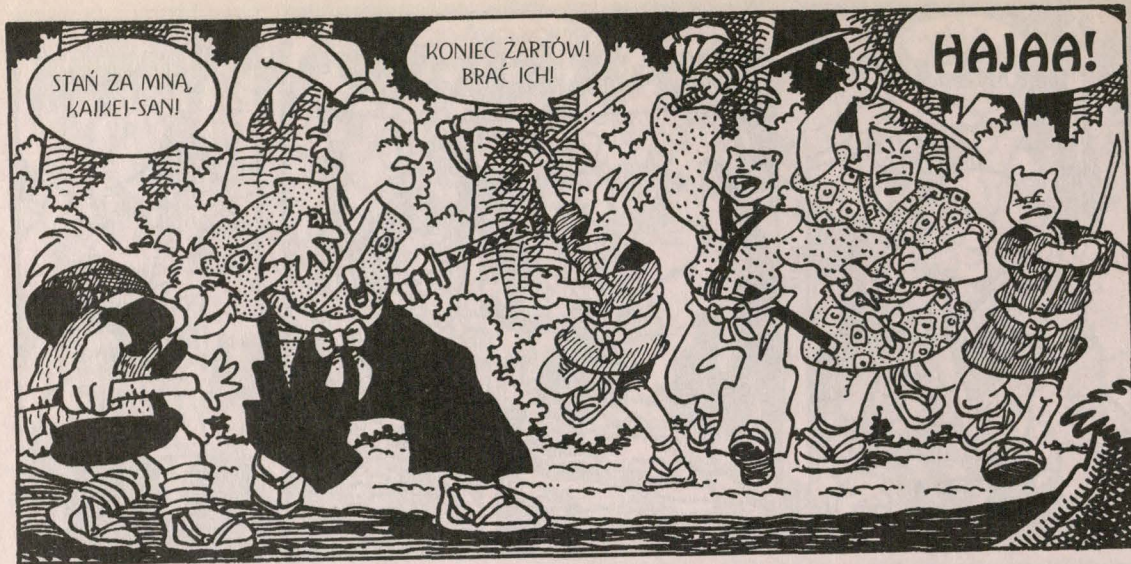
ALE...

IDA! MÓWIŁEM WAM, ŻE TO JEST CZAS PŁACENIA PODATKÓW!

PHY! PATRZCIE NA NICH! ZACHOWUJĄ SIĘ, JAKBY MIELI GDZIEŚ CAŁY ŚWIAT.

CHŁE, CHŁE... TO CHŁOPI - PIERZCHNĄ NA SAM WIDOK MIECZA.







ACH, KAIKEI!
WITAMY
W MIEŚCIE!

KUZYNI!
DOBRZE CIĘ ZNOWU
WIDZIEĆ!



MARTWIŁEM SIĘ,
BO ZBLIŻA SIĘ CZAS
PŁACENIA
PODATKÓW.

W OKOLICY ROI
SIĘ OD BANDYTÓW.
CIESZĘ SIĘ, ŻE JESTEŚ
CAŁY.



NIE MUSISZ SIĘ MARTWIĆ!
PIENIĄDZE NA PODATKI SĄ
W MOIM PLECAKU!

POŚŁALIŚMY WÓZ Z PRZYNETĄ
GŁÓWNA DROGA, A JA PRZESZEDŁEM
GÓRSKIM SZLAKIEM, POD Eskortą
WOJOWNIKA.

ESKORTA?! CIESZĘ
SIĘ, ŻE JESTEŚ CAŁY, ALE
TO MUSIAŁO KOSZTOWAĆ
MAJĄTEK!



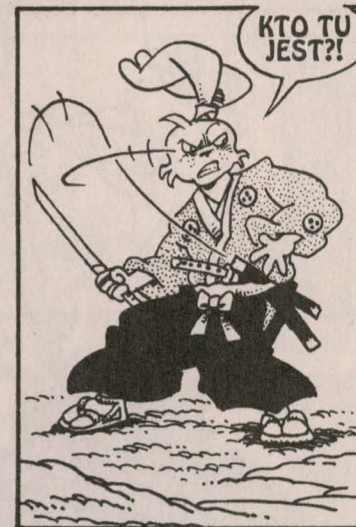
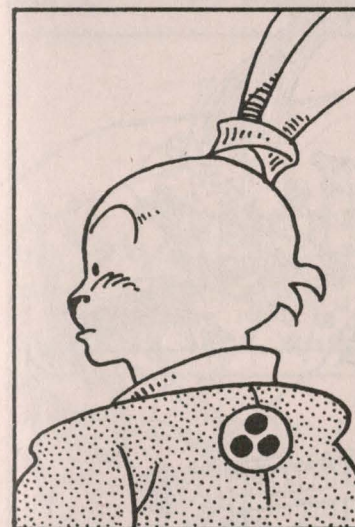
PRZECIWNIE,
JESZCZE NA TYM
ZAROBILIEM!

ACH... PRZY OKAZJI. NA SZLAKU JEST
CZTERECH MARTWYCH BANDYTÓW. MOŻEMY
ZGARNĄĆ ZA NICH NAGRODĘ!

ZDUMIEWA-
JĄCEI JAK TYŚ
TO ZROBIŁ?



CHA, CHAI JAK NA BANDE
CIEMNYCH CHŁOPÓW, JESTEŚMY
CAŁKIEM SPRYTNI, NEH?



KTO TU
JEST?!

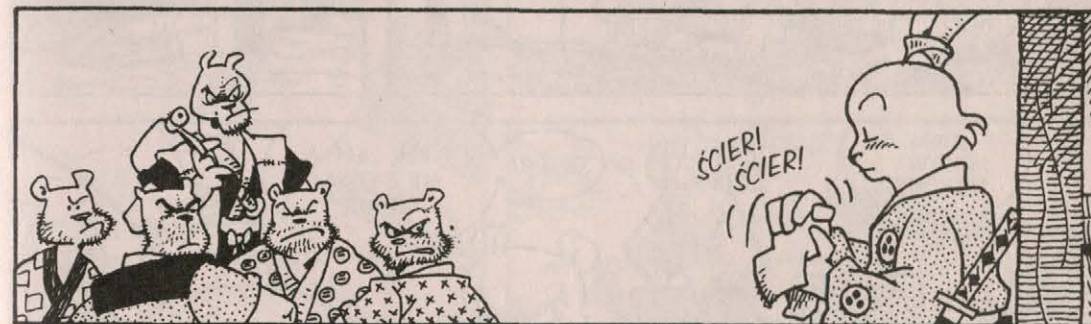
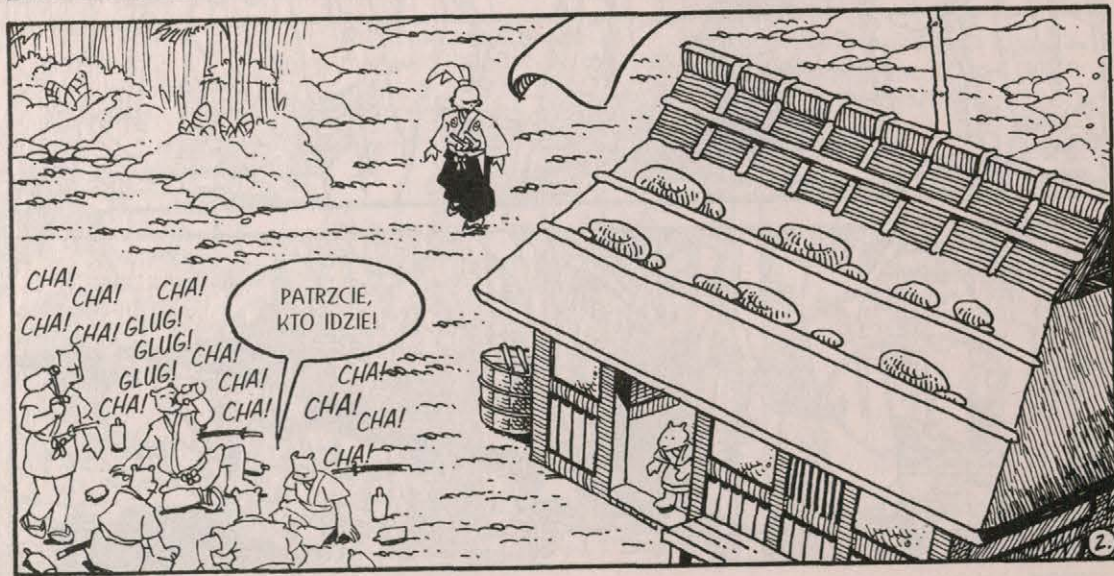
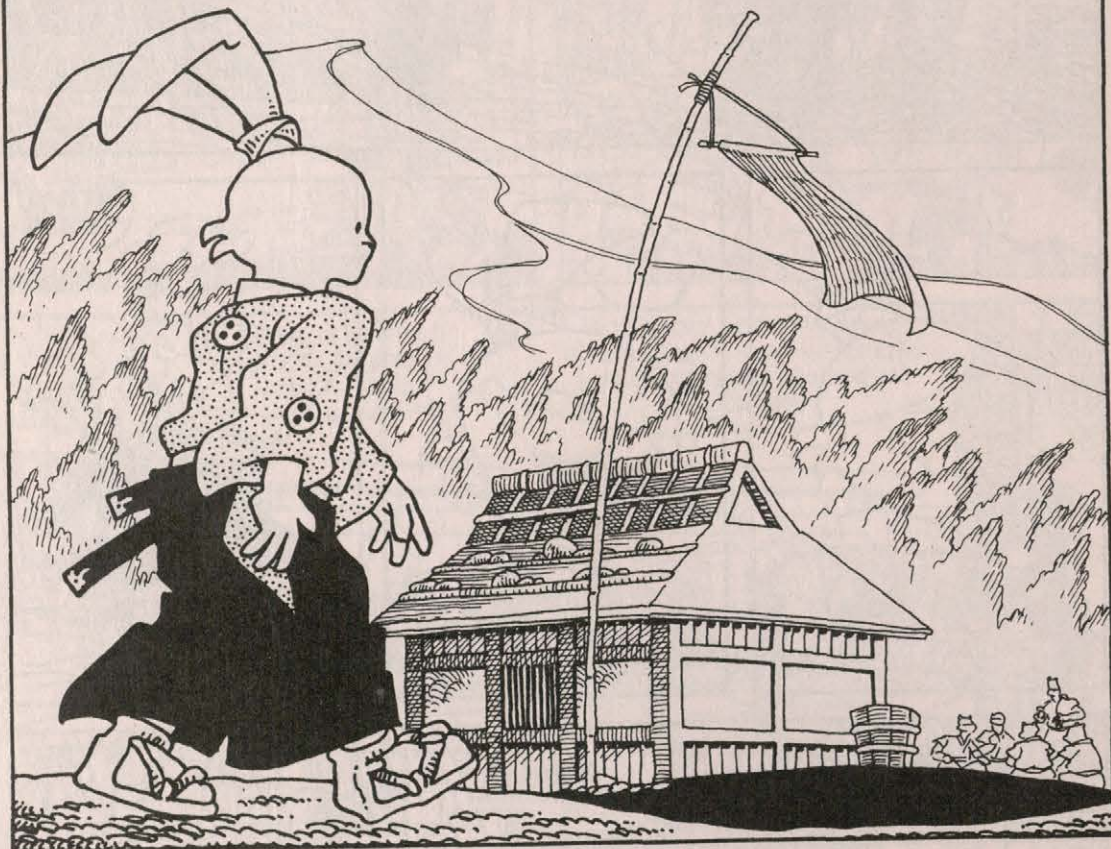


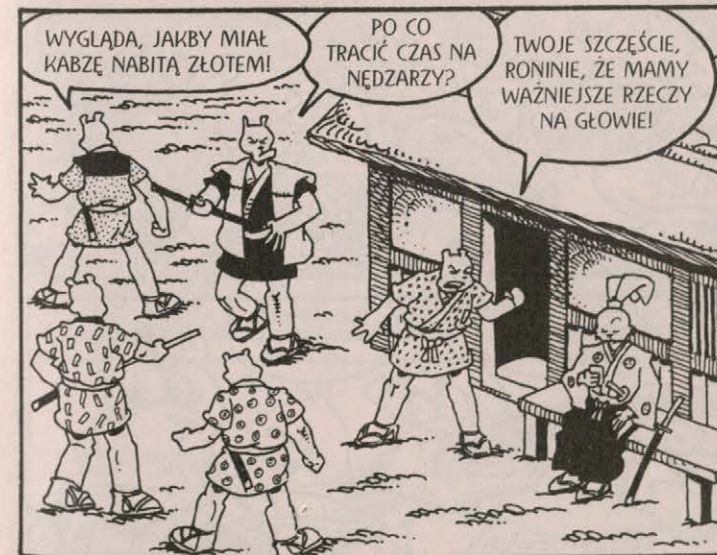
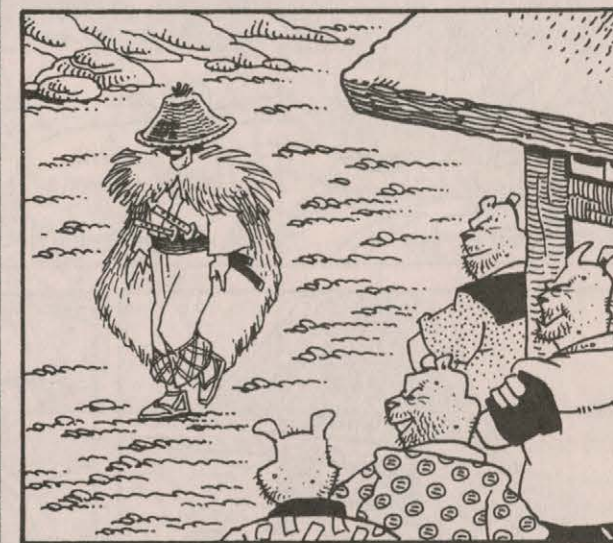
CHYBA MI
ODBIJA.



CIERPLIWOŚCI,
SAMURAJU. WKRÓTCE
SIĘ SPOTKAMY.

WŁADCA SÓW







IDZIEMY ZA NIM
WYSTARCZAJĄCO
DŁUGO!

TU JUŻ NIE
BĘDZIE ŚWIAD-
KÓW.

STÓJ,
TY TAM!

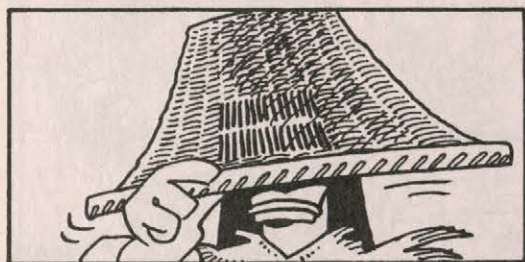


OSTRZEGAM
- ANI KROKU
DALEJ!

STÓJ!

JEDEN RUCH
I NIE
ŻYJESZ!

NAWET NIE
MYŚL O WYJĘCIU
MIECZA!



HYYP!

HĘ?

COO?



NIE PATRZCIE
MU W OCZY!

PRÓBUJE NAS
ZAHIPNOTY-
ZOWAĆ!

TO JAKIEŚ
SAMURAJSKIE
SZTUCZKI!



DOBRA, DOSYĆ
SZTUCZEKI!

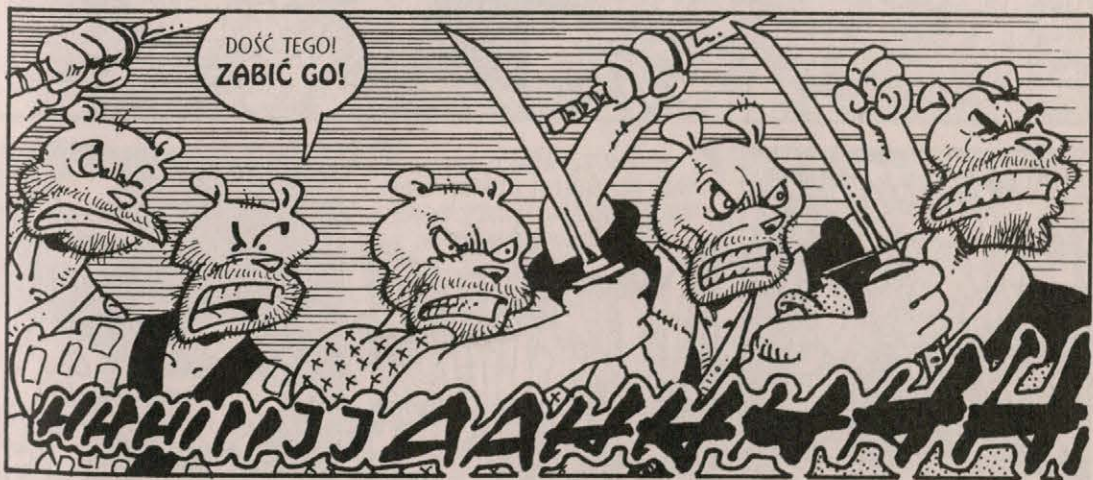
WYSKAKUJ
Z KASY, I TO
SZYBKO!

GRZECZNIE,
TO POZWOLIMY
CI ŻYĆ!



SĘSZA-
ŁEŚ?!

DAWAJ
FORSE ALBO CIĘ
ZARZNIEMY!

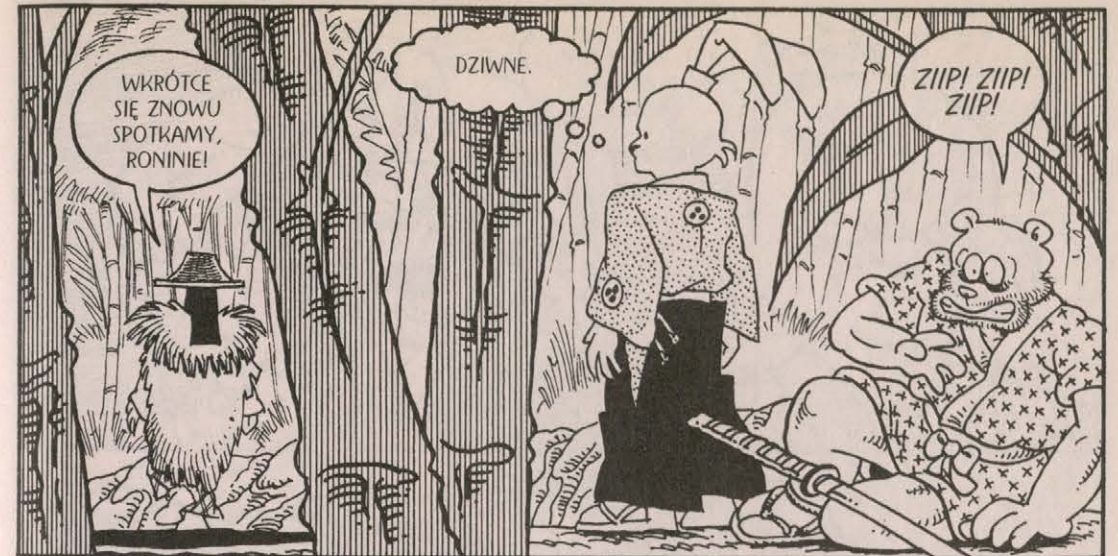
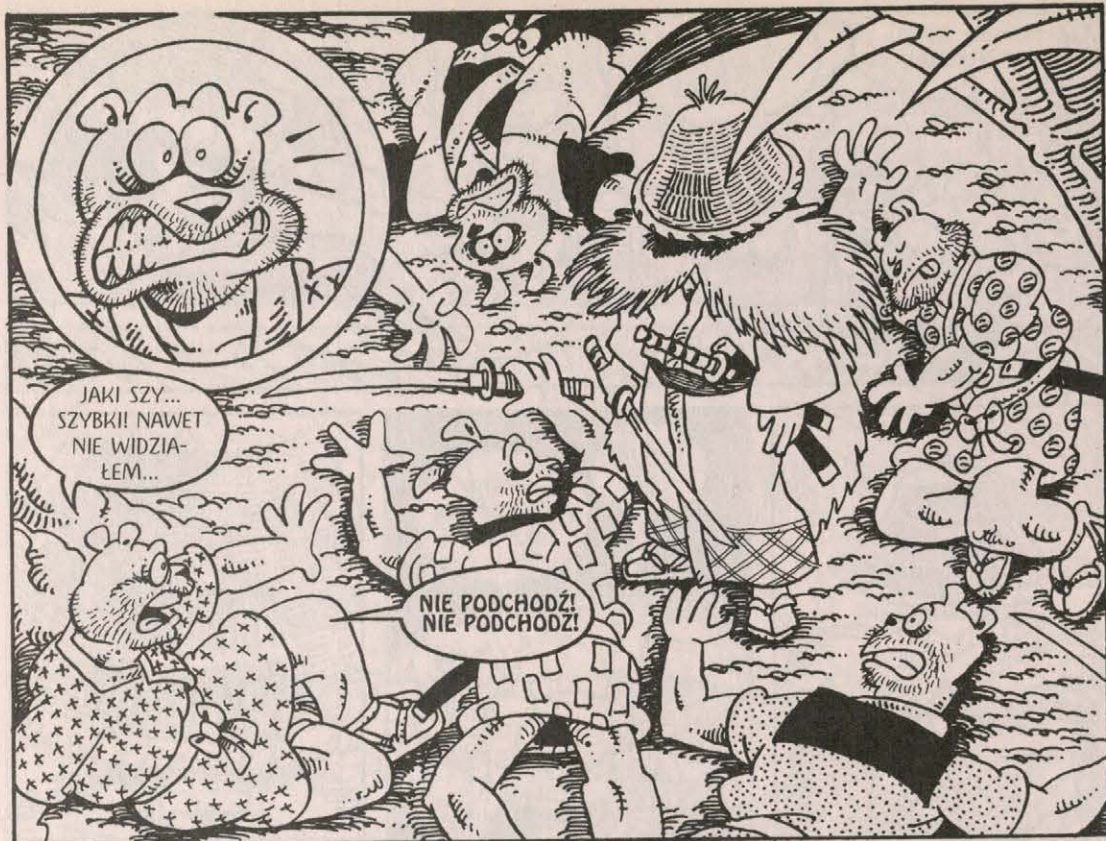


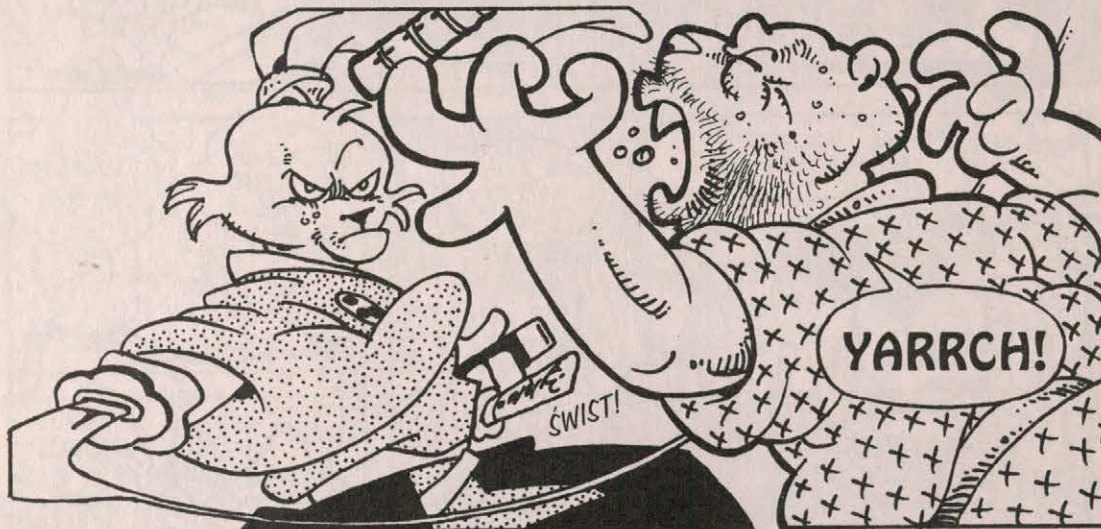
DOŚĆ TEGO!
ZABIĆ GO!

HAHAHAHAHAHA!



BRYZGI!





* SZÓSTY ZMYŚŁ
** HARMONIA UMYSŁU





POWIADAJĄ, ŻE POTRAFISZ ZOBACZYĆ ŚMIERĆ W OCZACH TEGO, KTO JEST JEJ PRZEZNACZONY.

TO MOJE PRZEKLEŃSTWO.



WIDZIAŁEM TO W TWOJEJ TWARZY. DLATEGO CZEKAŁEM. ALE CZY TO TY ZABIJESZ MNIE, CZY JA CIEBIE? TO WCIAŻ NIEJASNE.



DLACZEGO KTÓRYŚ Z NAS MIAŁBY UMIERAĆ? NIE MA POWODU, ŻEBYŚMY BYLI PRZECIWNIKAMI.



NA RAZIE NIE. ALE PEWNEGO DNIA TEN POWÓD SIĘ ZNAJDZIE.



JESZCZE SIĘ SPOTKAMY.



CZY JESTEŚ PEWIEN, ŻE NIC JUŻ NIE GROZI PANIE KOMACHI, KAPŁANIE SANSHOBO?

TAK, USAGI-SAN. DZIĘKI TOBIE.

BARDZO MĄDRZE PRZEJRZAŁEŚ TEGO FAŁSZYWEGO KAPŁANA. NIE WSZYSTKO JEST TYM, CZYM SIĘ WYDAJE.



TO MOŻE SIĘ TEŻ ODNOŚCIĆ DO CIEBIE.

CO MASZ NA MYŚLI?



PODEJRZEWAM, ŻE NIE ZAWSZE BYŁEŚ KAPŁANEM!

CZEMU TAK MYŚLISZ, USAGI-SAN?



MASZ POSTAWĘ WOJOWNIKA... SAMURAJA.

CHA, CHA! JESTEŚ SPOSTRZEGAWCZY, USAGI!

DZYŃ! DZYŃ!



BYŁEM ONGIŚ HATAMOTO (CHORAŻYM) PANA IKEDY. MOJA ŻONA WŁAŚNIE UMARŁA, WIĘC ODBYWAŁEM PIELGRZYMKĘ DO ŚWIĄTYNI SHINA WE WSCHODNICH GÓRACH. TOWARZYSZYŁ MI JEDYNY SYN, HIROKAZU.



„DOWIEDZIAWSZY SIĘ O TEJ PODRÓŻY, MÓJ PRZYJACIEL, PAN SHIGEKI, POWIERZYŁ MI SWOJEGO NAJMŁODSZEGO SYNA, MITSUTOSHI, ABY TEŻ ODBYŁ PIELGRZYMKĘ.”



„PRZEMIERZALIŚMY NAJTRUDNIEJSZY ODCINEK DROGI. ZALEDWIE DWA RI* DZIELIŁO NAS OD CELU, GDY NAGLE ROZPĘTAŁA SIĘ GWAŁTOWNA BURZA.”

* RI = 3,9 KM



OCHI!
MITSUTOSHI!



MITSUTOSHI, DAJ REKĘ!



PREDZEJ! OBSUWAM SIĘ...
ACH!
TRACH!



MAM CIĘ!



CHWYĆ MOJĄ DŁOŃ!

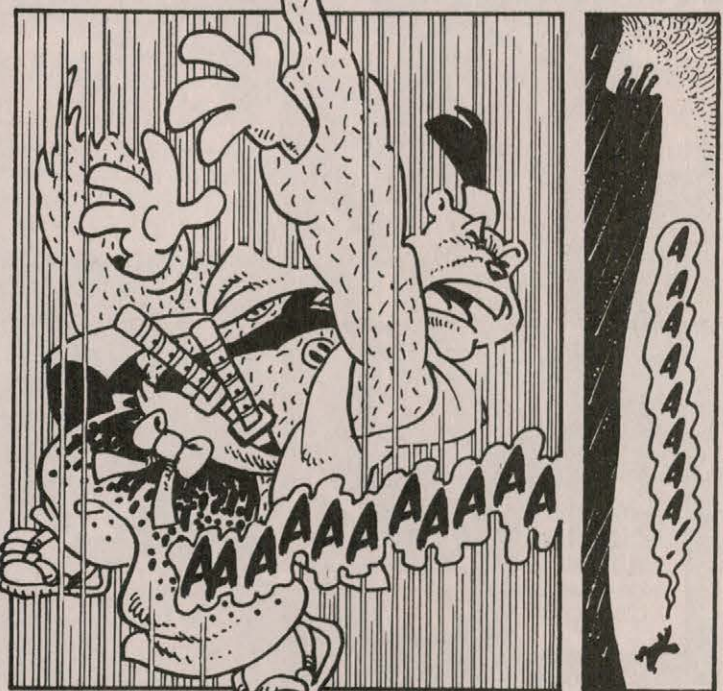
NIE MOGĘ!



PREDZEJ!
TRZA...
JA...



PRA...
TRZACK!



AAAAA AAAA

AAAAA AAAA



„BYLIŚMY WSTRZAŚNIĘCI. TO STAŁO SIĘ TAK PĘDKO. PAN SHIGEKI ODDAŁ SYNA POD MOJĄ OPIEKĘ, A JA GO ZAWIODŁEM. TYM BARDZIEJ, ŻE MÓJ WŁASNY SYN STAŁ BEZPIECZNIE OBOK MNIĘ.”

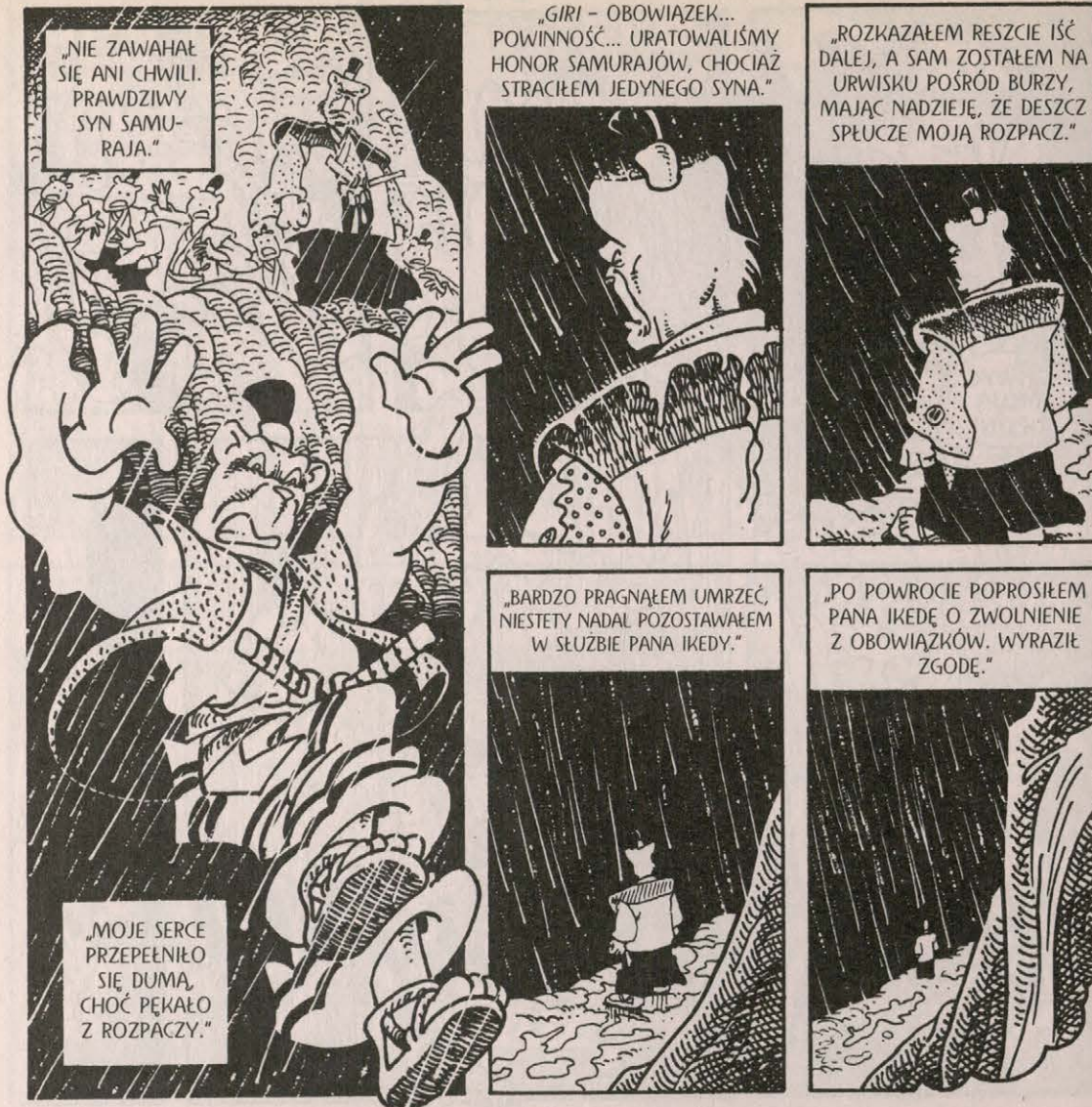


ROZUMIEM, OJCZE.

HIROKAZU, OKRYŁEM SIĘ HAŃBĄ, ZAWODZĄC ZAUFANIE, JAKIM OBDARZYŁ MNIE PAN SHIGEKI. JEST TYLKO JEDEN SPOŚÓB NA OCZYSZCZENIE IMIENIA NASZEJ RODZINY.

Polecamy albumy wydane w serii:

USAGI YOJIMBO™



Historia pochodzi z tomu: „Pomiędzy życiem a śmiercią”, Egmont 2002.

KONIEC



oraz: Daisho, Cienie śmierci, Szare cienie, Ostrze bogów II

KLUB
ŚWIATA
KOMIKSU

Informacje o komiksach z serii „Usagi Yojimbo” znajdziesz na stronie internetowej Klubu Świata Komiksu: www.egmont.pl/ksk
Sprzedaż wysyłkową komiksów Klubu Świata Komiksu prowadzi Księgarnia Wysyłkowa Imago: www.imago.com.pl

Następny komiks z serii

KULTOWA KOLEKCJA KOMIKSÓW

PRZE
KROJ

KULTOWA
KOLEKCJA
KOMIKSÓW

J&L JERLY

J&L JERLY

LEŚNIAK & SKARZYCKI

Nowa,
wcześniej
niepublikowana
historia specjalnie
dla czytelników
„Przekroju”!

w „Przekroju”
28.07.05